GAZETAPOLSKA.PL

Nie ostrzegli.
Nie zabezpieczyli. Okradli.
Dwa lata po powodzi stulecia

Andrea Bocelli dla „GP”:
Polska ma w moim sercu
miejsce szczególne

Koalicja Tuska
na salonach
Zondacrypto

GAZETA POLSKA

#TYGODNIK NIEPODLEGŁEGO POLAKA #W KAŻDĄ ŚRODĘ W TWOIM KIOSKU



TUSK CHCE ZAWIESIĆ PREZYDENTA

CENA 10,90 PLN (w tym 8% VAT) #37 (1722) 09.09.2026 indeks 320919

OKŁADKA WYGENEROWANA ZA POMOCĄ AI

ISSN 1230-4581
Numer w sprzedaży do 15.09.2026

KUP TERAZ

Kup prenumeratę **e-wydania** Gazety Polskiej i czytaj najważniejsze teksty wcześniej niż inni!



Dziś niezależne dziennikarstwo to placówka frontowa. W świecie zdominowanym przez polityczne naciski, **Twoja prenumerata** to nie tylko dostęp do prawdy – **to realne wsparcie** dla redakcji, która nie boi się zadawać trudnych pytań.

Dlaczego warto wybrać wersję cyfrową?

Szybkość: Czytasz wcześniej niż inni.
Wygoda: Całe archiwum w Twoim komputerze, telefonie i tablecie.
Solidarność: Każda subskrypcja to „cegiełka" na rzecz wolnego słowa.

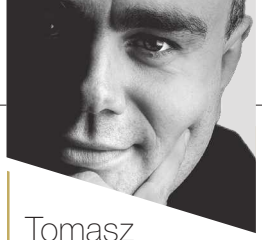
JAK KUPIĆ PRENUMERATĘ W 60 SEKUND

1. Wejdź na: **prenumerata.swsmedia.pl**
2. Wybierz pakiet **Gazety Polskiej.**
3. Opłać (BLIK, karta, przelew) **i czytaj natychmiast!**

TWOJE WSPARCIE MA ZNACZENIE

GAZETA POLSKA

FELIETON { WRÓG LUDU }

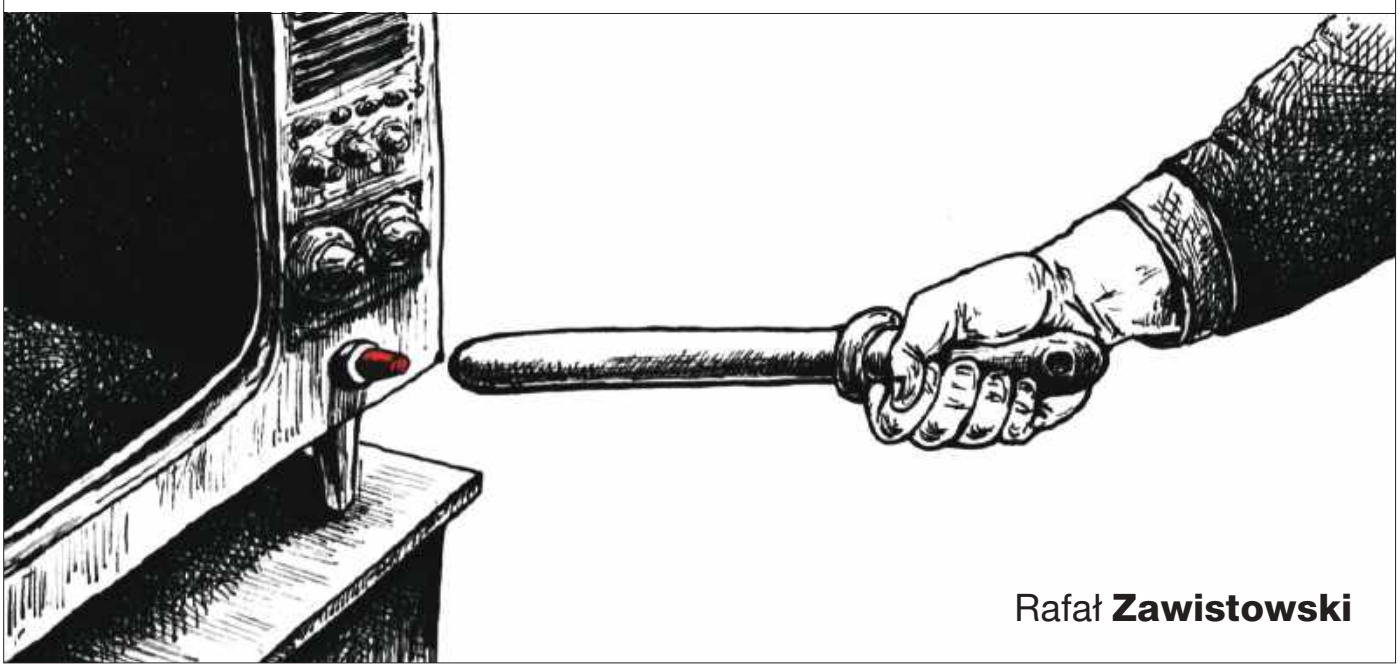


Tomasz Sakiewicz

SCENARIUSZ PROWOKACJI

Jeśli ktoś miał jakiekolwiek złudzenia co do intencji Donalda Tuska, to chyba po pierwszym weekendzie września powinien je stracić. Z jednej strony, wysłał swojego prywatnego eksperta od łamania prawa, i jednocześnie jeszcze kilka dni wcześniej urzędującego ministra swojego rządu, do Trybunału Konstytucyjnego w celu siłowego przejęcia tej instytucji. Z drugiej strony, organizuje awanturę w Sejmie wokół głosowania weta prezydenckiego wobec ustawy o kryptowalutach. Zdaje się, że wśród celów tego głosowania nie ma żadnego planu wprowadzenia tej ustawy. Za to jest poważny plan zniszczenia opozycji. Tusk, łamiąc prawo, odczytuje wyrwane fragmenty zeznań osoby, która stoi pod pręgierzem najcięższych zarzutów. O ile media i dziennikarze współpracujący ze służbami za cel obrali sobie Telewizję Republika, to tym razem Tusk skupił się na atakowaniu samego prezydenta. Poziom absurdu przy tym był tak kompromitujący, że aż trudno uwierzyć w typowy dla tej władzy esbecki profesjonalizm w niszczeniu ludzi. Ktoś miał wziąć łapówkę dla ministra Ziobry przed wyborami za konferencję, w czasie spotkania nowego prezydenta z prezydentem USA… po wyborach. Naprawdę nic nie trzyma się kupy. To nie zmienia faktu, że politycy, dziennikarze, a nawet techniczni pracownicy Telewizji Republika są inwigilowani, prowadzone wobec nich są różnego typu działania operacyjne, które mają doprowadzić do zamknięcia stacji. Wiele przestępstw, które przy tym popełnili przedstawiciele władzy i funkcjonariusze służb, powoduje, że być może na bazie sporej afery w świecie kryptowalut mamy dużo większą nielegalnego użycia aparatu państwa do niszczenia opozycji i niewygodnych mediów. Przy okazji dochodzi do całkowitej kompromitacji wielu usłużnych rządowi dziennikarzy. Jeden z nich wysyłał do nas pytania, które były do wiadomości policji. Nie ma nic dziwnego w tym, że dziennikarze mają swoich informatorów w służbach czy innych instytucjach państwowych. Jest jednak czymś całkowicie przekreślającym uprawiających ten zawód wysyłanie pytań do wiadomości służb. Są one nie tylko donosem, lecz także próbą nielegalnego wyłudzenia zeznań dla służb pod płaszczykiem działalności dziennikarskiej.

Uderzenie w Republikę miało (ma?) doprowadzić nie tylko do aresztowania kierownictwa stacji, lecz także wyłączenia sygnału tej telewizji. Ataki na nasze fundacje, finanse, reklamodawców – to tylko elementy tej samej operacji. Co ciekawe, widać, że jest pewna ciągłość pomiędzy tym, co działo się w maju, kiedy pod przykrywką cyberataków policja wchodziła do naszych biur i mieszkań, a obecną operacją wyłączenia Republiki. Szczegóły będziemy ujawniać wtedy, kiedy to będzie bezpieczne dla naszych informatorów. Nadciąga potężna bitwa, musimy być w pełni zmobilizowani. Proszę utrzymywać z nami stały kontakt, obserwując nasze media, sieć klubów i internet. Stawka tej walki rośnie z dnia na dzień. **GP**



Rafał **Zawistowski**

W numerze

KRAJ

6 **Tusk chce zawiesić prezydenta**
 # Piotr Lisiewicz

14 **Nie ostrzegli. Nie zabezpieczyli. Okradli**
 # Jacek Liziniewicz

16 **Prof. Chmaj z kolejnym uśmiechniętym zleceniem**
 # Piotr Nisztor

18 **Prokuratura ma szczodry gest. Miliony wydane na kancelarie prawne**
 # Grzegorz Broński

PUBLICYSTYKA

26 **ZondaGiertych**
 # Dawid Wildstein

28 **Dekalog strategicznych katastrof Tuska. Część II**
 # Piotr Grochmalski

33 **Tusk nas ostrzega. Szkoda, że nie przed własnymi rządami**
 # Krzysztof Wołodźko



36 **Eksplozje w europejskich fabrykach broni**
 # Jakub Maciejewski

38 **Suwerenność po islandzku**
 # Mateusz Matyszkowicz

ŚWIAT

40 **Rosja sprawdzi NATO?**
 # Antoni Rybczyński

HISTORIA

60 **Rzym upadł, lecz żyje Rzym**
 # Tomasz Panfil

64 **Maszynista pijanica igrał losem przesiedleńców**
 # Emil Tańczak

KULTURA

68 **Śpiew daje znacznie więcej, niż zabiera**
 # Z Andreą Bocellim rozmawia Sylwia Krasnodębska

72 **Sacrum „na trójkątno”**
 # Wojciech Mucha

ŚRODOWISKO

76 **Wojna o skojarzenie: leśnik czy aktywista**
 # Jacek Liziniewicz



KRAJ



10 **Koalicja Tuska na salonach Zondacrypto**
Grzegorz Wierzchołowski

Stałe

1 Tomasz Sakiewicz

4 ZYZIU NA KONIU HYZIU

13 Jacek Liziniewicz

13 Krzysztof Karnkowski

21 Marcin Wolski

21 Tomasz Łysiak

25 Tadeusz M. Płużański

25 Józef Wieczorek

45 ROSJA ABSURDEM STOI

46 OBRONNOŚĆ

51 WIEŚCI Z UE

52 KLUBY „GAZETY POLSKIEJ”

59 OKIEM KAPELANA

63 NAUKA

75 KULINARIA



80 LISTY

81 Katarzyna Gójska

SPOŁECZEŃSTWO



22 **Macice do wynajęcia. Polskie kliniki i surogatki ze Lwowa**
Hubert Kowalski

ŚWIAT



42 **AI i amerykańskie niepokoje**
Maciej Kożuszek

HISTORIA



56 **Stutthof, piekło gorsze niż Gestapo**
Piotr Dmitrowicz

Wspieraj nasze media

Dla wolnej i niezależnej Polski!

GAZETA POLSKA | Gazeta Polska codziennie | niezależna.pl | REPUBLIKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO | radio REPUBLIKA

REPUBLIKA

Numer konta: **90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**

Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz TV Republika**

Konto do wpłat zagranicznych: **PL 90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**

SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Telewizja Republika S.A. Plac Bankowy 2, 00-095 Warszawa

SKANUJ KOD

GAZETA POLSKA

Numer konta: **81 1240 6003 1111 0010 3126 1695**

Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz Gazety Polskiej**

Konto do wpłat w euro: **PL 15 1240 1040 1978 0010 8426 7594**

SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Gazeta Polska ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

FUNDACJA REPUBLIKA

Numer konta: **23 1090 1883 0000 0001 5859 5543**

Tytuł przelewu: **Darowizna na wolne media**

Adres: Fundacja Republika ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa





Piotr
Lisiewicz

ZYZIU NA KONIU HYZIU

Adam Szostkiewicz z „Polityki” o tym, że 73 proc. młodych popiera prezydenta (co zresztą nie przeszło mu przez usta): „Jeśli to prawda, że zdecydowanej większości młodego pokolenia (do trzydziestki) Nawrocki się podoba i jako p.o. prezydenta, i jako »fajny gość«, to porzućmy nadzieję, że jeszcze będzie normalnie i przepięknie. Chyba że większość z tej większości oczarowanych Nawrockim poprzestanie na deklaracjach sympatii i głosować w przyszłym roku nie będzie”. Zabierz wnuczkowi dowód!

Jeszcze lamenty Szostkiewicza: „Młodzi entuzjaści Nawrockiego jakby tego nie widzą. Naród, którego sporej części wystarczy widok człowieka pokrytego tatuażami i wciągającego snus publicznie, otwartym tekstem atakującego swobody liberalne – kiedyś najważniejszą dla młodych wartość demokratyczną – sam szykuje się na rozpad i utratę wolności”. Ależ żaden rozpad nam nie grozi, bo według tego sondażu tylko 7 proc. młodych Polaków ocenia prezydenta raczej krytycznie, a 0 proc. bardzo krytycznie. Nikomu nie przeszkadza ani tatuaż Lechii Gdańsk, ani snus. Wspaniała zgodność młodych, wykształconych, nowoczesnych Polaków. Prawie 100-procentowa. Skuteczność mediów i pożal się Boże elit uniwersyteckich w urabianiu młodych zerowa. Nie ukrywam, że lament elit uniwersyteckich daje mi najwyższą satysfakcję.



W czasie, gdy w polskich fabrykach zbrojeniowych wybuchają pożary z powodu podpaleń organizowanych przez rosyjskie służby, Tusk zdecydował się powierzyć bezpieczeństwo Orlenu, największego i najbardziej strategicznego polskiego koncernu, Andrzejowi Rozenkowi, który chwalił się piciem w Rosji wódki z Władimirem Putinem, a to w czasie spotkania Klubu Wałdajskiego, przez niektórych nazywanego Klubem Łajdackim, oczywistego narzędzia rosyjskiej dyplomacji. Tenże Rozenek był też w tygodniku „Nie” zastępcą Jerzego Urbana, Goebbelsa stanu wojennego, rzecznika junty zainstalowanej w Polsce przez Moskwę. A w ostatnich latach jako poseł był głównym lobbystą



Tusk zdecydował się powierzyć bezpieczeństwo Orlenu Andrzejowi Rozenkowi, który chwalił się piciem w Rosji wódki z Władimirem Putinem.

„Szczęść Boże” ruskiego Grzegorza Brauna to, z grubsza biorąc, to samo, co Matka Częstochowska w klapie Lecha Wałęsy.

w sprawie przywrócenia uprzywilejowanych emerytur byłym esbekom, czyli popychadłom Moskwy. Maciej Wąsik, który na X poinformował o awansie Rozenka, stwierdził, że nie ma on do tej funkcji odpowiednich kompetencji. Otóż w szwabsko-kacapskiej Polsce Tuska Rozenek ma najwyższe kompetencje.

Gdy podczas Campusu Trzaskowskiego artystka wywieszała sobie flagę Polski na prawie odsłoniętym tyłku, przypomniały mi się słowa Józefa Oleksego: „Oluś zawsze był krętaczem i to małym krętaczem… Ch... skończony, oszust. Prawda jest taka, że cały kapitalizm polityczny stworzył Kwaśniewski… Moja sitwa i owszem, miała [Polskę] w dupie". Wtedy Oleksy wyrażał to słowem, dziś artystka wyraziła stosunek obozu rządzącego do Polski obrazkiem. Jak na czasy, gdy na maturze koloruje się drwala, przystało. A poza tym nie zmienia się nic.

Roman Karkosik zbudował najwyższy pomnik Matki Boskiej na świecie. Pamiętam, jak pewien mój kolega krytykował budowę ogromnej bazyliki w Licheniu (gdzie notabene bywałem już jako początkujący ministrant), wysokości 141,5 metra, czyli ósmego najwyższego kościoła na świecie. Minęło parę lat i kolega zmienił zdanie. Bo zobaczył, jak muzułmanie przejmują Europę, budując wielkie meczety. Chrześcijańska gigantomania jest w tym historycznym czasie bardzo ok.





FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI / GAZETA POLSKA, ANDRZEJ PIEKARSKI

Na uroczystości poświęcenia pomnika pojawił się Lech Wałęsa, czyli TW „Bolek", z Matką Boską Częstochowską w klapie, co zapewne ma związek z tym, że Roman Karkosik zarejestrowany był jako TW „Paweł". I to jest druga strona medalu. Ale jak opisywał Piotr Nisztor, restaurator Karkosik, choć zgodził się na współpracę, to „migał się od kontaktów z SB, a jego informacje nie miały praktycznie żadnej wartości". Na szczęście pracowitemu TW „Bolkowi" nie da się postawić podobnego zarzutu!

Na pewną nieoczywistą analogię zwrócił uwagę jakiś czas temu Antoni Macierewicz w „Wywiadzie z chuliganem". Jak wskazał, „Szczęść Boże" ruskiego Grzegorza Brauna to, z grubsza biorąc, to samo, co Matka Częstochowska w klapie Lecha Wałęsy, zwolennika NATO-bis z udziałem Rosji. „W przypadku Wałęsy miało wbić w świadomość społeczną: to jest przywódca katolicki z Matką Boską w klapie. I to jest bardzo podobne w przypadku pana, o którym mowa" – mówił Macierewicz.

„Pan X, publicznie znana osoba", pojawił się w sejmowym przemówieniu Donalda Tuska jak niegdyś „Jacek Murański, postać znana". Jak cytował Tusk zeznania osoby, której nazwiska nie podał, ale wszyscy mieli zrozumieć, że to Przemysław Kral, „Pan X obiecywał mi, że jak Nawrocki zostanie prezydentem, to on załatwi mi ułaskawienie, gdybym został skazany w tej sprawie. Ta obietnica ułaskawienia to było za te wszystkie płatności, to jest CPAC, reklamy i kongres organizowany w Stanach Zjednoczonych". Co warto podkreślić, podczas owego przemówienia Tuska nie było słychać typowej dla niego swady, a ogromną nerwowość. Jakby ktoś zmusił go do zaatakowania „Sojedinionnych Sztatow Ameryki". Pytanie, kto to taki mógłby Tuska do tego zmusić. Czyżby ktoś mający nagrania z jego rozmów z Rosjanami o Smoleńsku? Ja tylko pytam.

Nie mam wśród swoich znajomych zbyt wielu prokuratorów z ogromnym doświadczeniem, no ale jednego mam. Zadzwonił on do mnie po wystąpieniu Tuska i powiedział: „Przesłuchiwałem tysiące osób, w tym wielu świadków koronnych w najpoważniejszych sprawach. Wiem, jak brzmi język takich zeznań. To, co cytował Tusk, to zeznanie wygłoszone pod… jego wystąpienie sejmowe. Prosty język, bombardowanie przekazem PR-owym. Ludzie tak nie zeznają, nigdy się z takim zeznaniem nie spotkałem. Poza tym Tusk nie wskazał, czy to były wyjaśnienia podejrzanego, któremu wolno kłamać, czy zeznania świadka, który ma obowiązek mówić prawdę".

Nic mądrzejszego już dziś nie przeczytacie! Violetta Wiernicka z „Krytyki Politycznej": „Queerowa armia? W ukraińskim wojsku służbę pełni 50 tysięcy osób LGBT+. Chociaż zdecydowana większość osób nieheteroseksualnych, pełniących służbę w co najmniej 59 jednostkach ukraińskiej armii, ukrywa swoją orientację w obawie o dyskryminację…". Moim zdaniem to co najmniej 500 tys. i dlatego Niemcy, jako największy obrońca demokracji, zawarły sojusz z Zełenskim! **GP**

Mirosław **Andrzejewski**

{ RODZINA WACIAKÓW }

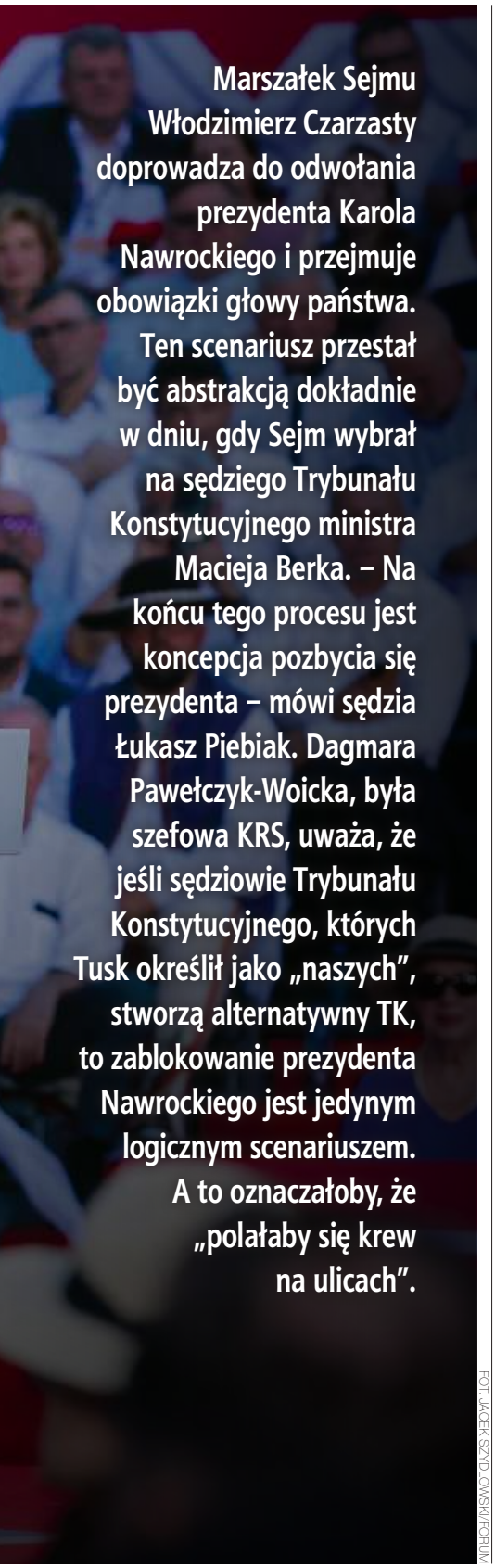




Piotr
Lisiewicz
Z-CA RED. NACZELNEGO „GP”

CZY PREMIER CHCE ROZLEWU KRWI?

TUSK CHCE ZAWIESIĆ PREZYDENTA



Marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty doprowadza do odwołania prezydenta Karola Nawrockiego i przejmuje obowiązki głowy państwa. Ten scenariusz przestał być abstrakcją dokładnie w dniu, gdy Sejm wybrał na sędziego Trybunału Konstytucyjnego ministra Macieja Berka. – Na końcu tego procesu jest koncepcja pozbycia się prezydenta – mówi sędzia Łukasz Piebiak. Dagmara Pawełczyk-Woicka, była szefowa KRS, uważa, że jeśli sędziowie Trybunału Konstytucyjnego, których Tusk określił jako „naszych", stworzą alternatywny TK, to zablokowanie prezydenta Nawrockiego jest jedynym logicznym scenariuszem. A to oznaczałoby, że „polałaby się krew na ulicach".

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

73 proc. młodych Polaków, w wieku 18–29 lat, popiera prezydenta Karola Nawrockiego. Zaledwie 7 proc. ocenia go raczej negatywnie, zaś zdecydowani negatywnie… 0 proc. młodych. Mimo to premier Donald Tusk postanowił dopchnąć butem wybór na sędziego Trybunału Konstytucyjnego swojego ministra Macieja Berka, co zdaniem wielu prawników ma być początkiem usuwania prezydenta Karola Nawrockiego z urzędu.

Wybór Berka okazał się dla Tuska ważniejszy niż protesty dużej części własnego zaplecza. Przeciwko tak oczywistemu złamaniu obietnic odpolitycznienia wymiaru sprawiedliwości zaprotestowały będące jego zapleczem w czasie rządów PiS Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Instytut Spraw Publicznych, Forum Obywatelskiego Rozwoju, Fundacja Panoptykon, Fundacja im. Stefana Batorego, Fundacja Wolności, Fundacja dla Polski, Fundusz Obywatelski im. Ludwiki i Henryka Wujców oraz Stowarzyszenie Sieć Obywatelska Watchdog. Przeciw wyborowi Berka zagłosowali też marszałek Włodzimierz Czarzasty i posłanka KO Klaudia Jachira, a w głosowaniu nie wzięli udzieli udziału szefowa klubu Lewicy Anna Maria Żukowska czy poseł KO Franciszek Sterczewski.

Nie żyjemy w Polsce praworządnej, a w kryptodyktaturze, w której obowiązuje „prawo tak, jak my je rozumiemy". My, czyli obóz Donalda Tuska i Włodzimierza Czarzastego.

„Pozbawienie Nawrockiego prezydentury"

Dlaczego Tusk mimo wszystko dopchnął butem kandydaturę Berka? Już 23 sierpnia 2026 roku, gdy prawie nikt jeszcze nie mówił o kandydaturze Berka, publicystka Eliza Michalik nagrała taką oto wypowiedź: „Nie mogę się doczekać tej jesieni w Trybunale Konstytucyjnym, jak wreszcie będzie on praworządny i przegłosowany zostanie pan Maciej Berek, to będzie wniosek o pozbawienie Nawrockiego prezydentury ze względu na jego niezdolność do sprawowania urzędu".

W Polsce nie ma możliwości pozbawienia prezydenta urzędu, ale istnieje przepis pozwalający na zawieszenie pełnienia jego funkcji. Wniosek w tej sprawie składa marszałek Sejmu, a decyduje Trybunał Konstytucyjny. Gdy po raz pierwszy pojawiły się takie pomysły ze strony Ryszarda Kalisza czy prof. Marka Safjana, sędzia Dagmara Pawełczyk-Woicka napisała: „Gdyby jednak wpadli na pomysł realizacji tych pomysłów (pozbawiania Prezydenta jego kompetencji metodą »na trybunał«), to polałaby się krew na ulicach. Więc trzeba o tym głośno mówić, żeby pomysły pozostały w głowach szaleńców, i tylko tam".

Jak brzmi przepis, na który powołują się ci prawnicy, którzy mówią o możliwości de facto usunięciu prezydenta Karola Nawrockiego z urzędu? Powołują się oni na art. 131 Konstytucji. Stwierdza on, że „Jeżeli Prezydent Rzeczypospolitej nie może przejściowo sprawować urzędu, zawiadamia o tym Marszałka Sejmu, który tymczasowo przejmuje obowiązki Prezydenta Rzeczypospolitej. Gdy Prezydent Rzeczypospolitej nie jest w stanie zawiadomić Marszałka Sejmu o niemożności sprawowania urzędu, wówczas o stwierdzeniu przeszkody w sprawowaniu urzędu przez Prezydenta Rzeczypospolitej rozstrzyga Trybunał Konstytucyjny na wniosek Marszałka Sejmu. W razie uznania przejściowej niemożności sprawowania urzędu przez Prezydenta Rzeczypospolitej Trybunał Konstytucyjny powierza Marszałkowi Sejmu tymczasowe wykonywanie obowiązków Prezydenta Rzeczypospolitej".

Jasne jest, że zgodnie z prawem nie można użyć tego przepisu przeciwko Karolowi Nawrockiemu. Musiałby on albo zginąć (w takiej sytuacji po zamordowaniu prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Smoleńsku obowiązki prezydenta objął marszałek Bronisław Komorowski), albo być nieprzytomny, albo z własnej woli oddać swoje uprawnienia Włodzimierzowi Czarzastemu.

Ale nie żyjemy w Polsce praworządnej, a w kryptodyktaturze, w której obowiązuje „prawo tak, jak my je rozumiemy". My, czyli obóz Donalda Tuska i Włodzimierza

Czarzastego. Ryszard Kalisz, działacz PZPR, kolega Czarzastego z komunistycznej organizacji studenckiej, działający w stowarzyszeniu Ordynacka, dziś będący członkiem Państwowej Komisji Wyborczej, w wypowiedziach dla TVN 24 i Angory, wskazał, że art. 131 może posłużyć do odebrania prezydentowi jego uprawnień: „Jeżeli nie przyjmuje ślubowania, to powstrzymuje się albo nie wykonuje swojego obowiązku. Jeżeli nie wykonuje swojego obowiązku, to wtedy mamy artykuł 131 Konstytucji, który mówi o tym, że prezydent jest niezdolny do wykonania jakieś czynności. Jeżeli tutaj powstrzymuje się, to w swoim umyśle podejmuje decyzję, że nie chce podjąć tej czynności, czyli że jest niezdolny do podjęcia tej czynności. I wtedy można to wykonać zastępczo".

A co jeśli prezydent częściej nie będzie zgadzał się z koalicją 13 grudnia? „Jeżeli to się będzie powtarzało, to wtedy marszałek Sejmu może wystąpić do Trybunału Konstytucyjnego – i oczywiście tutaj się najbardziej ten ośrodek prezydencki Karola Nawrockiego i PiS boją – o stwierdzenie niemożności wykonywania przez prezydenta określonej czynności z powodu powstrzymywania się, i wtedy w tego rodzaju czynnościach będzie mógł go zastępować marszałek Sejmu" – tłumaczył Kalisz.

To oczywista brednia, bo art. 131 stwierdza, że Trybunał Konstytucyjny może podjąć taką decyzję na wniosek marszałka tylko wtedy, gdy prezydent Rzeczypospolitej nie jest w stanie zawiadomić marszałka Sejmu o niemożności sprawowania urzędu, ale znając standardy rządów koalicji 13 grudnia i „najwspanialszej kasty", można sobie wyobrazić, że TK stwierdzi, że marszałek miał takie uprawnienie.

„Berek to wykidajło, reszta do ciapciaki"

Jaki wpływ ma na to wybór ministra Macieja Berka, prawej ręki Tuska, na sędziego TK? – Berek to wykidajło, reszta do ciapciaki – mówi o sędziach TK z nadania obozu Tuska znany sędzia. Z chwilą wyboru Berka we własnym mniemaniu zyskali oni większość 8:7 w Trybunale. Ale tylko jeśli uznać, że sędziowie wybrani przez Sejm, a niezaprzysiężeni przez prezydenta, są sędziami TK. Takiego zaprzysiężenia wymaga też kandydatura sędziego Berka. Do tego prezesem Trybunału pozostaje wybrany przez prezydenta na sześcioletnią kadencję sędzia Bogdan Święczkowski. – Na ile znam Bogdana, wiem, że nie można go ani zastraszyć, ani przekupić – mówi nam jeden z sędziów.

„Może nie będzie estetycznie, może część z was się na mnie obrazi, ale pomyślcie, czy więcej z was nie obrazi się na mnie, jeśli będę stał z rozdziawioną gębą, że nic się nie da zrobić, i dalej Bogdan Święczkowski będzie pomiatał naszymi sędziami" – powiedział na Campusie Trzaskowskiego Tusk.

Odsiecz ze Strasburga

Według naszych rozmówców prezydent Karol Nawrocki nie przyjmie ślubowania od Berka, bo nie spełnia on kryteriów formalnych. By zostać sędzia TK, powinien on przez 10 lat pracować aktywnie jako radca prawny. Profesor Paweł Czubik, sędzia Sądu Najwyższego, precyzuje: – Zgodnie z art. 18 ustawy o TK sędzią TK może zostać osoba posiadająca kwalifikacje do zajmowania stanowiska sędziego SN lub NSA. Ustawa o SN w art. 30 precyzuje m.in., że niezbędne jest dla uznania kwalifikacji, by kandydat przez 10 lat wykonywał zawód m.in. radcy prawnego. Wykonywanie zawodu prawniczego oznacza rzeczywiste świadczenie usług w tym zakresie, a nie tylko figurowanie na liście radców prawnych, niewykonujących zawodu. Należy zauważyć, że podobne rozwiązanie znajduje się w art. 12 prawa o notariacie, by móc zostać powołanym na notariusza, radca prawny musi wykonywać ów zawód przez co najmniej trzy lata. W żadnym przypadku nie może być powołana na notariusza osoba, która była jedynie wpisana na listę radców, natomiast nie może się legitymować rzeczywistą pracą jako radca prawny. W tym kontekście potwierdza to w pełni praktyka Ministerstwa Sprawiedliwości poparta w pełni orzecznictwem sądowym. Tak samo jak nie spełnia wymogu powołania na notariusza radca prawny niewykonujący rzeczywiście zawodu przez trzy lata, tak samo radca ten niewykonujący zawodu przez 10 lat nie może zostać sędzia TK.

I dodaje: – Prędzej świnia zobaczy niebo niż minister Berek siebie w roli sędziego TK.

Jakie scenariusze możliwe są w tej sytuacji? Media piszą o możliwości siłowego przejęcia TK przez siły policyjne, co niosłoby dla rządu duże straty wizerunkowe. Albo powołaniu przez ośmiu sędziów rzekomego, alternatywnego trybunału, spotykającego się poza siedzibą tej instytucji, co proponował prof. Wojciech Sadurski. Według naszych informatorów Maciej Berek nie zdecydowałby się wówczas na ogłoszenie się prezesem TK, co pachnie oczywistym kryminałem, lecz obsadzona zostałaby w w tej roli sędzia Anna Korwin-Piotrowska. Choć i tak naprawdę i tak TK rządziłby z nadania Tuska Berek.

Ale właściwie po co?

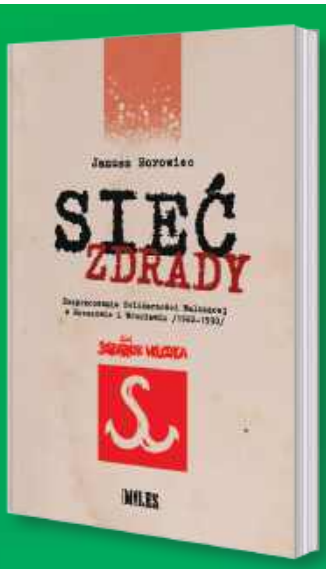
Sędzia Dagmara Pawełczyk-Woicka komentuje: – Jeśli grupa sędziów postanowi stworzyć alternatywny Trybunał Konstytucyjny, to będzie to oczywiście nielegalne i skutkujące odpowiedzialnością karną. Trybunał nie może funkcjonować bez prezesa, który ma kadencję i jest wybierany przez prezydenta. Jeśli sędziowie zdecydowaliby się na to, mogłoby to oznaczać, że chcą zablokować urząd prezydenta, inaczej tworzenie takiego Trybunału nie miałoby żadnego sensu.

Sędzia Łukasz Piebiak dodaje: – Minister Berek był zbrojnym ramieniem Tuska i trochę także mózgiem w sprawach prawnych. Czy skoro Tusk nazywa go prawą ręką, nie można spodziewać się, że będzie przez niego zadaniowany? Na końcu tego procesu jest koncepcja pozbycia się prezydenta.

Jego zdaniem do tej rozgrywki Tusk może użyć trybunału w Strasburgu: – Można spodziewać się, że sędziowie wybrani przez parlament, którzy nie złożyli przysięgi przed prezydentem, będą czekać na wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, który ma potwierdzić, że po wyborze przez Sejm są sędziami. A może Trybunał orzeknie też coś na temat uprawnień prezesa Trybunału Konstytucyjnego? Oczywiście byłoby to sprzeczne z polską konstytucja, ale tamci nieskutecznie wybrani sędziowie wymachiwaliby taką podkładką. GP

KSIĄŻKI, KTÓRE ZOSTAJĄ Z CZYTELNIKIEM **NA DŁUGO**

Sklep Gazety Polskiej POLECA



SIEĆ ZDRADY. ROZPRACOWANIE SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ W RZESZOWIE I WROCŁAWIU (1982-1990)

JANUSZ BOROWIEC

Jak daleko mogło posunąć się komunistyczne państwo, by zniszczyć swoich przeciwników? To fascynująca opowieść o walce aparatu bezpieczeństwa z jedną z najbardziej nieugiętych organizacji opozycyjnych PRL. Autor odsłania kulisy inwigilacji, prowokacji i operacji agenturalnych wymierzonych w Solidarność Walczącą. Książka dla wszystkich, którzy chcą poznać nieznane fakty i prawdziwe oblicze walki o wolną Polskę.

Format: 165x235 mm | **Liczba stron:** 452 | **Oprawa:** miękka

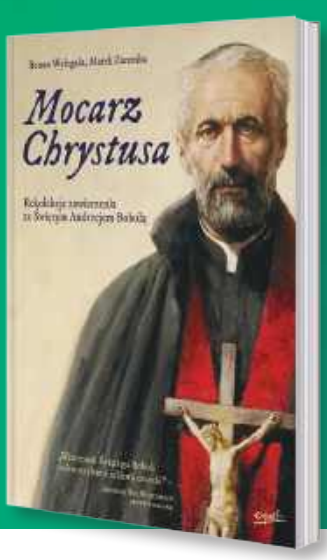
PRZYMIERZE, KTÓRE DZIELI CZY JUDAIZM MA WŁASNĄ DROGĘ ZBAWIENIA?

KS. PROF. WALDEMAR CHROSTOWSKI, KS. PROF. ROBERT SKRZYPCZAK, PAWEŁ LISICKI, KS. DR STANISŁAW KOCZWARA, KS. PROF. JANUSZ KRÓLIKOWSKI, KS. PROF. DARIUSZ OKO, KS. PROF. MARIUSZ ROSIK, O. DR JAKUB WASZKOWIAK OFM

Czy przymierze Boga z Narodem Wybranym pozostaje odrębną drogą zbawienia? Autor prowadzi czytelnika przez historię, Pismo Święte i nauczanie Kościoła, podejmując temat budzący żywe dyskusje w świecie chrześcijańskim. Lektura obowiązkowa dla wszystkich zainteresowanych dialogiem religijnym i pogłębioną refleksją nad wiarą.

Format: 145x205 mm | **Liczba stron:** 206 | **Oprawa:** miękka





MOCARZ CHRYSTUSA REKOLEKCJE ZAWIERZENIA ZE ŚWIĘTYM ANDRZEJEM BOBOLĄ

BENON WYLEGAŁA, MAREK ZAREMBA

Odkryj duchową siłę zawierzenia z patronem na trudne czasy. Święty Andrzej Bobola, niezłomny świadek wiary i jeden z najważniejszych polskich świętych, prowadzi czytelnika drogą duchowej odnowy i głębszej relacji z Chrystusem. Ta wyjątkowa książka rekolekcyjna pomaga odnaleźć pokój serca, umocnić wiarę i na nowo zaufać Bożemu prowadzeniu. Inspirująca lektura dla każdego, kto szuka nadziei i duchowej mocy na co dzień.

Format: 145x205 mm | **Liczba stron:** 544 | **Oprawa:** miękka

Zamów w naszym sklepie pod adresem **sklep.gazetapolska.pl** | **tel. 22 232 37 70**

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

Konto **61 1240 6003 1111 0010 7516 5807**
sklep@gazetapolska.pl

SKLEP GAZETY POLSKIEJ



Grzegorz
Wierzchołowski
RED. NACZELNY NIEZALEŻNA.PL

KTO UWIARYGADNIAŁ BIZNESY PRZEMYSŁAWA KRALA?

KOALICJA TUSKA na salonach ZONDACRYPTO

Upadek giełdy Zondacrypto, wielomiliardowe oszustwa i zatrzymania w kierownictwie spółki – to dziś jedna z największych afer finansowych w Polsce. Choć obóz rządzący za wszelką cenę próbuje obarczyć winą za ten skandal prawicę i konserwatywne media, fakty są nieubłagane. To politycy obecnej koalicji – na czele z premierem, wicepremierem, kluczowymi ministrami oraz środowiskiem liberalnym – chętnie uczestniczyli w prestiżowych kongresach i wydarzeniach wspieranych finansowo lub ekspercko przez kryptowalutowego giganta. Kto tak naprawdę uwiarygadniał biznesy Przemysława Krala?


FOT. ARCH.

Afera wokół upadku giełdy Zondacrypto z każdym tygodniem zatacza coraz szersze kręgi. Śledczy badają wątki wielomiliardowych oszustw finansowych, prania brudnych pieniędzy oraz powiązań z tajemniczym zaginięciem twórcy platformy Sylwestra Suszka. Niedawne uderzenie organów ścigania i zatrzymania, w tym prezesa spółki Przemysława Krala, wywołały polityczne trzęsienie ziemi. Wykorzystując aferę, obóz rządzący przypuścił zmasowany atak medialny na opozycję. Politycy koalicji próbują obarczyć odpowiedzialnością za działalność Zondy wyłącznie prawą stronę sceny politycznej, celowo odwracając uwagę od własnych powiązań.

Głównym orężem w tej kampanii stało się wypominanie, że giełda sponsorowała konserwatywną konferencję CPAC w Rzeszowie, a pieniądze z budżetu Zondy wydawane były na reklamy w Telewizji Republika. Rządzący nieustannie atakują również prezydenta Karola Nawrockiego, który trzykrotnie zawetował przygotowaną przez nich ustawę o nadzorze nad rynkiem kryptoaktywów, zarzucając głowie państwa rzekomą ochronę interesów upadłej giełdy.

Prezydent stanowczo odpiera te ataki. Podczas konferencji prasowej 3 września 2026 roku odniósł się do obecności Zondacrypto na prawicowym kongresie, przypominając, że firma ta była sponsorem wielu imprez, w których „udział brali politycy różnych partii politycznych". „Zondacrypto była wśród sponsorów konferencji EEC 2024, w którego inauguracji udział wzięli m.in. szefowa KE Ursula von der Leyen i premier Donald Tusk, a uczestniczyli w niej Andrzej Domański i Adam Bodnar. Tego typu konferencji było więcej" – powiedział.

Rządowe salony w cieniu Zondacrypto

Na Europejskim Kongresie Gospodarczym (EEC) w Katowicach z maja 2024 roku Zondacrypto posiadała faktycznie status oficjalnego partnera i sponsora. To właśnie tam uroczystego otwarcia dokonał premier Donald Tusk wspólnie z przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulą von der Leyen. Wśród prelegentów i gości znaleźli się kluczowi ministrowie rządu odpowiedzialni za państwowe finanse i wymiar sprawiedliwości – szef resortu finansów Andrzej Domański, prokurator generalny Adam Bodnar oraz wiceminister nauki Marek Gzik. Platforma kryptowalutowa swobodnie promowała się na najważniejszej konferencji gospodarczej w kraju, w otoczeniu ścisłego kierownictwa rządu.

Firma miała również przedstawicielkę – Karolinę Gwóźdź (Chief Legal Officer) – jako prelegentkę w panelu o przyszłości finansów. Prywatnie to żona Przemysława Krala. Na stronie EEC do dziś widnieje niemalże promocyjna relacja z rozmowy z Gwóźdź przeprowadzonej podczas imprezy. Czytamy tam: „»Wiosna zdecydowanie nadeszła. Widzimy na rynku, że kurs, przede wszystkim Bitcoina, poszybował do góry, ale myślimy, że to dopiero początek« (...) Jej zdaniem kryptowaluty to przyszłość świata finansów, a zastosowania nie tylko czają się za rogiem, ale już są wdrażane m.in. przez zondacrypto. »Mamy już takich klientów, którzy płacą kryptowalutami. Na czym przede wszystkim im zależy? Na szybkości i bezpieczeństwie transakcji. Jeżeli Pan chciałby kupić samochód w Dubaju, mając na przykład rachunek bankowy w Niemczech, to czeka Pan na transakcje swiftowe około 4 dni, natomiast transfer kryptowalut może odbyć się nawet w kilkanaście minut« – zauważyła Gwóźdź".

W październiku 2025 roku na PGE Narodowym zorganizowano The H@ck Summit 2025. Zondacrypto wystąpiła na nim w najwyższej możliwej roli – jako sponsor tytularny (diamentowy). Na scenie głównej brylował osobiście prezes Przemysław Kral, występując tuż obok najwyższych rangą urzędników odpowiedzialnych za bezpieczeństwo państwa. Gościem honorowym był wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski z Nowej Lewicy, a prelekcje wygłosili m.in. wiceszef MON Cezary Tomczyk oraz wiceminister cyfryzacji Dariusz Standerski.

Giełda zaangażowana była też w krakowskie CYBERSEC Forum odbywające się w czerwcu 2025 roku. Podmiot badany dziś pod kątem operacji prania pieniędzy posiadał na międzynarodowym forum poświęconym m.in. zwalczaniu finansowania terroryzmu rangę partnera najwyższego szczebla (diamond partner). Wydarzenie uroczyście otwierał wywodzący się z Koalicji Obywatelskiej prezydent Krakowa Aleksander Miszalski. Polską dyplomację reprezentowała tam z kolei Katarzyna Prusak-Górniak, kierownik zespołu ds. cyfrowych w Stałym Przedstawicielstwie RP przy Unii Europejskiej w Brukseli.

Państwowe patronaty i negocjacje regulacyjne

Lista wydarzeń, na których przedstawiciele rządu spotykali się z ludźmi z kryptowalutowego imperium, jest jednak znacznie dłuższa. W kwietniu 2025 roku w warszawskim hotelu The Westin odbyła się XVII edycja FinTech & InsurTech Digital Congress. Zondacrypto pełniła tam funkcję oficjalnego partnera strategicznego wspólnie z giełdą Binance. Kongres uroczyście

otwierał Ignacy Niemczycki, ówczesny podsekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów z nadania Koalicji Obywatelskiej, wygłaszając referat dotyczący transformacji cyfrowej. Co więcej, impreza cieszyła się patronatami honorowymi kluczowych resortów kierowanych przez polityków koalicji rządzącej: Ministerstwa Aktywów Państwowych oraz Ministerstwa Cyfryzacji.

Wizerunek polityków obozu władzy ocieplających relacje z rynkiem kryptoaktywów dopełnia obecność wiceministra finansów Juranda Dropa – głównej twarzy procedowanej w Sejmie ustawy o kryptowalutach – na branżowych spotkaniach z udziałem kryptowaluciarzy. Jesienią wiceminister Drop przemawiał na konferencji Future Finance Summit w Warszawie, gdzie na panelach dyskutowano o regulacjach sektora. Na tablicach sponsorskich tego wydarzenia również widniało wyraźne logo Zondacrypto.

Ciekawie wyglądała również inauguracja prac parlamentarnego Zespołu ds. Kryptoaktywów i Technologii Blockchain, która miała miejsce we wrześniu 2025 roku. W ławach pomieszczeń sejmowych, tuż obok wiceministra cyfryzacji Michała Gramatyki (Polska 2050) oraz wspomnianego wiceministra finansów Juranda Dropa, oficjalnie zasiedli przedstawiciele giełdy: Paulina Gomoła (Head of Security) oraz Dawid Sendecki (Chief Risk & Compliance Officer). Podczas posiedzenia wiceminister Drop miał odnieść się do zarzutów dotyczących zwalczania rynku krypto przez nadzór finansowy. Tłumaczył, że KNF dotychczas rozpoznawała kryptowaluty jako wysoce ryzykowne z powodu braku odpowiednich ram, jednak nowe przepisy stworzą możliwości „kształtowania innego obrazu tego obszaru aktywności". W relacji opublikowanej po posiedzeniu na oficjalnej stronie giełdy Zondacrypto jej przedstawiciel przyznał, że potraktował wypowiedź urzędnika rządu „jako zapowiedź i pewnego rodzaju deklarację", i dodał: „Trzymam za słowo, że zaowocuje to widoczną, pozytywnie odczuwalną zmianą". Z kolei Paulina Gomoła nie kryła zadowolenia ze współpracy z politykami, zaznaczając na łamach firmowego portalu: „Cieszy mnie zainteresowanie ze strony ustawodawcy, aby taki dialog z sektorem prowadzić w sposób regularny".

Lista wydarzeń, na których przedstawiciele rządu spotykali się z ludźmi z kryptowalutowego imperium, jest długa.

Z kolei atakujący dziś prezydenta Nawrockiego Sławomir Ćwik z Polski 2050 (dziś w Unii Centrum) – który uczestniczył w pracach nad regulacjami dotyczącymi kryptowalut, a potem zasiadał w zespole sejmowym zajmującym się tym problemem – pojawił się na wydarzeniu Next Block Expo sponsorowanym przez Zondacrypto. Co więcej, występował w panelu dyskusyjnym wspólnie z prawnikiem tej spółki.

Sport, celebryci i miliony w liberalnych mediach

Obecność logotypów kryptoimperium nie ograniczała się jednak tylko do zamkniętych, rządowych czy biznesowych, salonów. Giełda z ogromnym rozmachem inwestowała w ocieplanie wizerunku poprzez sport i akcje charytatywne, gdzie również brylowali politycy obecnej koalicji. Zondacrypto była m.in. partnerem strategicznym IX Kongresu Sport Biznes Polska, który odbył się 18 marca 2025 roku w Warszawie. Wśród oficjalnych prelegentów tego wydarzenia znalazł się Piotr Borys z Koalicji Obywatelskiej, pełniący w rządzie funkcję wiceministra sportu i turystyki.

Platforma chętnie sięgała też po wydarzenia o masowej, ogólnopolskiej oglądalności. W latach 2024–2025 została oficjalnym partnerem i sponsorem tytularnym wybranych klasyfikacji oraz miasteczek wyścigu Tour de Pologne. Jak wynika z relacji, na trasie oraz na mecie wyścigu w strefach VIP pojawiał się minister sportu i turystyki Sławomir Nitras (KO). Z kolei wicemarszałek Sejmu Monika Wielichowska (KO) brała udział w oficjalnych ceremoniach dekoracji zwycięzców na mecie trzeciego etapu w Dusznikach-Zdroju, gdzie szeroko eksponowano brand kryptowalutowej spółki. Podobna sytuacja miała miejsce podczas Gali Mistrzów Sportu („Przegląd Sportowy" i Polsat) w styczniu 2025 roku. Zondacrypto wykupiła status oficjalnego partnera imprezy, na której na czerwonym dywanie – w otoczeniu reprezentantów resortu sportu, celebrytów i gwiazd liberalnych mediów – intensywnie promowano firmę.

Równie istotnym wątkiem jest współpraca giełdy z Jerzym Owsiakiem. Podczas 33. Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w styczniu 2025 roku Zondacrypto uruchomiła dedykowaną platformę do wpłat kryptoaktywów. Klienci giełdy przekazali za jej pośrednictwem 67 427,63 zł, a spółka zadeklarowała podwojenie tej kwoty z własnych środków. Dodatkowo sam prezes Przemysław Kral dokonał prywatnej darowizny w kwocie 100 000 euro (około 430 tys. zł). Łączna suma przekazana Fundacji WOŚP wyniosła aż 553 511,90 zł.

Na koniec pozostaje kwestia wydatków na reklamę w liberalnych mediach. W kanałach TVN, TVN24 oraz na portalu tvn24.pl wyemitowano reklamy Zondacrypto o wartości od 3 do około 5 mln zł (według danych przywoływanych przez posłów z publikacji „Business Insidera" kwota ta mogła zbliżać się do 6 mln zł). Kampanie reklamowe giełdy emitowano także w kanałach Polsatu oraz na czołowych portalach internetowych – Onecie i Wirtualnej Polsce. Jak ujawniła użytkowniczka portalu X o pseudonimie Explicite PL, Zondacrypto wykupywała też reklamy w TVP w likwidacji. „147 reklam Zondacrypto w jeden miesiąc. W TVP Seriale! To ponad cztery reklamy dziennie! Zondacrypto prowadziła na początku 2025 roku szeroką kampanię telewizyjną, a TVP Seriale było jednym z kanałów z najwyższą liczbą emisji. Publiczna telewizja przez cały miesiąc regularnie pokazywała reklamy giełdy kryptowalut. 147 razy! TVP Seriale jest kanałem, którego nadawcą jest Telewizja Polska S.A. w likwidacji" – pisała internetowa analityczka. GP

FELIETON

{ PAN JACEK DLA CIEBIE }



Jacek **Liziniewicz**

RACHUNKI WŁADZY SPŁACAJĄ NIEWINNI

„Dzik zaatakował ciężarną w Warszawie. Kobieta poroniła” – poinformował dziennik „Super Express”. Nie chcę nawet sobie wyobrażać dramatu tej rodziny. Przecież ta kobieta nie wybrała się na spacer do serca amazońskiej dżungli, ale poruszała się po stolicy ponoć 20. gospodarki świata. W normalnym kraju byłby proces i milionowe odszkodowania, które musiałoby zapłacić państwo za rządy histerycznych przygłupów. To dziecko się nie narodzi. Nie będzie żyło. Nie dorośnie. Wszystko dlatego, że ktoś uważa, że dziki w mieście powinny być normą i zjawiskiem oczekiwanym. Niestety nie mam wiary w państwo polskie. Nie jest ono w stanie wymierzyć sprawiedliwości. W ostateczności sąd znajdzie sobie winnego i nie będzie to ten, który ma zapewniać bezpieczeństwo w miastach, ale ten, którego obarczą środowiska opiniotwórcze. Zawsze bowiem znajdzie się profesor od wszystkiego, który będzie chciał za wszelką cenę budować mit szlachetnego dzika. Tymczasem fakty są takie, że zwierzęta te to kolejny problem władz Warszawy, z którym nie umieją sobie one poradzić. W takich okolicznościach lewica chce nam zafundować eksperyment ekologiczny z niemal całkowitym wstrzymaniem odstrzału w całej Polsce. Wbrew temu, co twierdzą inicjatorzy nowego prawa, to faktycznie wprowadzenie tak restrykcyjnych przepisów sprawiłoby, że na większości terenu naszego kraju polowanie byłoby zakazane. Czy ktoś się zastanawia, co z rolnikami, bezpieczeństwem ludzi i w ruchu drogowym? Obstawiam, że nie. Tak jak nikt się nie zastanawiał co do tego, jakie będą konsekwencje hodowania dzików w Warszawie. Niestety za głupotę nie płacą realni sprawcy, tylko niewinne ofiary. Trudno się z tym pogodzić, że nienarodzone dziecko zapłaciło najwyższą karę za brak wyobraźni decydentów. I chyba nigdy się z tym nie pogodzę. **GP**

Fakty są takie, że dziki to kolejny problem władz Warszawy, z którym nie umieją sobie poradzić.

FELIETON

{ KRÓTKO I NA TEMAT }



Krzysztof **Karnkowski**

...MUSISZ!

Hasło „Tusku, musisz” pierwszy raz pojawiło się w 2007 roku, niedługo przed wyborami, na okładce postkomunistycznej „Polityki”. Chodziło wówczas o wygraną z PiS. Musiał, więc wygrał, a potem hasło powracało wielokrotnie. Tyle razy, że wrzucając je w wyszukiwarkę, zwykły człowiek nawet tych początków sam już raczej nie ustali. Tusk musiał startować na prezydenta, ale nie wystartował, potem znowu coś musiał, potem znowu, nawet teraz mnóstwo stron i grup krzyczy, że premier coś musi. Przede wszystkim, oczywiście, rozliczać i karać, innych rzeczy twardy elektorat nie wymaga. Zdarzali się i tacy, którzy pisali odwrotnie, że wcale nie musi. Najczęściej byli to różni prawicowi komentatorzy i kpiarze, ale zdarzyło się i „Gazecie Wyborczej”. Ta uważała, że Tusk nie musi płynąć z prądem ksenofobii, której według tego środowiska kiedyś Platforma, a dziś Koalicja Obywatelska ulega na każdym kroku. Odnoszę jednak wrażenie, że za chwilę pojawią się nowi adresaci tego wyzwania, ponieważ trzeba będzie na szybko wykreować eks-Platformie jakiegoś koalicjanta, nową Trzecią Drogę. Ktoś krzyknie więc: „Rysiek, musisz!” do Petru albo „Rafał, musisz!” do Trzaskowskiego albo Brzoski. Po wyborach, jeśli głosy ułożą się tak, by wywołać chichot historii, może nawet do Mentzena ktoś napisze: „Sławek, musisz!”. Tylko czy ktoś odważy się wykreować nową partię, choćby w pozornej tylko kontrze do Tuska? Chętni są, ale czy wystarczy im siły, gdy media zaczną ich niszczyć, jak niszczyły nieraz Hołownię, zanim Tusk dał sygnał do odwrotu? Dziwny to będzie sezon polityczny. Ktoś znów będzie musiał oszukać część nieprzypisanego do nikogo na stałe elektoratu, by po głosowaniu było znów tak, jak jest teraz. Sam Tusk raczej już wiele nie zdziała. Afery pogłębiają degrengoladę, czynią szamotaninę bardziej rozpaczliwą, a kolejne polityczne złota okazują się tylko balastem. Ktoś więc będzie musiał… pomóc. **GP**

Czy ktoś odważy się wykreować nową partię, choćby w pozornej tylko kontrze do Tuska?



Nie ostrzegli. Nie zabezpieczyli. OKRADLI

POLSKA 2026 ROKU

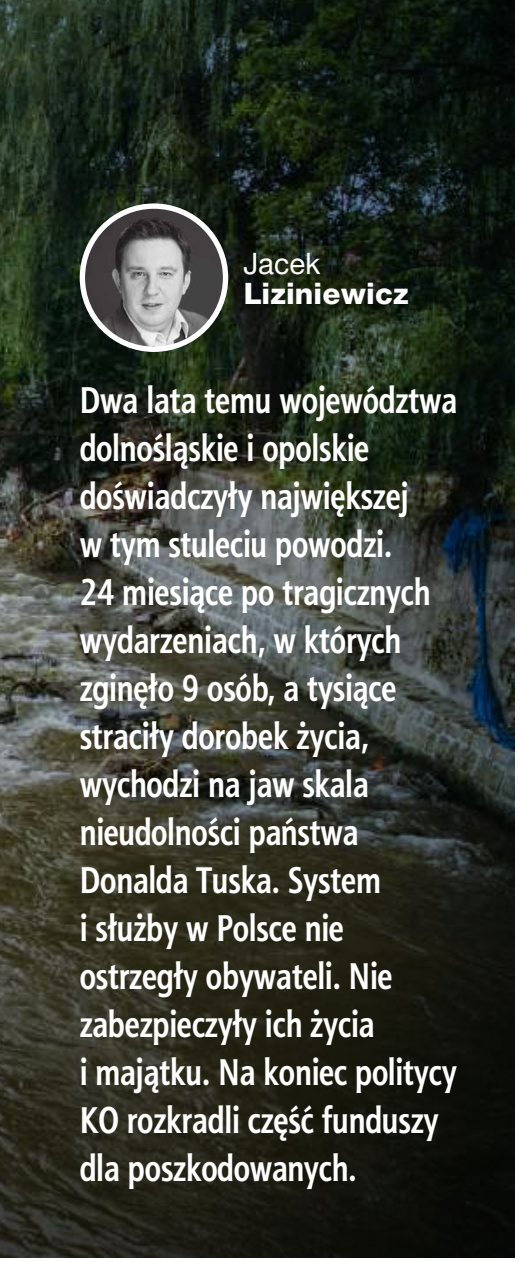
Niemal dwa lata po powodzi Najwyższa Izba Kontroli opublikowała wiele raportów na temat działania służb w czasie powodzi w 2024 roku. Lektura tych dokumentów pokazuje, że Polska nie jest gotowa na jakiekolwiek zjawiska kryzysowe, a rząd Donalda Tuska pogłębia patologię i utrzymuje fikcję, która sprawia jedynie pozory bezpieczeństwa.

RCB nie ma na prąd

Instytucja, która ma powiadomić Polaków o zbliżającym się zagrożeniu, teoretycznie działa w naszym kraju od lat. Rządowe Centrum Bezpieczeństwa kojarzy większość obywateli z otrzymywanych alertów. Jednak okazuje się, że w sytuacjach nadzwyczajnych instytucja sobie nie radzi. Tak było, gdy na teren Polski wleciała rosyjska rakieta, i tak też się stało w czasie powodzi w 2024 roku. Jak się okazuje, instytucja ta jest… trwale niezdolna do realizowania swoich zadań. „Rządowe Centrum Bezpieczeństwa miało określony plan finansowy zarówno na 2024 r., jak i na 2025 r. na poziomie około 12 i około 13 mln zł. (…) Zdecydowana większość środków została zaplanowana na wynagrodzenia i pochodne: odpowiednio 84,1% i 82,4%. (…) Zaplanowana kwota na pozostałe wydatki bieżące w tych latach na poziomie około 1,8 mln zł oraz na wydatki majątkowe na poziomie około 0,2 mln zł nie wystarczała na bieżącą działalność, o czym świadczy fakt, że RCB występowało o zwiększenie planu finansowego na bieżącą działalność" – czytamy w wystąpieniu pokontrolnym NIK-u. Faktycznie więc mamy RCB, w którym są zatrudnione jakieś osoby, ale nie mają one podstawowych narzędzi do realizowania swojej pracy.

I nie chodzi tu nawet o skomplikowany sprzęt. RCB nie ma pieniędzy w budżecie na… energię elektryczną. „W związku ze zgłaszanymi przez RCB potrzebami w zakresie kosztów bieżącego funkcjonowania, budżet Rządowego Centrum Bezpieczeństwa był zwiększany w drodze przeniesienia środków niewykorzystanych przez innych dysponentów, tj. w 2024 r. – o 758 000 zł i w 2025 r. – o 500 000 zł, z przeznaczeniem na opłaty za energię elektryczną i cieplną, czynsz, zakup usług komunalnych, pocztowych, telekomunikacyjnych oraz materiałów eksploatacyjnych" – czytamy w raporcie. Państwo polskie nie wyciągnęło z tej sytuacji żadnych wniosków. MSWiA domagało się większych pieniędzy

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/ GAZETA POLSKA



Jacek
Liziniewicz

Dwa lata temu województwa dolnośląskie i opolskie doświadczyły największej w tym stuleciu powodzi. 24 miesiące po tragicznych wydarzeniach, w których zginęło 9 osób, a tysiące straciły dorobek życia, wychodzi na jaw skala nieudolności państwa Donalda Tuska. System i służby w Polsce nie ostrzegły obywateli. Nie zabezpieczyły ich życia i majątku. Na koniec politycy KO rozkradli część funduszy dla poszkodowanych.

dla RCB o 36 mln zł. W budżecie na 2025 rok środki zwiększone zostały o 1,4 mln zł. W 2025 roku Ministerstwo Finansów w ogóle nie odpowiedziało na wniosek MSWiA. Jakby tego było mało, z jednostki zostali wyrzuceni kluczowi pracownicy. W efekcie RCB nie przygotowało nowelizacji Krajowego Planu Zarządzania Kryzysowego. Jeśli chodzi o same działania, to z uwagi na braki kadrowe w jednostce nie było osoby do czytania wszystkich spływających informacji.

Dalsze działania to już kabaret. Z raportu NIK-u wynika, że RCB o zagrożeniu dowiedziało się z… mediów. „Zgodnie z wyjaśnieniami Zastępcy Dyrektora RCB pierwsza informacja o zagrożeniu niżem genueńskim, która dotarła do RCB, pochodziła nie z wymienionych wyżej instytucji, ale z doniesień prasowych: 10 września osobiście kontaktowałem się z IMGW i stamtąd dostałem pierwszą prognozę, która została przekazana do województw, MSWiA, KPRM" – czytamy w raporcie. Jak się okazuje, RCB nie miało nawet kontaktów do odpowiednich służb, aby zasięgnąć informacji. Te zdobyło dopiero 16 września. Jak ujawniono, wtedy dopiero RCB poprosiło o kontakty do instytucji i ludzi, którzy powinni się znaleźć na posiedzeniu Rządowego Zespołu Zarządzania Kryzysowego. W efekcie SMS-y były mało przydatne, a ich treść ogólnikowa. Co więcej, zdaniem NIK-u nie ma pewności, czy wiadomości dotarły do obywateli przed faktem.

Wojewoda nie chciał martwić

Najwyższa Izba Kontroli w zasadzie we wszystkich skontrolowanych przez siebie jednostkach znajdowała nieprawidłowości. Rekordzistą jednak okazał się urząd wojewody dolnośląskiego. Już w czasie rzeczywistym było widać, że Maciej Awiżeń, który został później odwołany, kompletnie sobie nie radzi. Raport NIK potwierdza te zarzuty. Jeden z „bohaterów" afery kłodzkiej nie przekazywał złych informacji do Rządowego Centrum Bezpieczeństwa. „W dniu 15 września 2024 r. Wojewoda Dolnośląski nie przekazał Dyrektorowi Rządowego Centrum Bezpieczeństwa informacji o przerwaniu zapory w Stroniu Śląskim, co było niezgodne z art. 21 a ust. 1 u.z.k., gdyż zdarzenie to mogło skutkować wystąpieniem sytuacji kryzysowej. W rezultacie informacja o nadchodzącym zagrożeniu nie dotarła do Rządowego Centrum Bezpieczeństwa i nie zostały podjęte działania w celu ostrzeżenia ludności. W czasie powodzi we wrześniu 2024 r. wojewoda dolnośląski posiadał bieżące informacje o sytuacji meteorologicznej i hydrologicznej na obszarze województwa dolnośląskiego, a mimo to nie ogłosił alarmu i pogotowia przeciwpowodziowego na zagrożonych obszarach, co NIK uznała za nierzetelne" – czytamy w raporcie NIK-u. Urząd działający na terenie, który był zniszczony przez powódź tysiąclecia, bagatelizował zagrożenie powodziowe. Nie organizowano szkoleń. Nie aktualizowano dokumentów. Nawet bazy sprzętu na wypadek katastrofy nie były przygotowane. W magazynach tych – jak ustalili kontrolerzy – porobiono składziki, gdzie obok sprzętu do walki z powodzią znajdowały się stare kaloryfery, meble, panele fotowoltaiczne i zapasy z czasów COVID-19. Do części magazynów dostęp był utrudniony przez budowlańców, a jeden z trzech takich obiektów o mało co… nie został zalany. Wojewoda podejmował też dziwne decyzje, jeśli chodzi o najem powierzchni, a także zakupy. W tym czasie pozwolił sobie kupić iPada za 8,5 tys. zł. Tłumaczono to tym, że urządzenie ma możliwości prowadzenia wideokonferencji.

Popowodziowy dramat

Instytucje państwa zachowały się więc w czasie powodzi fatalnie, pogłębiając chaos. Jak się okazuje, nielepiej było również na etapie pomocy poszkodowanym. Dziś wiemy, że dużą część pomocy zwyczajnie rozkradziono. Na razie opinia publiczna mogła zapoznać się z układem polityków KO, który ukradł 4,5 mln zł. Poznaliśmy też społeczną asystentkę Tomasza Siemoniaka, która otrzymała dofinansowanie na swój salon kosmetyczny, który nie działał przez dwa dni. To jednak tylko fragment większej całości. „Centralne Biuro Antykorupcyjne prowadzi kontrolę przestrzegania procedur podejmowania i realizacji decyzji dotyczących wsparcia przedsiębiorców poszkodowanych w wyniku powodzi w 2024 r., udzielanych i rozliczanych przez Karkonoską Agencję Rozwoju Regionalnego SA. Do tej pory dokonano analizy 900 wniosków. Szczegółową dalszą kontrolą objęto ponad 50 wniosków dotacyjnych na łączną kwotę dofinansowania blisko 50 mln zł. Wystąpiono o dodatkowe informacje do kilkunastu instytucji, m.in. do Izby Administracji Skarbowej, Regionalnego Zarządu Wód Polskich we Wrocławiu, Straży Pożarnej, Ministerstwa Rozwoju i Technologii oraz Banku Gospodarstwa Krajowego" – poinformował Jacek Dobrzyński, rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych. Wygląda zatem na to, że państwo walnie przyczyniło się do powodziowego kryzysu i chaosu, aby następnie na nim zarobić. Polska 2026 roku. **GP**



Piotr **Nisztor**

JAK POD RZĄDAMI TUSKA WZROSŁY PRZYCHODY KANCELARII PROFESORA, KTÓRY CHCIAŁ ODWOŁAĆ PREZYDENTA RP W REFERENDUM

PROF. CHMAJ Z KOLEJNYM UŚMIECHNIĘTYM ZLECENIEM

Prestiżowy kontrakt na doradztwo prawne przy realizacji strategicznej inwestycji, budowie Centralnego Portu Komunikacyjnego, zdobyła kancelaria wpływowego konstytucjonalisty sympatyzującego z Koalicją Obywatelską. Wraz z dwiema innymi kancelariami będzie odpowiadać m.in. za przygotowanie opiewających na miliardy złotych umów z podmiotami wykonującymi prace inwestycyjno-budowlane.

To strategiczna inwestycja dla bezpieczeństwa i rozwoju RP, która została rozpoczęta za rządów Prawa i Sprawiedliwości. W 2032 roku w Baranowie – pomiędzy Warszawą a Łodzią – ma zostać uruchomiony największy port lotniczy w Europie Środkowej wraz z infrastrukturą kolejowo-drogową. Za to przedsięwzięcie odpowiada państwowa spółka Centralny Port Komunikacyjny (CPK). Taką nazwę nosił również sam projekt. Jednak w grudniu ubiegłego roku rząd Donalda Tuska przeprowadził rebranding, zmieniając nazwę na „Port Polska". Szacuje się, że ta inwestycja będzie kosztować w sumie 131,7 mld zł. Tylko do końca roku wartość uruchomionych przez CPK przetargów ma opiewać na ponad 50 mld zł. Z kolei w latach 2027–2028 ma to być w sumie przynajmniej 41 mld zł. W większości będą to prace inwestycyjno-budowlane. Z ustaleń „Gazety Polskiej" wynika, że m.in. za przygotowanie tych kluczowych dla pro-

FOT. FACEBOOK

jektu umów w najbliższych dwóch latach będzie odpowiadała Kancelaria Chmaj i Partnerzy. To jedna z trzech kancelarii wybranych do tego zadania przez CPK w ramach zapytania ofertowego. Pierwsze skrzypce w tej kancelarii gra będący partnerem zarządzającym prof. Marek Chmaj – znany konstytucjonalista sympatyzujący z Koalicją Obywatelską, posiadający szerokie kontakty w rządzie Donalda Tuska. To właśnie on przekonywał, że prezydenta RP można odwołać w referendum. Profesor jest kojarzony z Robertem Kropiwnickim, legnickim baronem KO, który przez blisko 2 lata jako wiceminister aktywów państwowych nadzorował szereg kluczowych państwowych spółek. W tym czasie kancelaria Chmaja zaczęła zawierać umowy z niektórymi z tych podmiotów. Zresztą pod rządami Donalda Tuska Chmaj ma złote żniwa. Przychody jego kancelarii z ponad 7 mln zł w 2023 roku wzrosły rocznie do ponad 12 mln zł w latach 2024–2025, gdy u władzy jest rząd Donalda Tuska. „Gazeta Polska" przyjrzała się finansom tej kancelarii oraz szczegółom umowy z CPK.

Znajomość z baronem KO z Legnicy

57-letni Marek Chmaj to wpływowy konstytucjonalista, który w latach 2019–2023 z rekomendacji Koalicji Obywatelskiej zasiadał w Trybunale Stanu. Wcześniej sporządzał opinie na rzecz ugrupowania Donalda Tuska czy warszawskiego magistratu, gdy prezydentem stolicy była Hanna Gronkiewicz-Waltz. Od 2021 roku prowadzi kancelarię Chmaj i Partnerzy. Wspólnikami profesora od lat są dwaj prawnicy: Michał Paprocki i Mariusz Bidziński.

Ze sprawozdań finansowych kancelarii wynika, że jej przychody wzrosły z 2,1 mln zł w 2021 roku do ponad 7 mln zł w 2023 roku. Prawdziwe żniwa rozpoczęły się jednak po przejęciu władzy przez rząd Donalda Tuska, z którym Chmaj ma bardzo dobre relacje. Do grona jego znajomych należy przede wszystkim Robert Kropiwnicki, baron legnickiej KO, który przez blisko dwa lata – do początku listopada 2025 roku – zasiadał na stanowisku wiceministra aktywów państwowych, nadzorując kluczowe spółki kontrolowane przez Skarb Państwa. 7 czerwca 2024 roku Kropiwnicki obronił przewód habilitacyjny w Instytucie Prawa Uniwersytetu SWPS. Cztery dni później tytuł doktora habilitowanego nadała wiceministrowi Rada Naukowa Instytutu, której członkiem jest m.in. prof. Chmaj. Obywaj znają się doskonale. Prawnik w ubiegłej kadencji Sejmu był stałym ekspertem Komisji Nadzwyczajnej do rozpatrzenia projektu ustawy o zmianie Konstytucji RP, której wiceszefem był właśnie Kropiwnicki.

Z ustaleń „Gazety Polskiej" wynika, że m.in. za przygotowanie kluczowych dla projektu CPK umów w najbliższych dwóch latach będzie odpowiadała Kancelaria Chmaj i Partnerzy.

Totalizator, KGHM, ARP, Orlen, PZU

Po przejęciu władzy przez rząd Donalda Tuska kancelaria Chmaja zawarła umowy m.in. z Narodowym Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej nadzorowanym przez Paulinę Hennig-Kloskę, minister klimatu i środowiska, czy Ministerstwem Aktywów Państwowych, w którego kierownictwie zasiadał Kropiwnicki. Jednak przede wszystkim klientami kancelarii profesora stały się spółki kontrolowane przez Skarb Państwa. W 2024 roku kancelaria podpisała też kontrakty z nadzorowanymi przez ówczesnego wiceministra Kropiwnickiego: państwowym monopolistą hazardowym Totalizatorem Sportowym, koncernem energetycznym PGE, miedziowym gigantem KGHM, a także Agencją Rozwoju Przemysłu. Wśród jej klientów znalazły się także dwa największe, kontrolowane przez Skarb Państwa koncerny: PZU i Orlen. W sumie w 2024 roku kancelaria prof. Chmaja – jak wynika ze sprawozdania finansowego złożonego w rejestrze sądowym – zanotowała przychód ponad 12,2 mln zł (notując niespełna 31,4 tys. zł zysku). To o ponad 5 mln zł więcej niż przed rokiem. Z kolei rok 2025 dla Kancelarii Chmaj i Partnerzy okazał się jeszcze lepszy. Spółka prawnicza osiągnęła przychód w wysokości ponad 12,5 mln zł, notując niewielki zysk ponad 38,8 tys. zł.

86 punktów w zapytaniu ofertowym

Rok 2026 dla Kancelarii Chmaj i Wspólnicy może być jeszcze lepszy. Z dokumentów, które są w posiadaniu „GP", wynika, że prawnicza spółka znanego konstytucjonalisty pod koniec kwietnia 2026 roku podpisała umowę ramową z CPK na świadczenie usług w zakresie doradztwa prawnego m.in. przy umowach inwestycyjno-budowlanych. Oprócz niej taki kontrakt zawarły jeszcze dwie inne kancelarie (jedna z Warszawy, druga z Krakowa). Z nieoficjalnych informacji wynika, że kancelaria prof. Chmaja w ramach procedury konkursowej zdobyła najwięcej punktów – 86. Druga z kancelarii zdobyła 80,33 pkt. „W postępowaniu przeprowadzonym w trybie zamkniętego zapytania ofertowego zaproszono 31 kancelarii, z których 12 złożyło oferty. W wyniku oceny ofert zawarto umowy ramowe z trzema kancelariami. Umowa ramowa jest obecnie realizowana. Spółka udziela na jej podstawie zleceń wykonawczych, m.in. na podstawie konkurencyjnej procedury, w ramach którego trzy kancelarie rywalizują między sobą o poszczególne zlecenia wykonawcze" – napisało w odpowiedzi na pytania „GP" Biuro Prasowe CPK. Z ustaleń „GP" wynika, że ten prestiżowy kontrakt obowiązuje dwa lata i opiewa na 370 tys. zł plus VAT. Pytania o kontrakt z CPK, posiadane doświadczenie oraz wzrost przychodów kancelarii w latach 2024–2025 „GP" wysłała do prof. Chmaja. Do momentu zamknięcia tego numeru „GP" nie otrzymaliśmy odpowiedzi. **GP**

PROKURATURA MA SZCZODRY GEST
MILIONY WYDANE NA KANCELARIE PRAWNE



A PROCESY I TAK PRZEGRYWAJĄ!

Grzegorz **Broński**

Apelowaliśmy do prokuratorów okręgowych i regionalnych, by nie zatrudniali za publiczne pieniądze kancelarii adwokackich przeciwko nam. Część posłuchała. Większość jednak zatrudnia przeciwko nam i sobie samym adwokatów oraz radców prawnych – mówi „Gazecie Polskiej" prokurator Jacek Skała, przewodniczący Związku Zawodowego Prokuratorów i Pracowników Prokuratury RP.

Co ważne, w 2023 roku Trybunał Konstytucyjny wydał wyrok, w którym stwierdził bezprawność zamrożenia prokuratorskich wynagrodzeń. – W tym momencie wszyscy szefowie jednostek, najpóźniej w styczniu 2024 roku, powinni wypowiedzieć pełnomocnictwa, uznać roszczenia, jeśli sprawy były w pierwszej instancji, albo cofnąć apelację, jeśli były w drugiej, lub też ich nie wywodzić. Kilku tak zrobiło. Większość jednak sądziła się z nami do upadłego, i to za nasze własne pieniądze zatrudniając adwokatów – podkreśla prok. Skała.

Pozwy prokuratorów

W 2021 roku zamrożono wynagrodzenia prokuratorów. To samo wydarzyło się rok później. Dlatego jesienią 2022 roku ZZPiPP RP zainicjował ogólnopolską akcję. – Stwo-

W Gdańsku niemal milion złotych. W Zielonej Górze i Białymstoku ponad „pół bańki”. Nawet w niewielkiej Świdnicy ponad 300 tys. zł, a wielu innych miastach – stówa i więcej. Na co to poszło? Prokuratury na terenie całej Polski ponoszą zawrotne koszty wynajmowania... kancelarii prawnych! Aby ich reprezentowały m.in. w sporach sądowych z prokuratorami domagającymi się należnych wynagrodzeń. Choć i tak muszą je płacić – z odsetkami.



FOT. ADOBESTOCK

SĄ WYJĄTKI

Prokuratura Okręgowa w Suwałkach przez sześć lat nie wydała ani złotówki na koszty zewnętrznej obsługi prawnej. Także prokuratury regionalne w Białymstoku i Rzeszowie nie korzystały z zewnętrznych podmiotów.

rzyliśmy z udziałem wybitnych cywilistów, również prokuratorów, wzór pozwu – przypomina prok. Skała. W efekcie zainicjowano liczne postępowania, w których prokuratorzy domagali się należnych pieniędzy. W sądowych orzeczeniach sukcesywnie przyznawano im rację, a pomimo to szefowie jednostek nie tylko nie ustępowali, ale niektórzy nawet wynajęli kancelarie prawne do reprezentowania ich w tych procesach. Nie były to incydentalne sytuacje, a wręcz systemowe rozwiązanie bez względu na region Polski. Dlatego Związek Zawodowy Prokuratorów i Pracowników Prokuratury RP wysłał pytania do prokuratur regionalnych i okręgowych w całym kraju. Z odpowiedzi wyłania się dość kuriozalny obraz.

Sypnęli groszem

Aby nie być gołosłownym, kilka przykładów. Tych najbardziej „spektakularnych”. Prokuratura Okręgowa w Gdańsku wydała ponad 460 tys. zł, a regionalna z tego miasta – około 520 tys. zł. Czyli dwie jednostki ze stolicy Pomorza wspólnie wygenerowały (w latach 2022–2025 i części 2026) koszt zewnętrznej obsługi prawnej za niemal milion złotych.

Z kolei Prokuratura Okręgowa w Białymstoku przez dwa lata (2024–2025) na ten cel przeznaczyła niemal 600 tys. zł. W Świdnicy, gdzie działa niezbyt duża prokuratura, w 2024 roku – 145 tys. zł, a rok później już niemal 200 tys. zł!

Ogromną sumę wydano również w Zielonej Górze. Tamtejsza prokuratura podała, że w 2023 roku koszt zewnętrznej obsługi prawnej wyniósł ponad 200 tys. zł, a rok później już niemal 380 tys. zł.

W Prokuraturze Regionalnej we Wrocławiu – za lata 2022–2025 ponad 300 tys. zł, a dochodzi 60 tys. zł z bieżącego roku.

Mnóstwo jest prokuratur, które podpisały umowy z kancelariami prawnymi i zapłaciły za ich usługi po kilkadziesiąt tysięcy złotych. Często najbardziej kosztowny był 2024 rok, czyli już po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego. Co ciekawe, w niektórych przypadkach „zewnętrzna obsługa prawna” staje się coraz droższa.

A kasy niby nie ma…

W skali kraju niewątpliwie chodzi już o miliony złotych, a przecież kwota nieustannie rośnie.

– Czyli środków na podwyżki dla pracowników i asystentów niby brakuje, ale wydano – i nadal się wydaje – ogromne kwoty na wynajęcie zewnętrznych kancelarii! – stwierdził prok. Sebastian Kluczyński, który podkreśla, że będąc szefem Prokuratury Okręgowej w Legnicy, nigdy nie angażował podmiotów zewnętrznych do obsługi prawnej.

Przede wszystkim jednak zbulwersowany jest – podobnie jak koledzy po fachu w całej Polsce – okolicznościami podjęcia takich decyzji. Bo kancelarie prawne de facto zostały zatrudnione do walki z prokuratorami domagającymi się należnych im wynagrodzeń.

– Nawet w momencie kiedy prokuratorzy zarządzający poszczególnymi jednostkami znali już wypracowaną jednolitą linię orzecz-

niczą. Dlatego brnięcie w spory sądowe z prokuratorami, gdy wiadomo, jakie będzie orzeczenie, jest zastanawiające – podkreśla członek stowarzyszenia „Veritas et Ius w Służbie Narodowi" i Niezależnego Stowarzyszenie Prokuratorów „Ad vocem".

Kosztowny upór

– Rezultat tego uporu jest katastrofalny dla finansów publicznych. Prokuratorzy oczywiście odzyskali ponad 200 mln zł z tytułu roszczeń zasadniczych, ale w wyniku przedłużania postępowań wzrosły koszty odsetek od należności głównej. Szacować je można na około 50 mln zł. Do tego doszły koszty obsługi prawnej – wylicza prok. Skała.

Jest jeszcze kwestia doskonale obrazująca podejście obecnego kierownictwa niektórych jednostek do problemu. – Powiedzieliśmy do naszych szefów: nie zatrudniajcie kancelarii, to i my będziemy bez reprezentacji. Ale ponieważ nie posłuchali, to uruchomiliśmy bezgotówkowy system wsparcia prawnego na rozprawach – tłumaczy przewodniczący ZZPiPP RP. – Rezultat jest taki, że poszły kolejne miliony na zwrot kosztów zastępstwa procesowego. Mogę powiedzieć też rzecz, której dotąd nie ujawniałem. Rozmawiałem w 2024 roku z jednym z wysoko postawionych funkcyjnych w prokuraturze. Zachęcałem go wówczas do załatwienia sprawy od ręki i niezwłocznej zapłaty prokuratorom tego, co im się należy. Wtedy z rozbrajającą szczerością osoba ta powiedziała, że mają świadomość słuszności roszczeń, ale są zmuszeni do zaciągnięcia u prokuratorów kredytów na warunkach lichwiarskich z uwagi na wysokie odsetki, które będą musieli zapłacić. Ja to oceniam jako niegospodarność – stwierdził prok. Skała.

Zawiła logika

Schemat niby prosty, ale jakoś trudny do zrozumienia: firma rzekomo nie ma pieniędzy na podwyżki dla pracowników i dlatego wynajmuje prawników, aby w jej imieniu walczyli z nimi przed sądem. Oczywiście sowicie płaci za ich usługi. – Nie potrafię w sposób racjonalny wytłumaczyć, dlaczego zdecydowano się na taki sposób działania. Są przecież prokuratorzy, którzy zajmują się kwestiami tzw. postępowań cywilnych czy też administracyjnych i posiadają stosowną wiedzę, są też wykwalifikowani pracownicy wydziałów budżetowych mogący dokonać stosownych wyliczeń – zaznacza prok. Kluczyński.

A to nie wszystko. Odsetki, które już narosły, a także koszty poniesione na „zewnętrzną obsługę prawną" pozwoliłyby zminimalizować zasadniczy problem.

Prywatne kancelarie prawne de facto zostały zatrudnione przez publiczne prokuratury do walki z prokuratorami domagającymi się należnych im wynagrodzeń.

– Zaspokoiłoby to znaczną część sporów dochodzonych na podstawie złożonych pozwów. Albo można byłoby je przeznaczyć na inne bieżące potrzeby. Bardziej zrozumiałe – podkreśla prok. Kluczyński.

„Natychmiast zerwać umowy"

– Tak samo niegospodarnością jest zatrudnianie przez sześciotysięczną armię prokuratorów, w tym kilkuset cywilistów, prawników do własnej obsługi. Po naszej akcji pozwów – umowy na obsługę, jeśli chodzi koszty, wzrosły kilkakrotnie, a spraw już w sądach nie ma poza pojedynczymi. Na przykład w jednej z prokuratur dokonano zmiany kancelarii i koszty teraz sięgają 200 tys. zł. Jest to 6–7 razy tyle co w roku 2022 czy 2023 – tłumaczy prok. Skała. – Postulujemy jako związek, aby natychmiast zerwać umowy z kancelariami, bo to wstyd, aby prokuraturę reprezentowali w sądach adwokaci. Jest to działalność szkodliwa dla finansów i jawnie antyprokuratorska – ocenił przewodniczący ZZPiPP RP. – Gdy czytamy na przykład niektóre agresywne pisma procesowe adwokatów, to krew się burzy, że sami za to płacimy. W jednej z ostatnich odpowiedzi na pozew odczytaliśmy, że prokurator nie jest pracownikiem, że nie podlega żadnej ochronie krajowego czy międzynarodowego prawa pracy w zakresie norm wypoczynku i w zasadzie może pracować 24 godziny na dobę. Średniowiecze prawnicze, za które jeszcze płacimy z własnych środków.

Oszczędne prokuratury

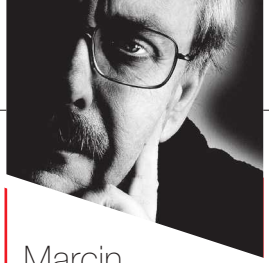
Gwoli sprawiedliwości trzeba koniecznie dodać: nie wszędzie zdecydowano się na tego typu kroki. Chociażby Prokuratura Okręgowa w Suwałkach przez sześć lat nie wydała ani złotówki na koszty zewnętrznej obsługi prawnej. Także prokuratury regionalne w Białymstoku i Rzeszowie nie korzystały z zewnętrznych podmiotów. Identycznie w „okręgach" w Kielcach, Opolu, Legnicy. Z kolei w Tarnobrzegu w 2024 roku wydano nieco ponad 9 tys. zł, a w pozostałych latach równe zero. Nie brak i takich jednostek, gdzie ustalono niewielki ryczałt miesięczny. Niestety, to nieliczne przypadki.

Czas na NIK?

Według prok. Kluczyńskiego informacje ujawnione przez ZZPiPP mogą wskazywać na poważny problem w gospodarowaniu środkami publicznymi przez niektóre jednostki prokuratury. – Jednoznacznie uważam, iż te wszystkie wydatki powinny zostać przeanalizowane, być może przez Najwyższą Izbę Kontroli, aby wyjaśnić, czy decyzje o wydatkowaniu środków były prawnie i ekonomicznie uzasadnione. Nie ma innej możliwości. Nie twierdzę, że takie wydatkowanie naruszało obecnie obowiązujące przepisy prawa, ale chodzi o znaczące środki publiczne, którymi trzeba dysponować nie tylko legalnie, ale również racjonalnie – podkreślił. GP

FELIETON

{ WRZUTKA }



Marcin
Wolski

MĘSKI ORGAN NA USTACH SZCZEPKOWSKIEJ

Wyobraziłem sobie taką scenkę, kiedy za jakiś czas przed kamerami neo-Info wystąpi pani Joanna Szczepkowska i z infantylnym uśmieszkiem oznajmi: „Proszę państwa, 1 września 2026 roku skończyła się w Polsce kultura". Najzabawniejsze, że będzie miała rację, ostateczna zbrodnia na kulturze osobistej dokonała się owego dnia, gdy użyła wobec głowy państwa określenia na cztery litery, będącego czymś gorszym niż sutener, gangus czy batyr, których z powodzeniem używa reszta „elity". Chciałoby się odpłacić pięknym za nadobne, określając aktorzycę, tak jak na to zasługuje, ale jak to zrobić, nie zniżając się do poziomu kloaki? Zastąpię to cichym współczuciem, mimo że atakując Karola Nawrockiego, obraziła wszystkich Polaków, którzy na niego głosowali, a także tych, jeszcze liczniejszych, którzy popierają go obecnie. Dlaczego córka Andrzeja, uchodzącego za jednego z najdowcipniejszych ludzi swej epoki, i wnuczka Jana Parandowskiego, pisarza i erudyty, którego „Alchemię słowa" zaliczam do najpiękniejszych książek napisanych po polsku, wybrała postawę, w której ostatecznym produktem „alchemii słowa" jest siarkowodór? W konkursie na „kulturalnego inaczej" minionego 30-lecia panuje spory ścisk. „Bolek", który ostatecznie zdominował Lecha, zachowuje się jak ranne zwierzę, kąsając wszystkich, którzy znają o nim prawdę, tj. prawie wszystkich. Profesor Stefan Niesiołowski, pełen kompleksów, fobii i zawiści, zmarnował przecież wszystko – legendę Ruchu i zasługi harcownika prawicy lat 90. oddał za miejsce gdzieś w ogonie rydwanu obecnej władzy. A motywy kierujące Romanem Giertychem? Zapewne przemawia przez niego zwierzęcy strach inteligenta, który wie, że nieuchronnie trafi do mamra, gdzie już czekają na niego więksi i silniejsi od niego. Willa w Toskanii go nie uchroni, a obecni wspólnicy z koalicji i tak uważają go jedynie za poputczika. Motywy pani Szczepkowskiej trudniej raczej zrozumieć – ma swój dorobek, pozycję, niczego nie musi. Nawet kłopoty z alkoholem nie usprawiedliwiają takiej skondensowanej dawki agresji. A może to po prostu alergiczna reakcja na starość, lęk przed zapomnieniem i marginalizacją, z którymi trudno się pogodzić? Wielkie systemy filozoficzne – chrześcijaństwo, buddyzm, stoicyzm – proponują pogodzenie się z realiami, nieszkodzenie bliźnim i trwanie przy tym wszystkim, co było w nas piękne. Młode i szlachetne. Na jedną starość wystarczy. **GP**

FELIETON

{ MYŚLI NIENOWE }



Tomasz
Łysiak

JAK ŻYĆ, PANIE PREMIERZE?

Tak się zastanawiam, kiedy w końcu zacznie docierać do wyborców premiera Donalda Tuska, że poziom ich życia drastycznie się pogorszył. I że po prostu za PiS-u żyło im się lepiej. Koszty życia podniosły się potwornie. Od trzech miesięcy mieszkam na stałe we Włoszech – pracuję nad książką o Monte Cassino. Siłą rzeczy zwracam uwagę na podstawowe koszty życiowe (a płacić trzeba w euro). Okazuje się, że większość rzeczy: żywność, wodę, ubrania, usługi, jest tańszych niż w Polsce. To są drobne, ale jak znaczące przykłady. Jedna kawa espresso – od 1 euro po 1,20 w normalnych miejscach (nie mówię oczywiście o zdziercach z Wenecji, tylko o zwykłych barach kawowych we włoskim miasteczku). Czyli średnio 4,50 zł. Proszę mi pokazać miejsce w Polsce, jakieś tam Green Coffe czy Costa Cofee, gdzie dostanę kawę w takiej cenie. Przecież zapłacę co najmniej dwa razy tyle. Dorobienie zwykłego klucza do drzwi wejściowych do domu (oczywiście prostego, a nie jakaś Gerda) – 1–1,5 euro. Woda, owoce, produkty żywnościowe – tu bywa albo podobnie, albo o wiele taniej (na przykład zgrzewka wody mineralnej 6 x 1,5 l – 2 euro, czyli około 8,60 zł – znów dwa razy taniej!). Benzyna – choć na podobnych poziomach, to we Włoszech drożej. Autostrady taniej w przeliczeniu na kilometr. Generalnie na przykład podniesienie średnich cen kawy we Włoszech wywołuje narodową dyskusję. U nas za to wszyscy potulnie kładą uszy po sobie i nic. Czasem ktoś gdzieś coś napisze, powie, ale to tyle. Gdzie jest narodowe oburzenie? Gdzie jest jakaś naturalna reakcja obronna? Czy w końcu ktoś zacznie wracać do dawnych pytań, które już kiedyś rząd Tuska wywróciły – czyli „jak żyć, panie premierze"? Być może sprawy socjalne winny wrócić z największą mocą na agendę wyborczą prawicy, szeroko rozumianej prawicy, jeśli obóz konserwatywny jeszcze chce wrócić do władzy? Tylko czy ktoś to dostrzega? **GP**

Podniesienie średnich cen kawy we Włoszech wywołuje narodową dyskusję. U nas za to wszyscy potulnie kładą uszy po sobie i nic…

MACICE DO WYNAJĘCIA

POLSKIE KLINIKI I SUROGATKI ZE LWOWA

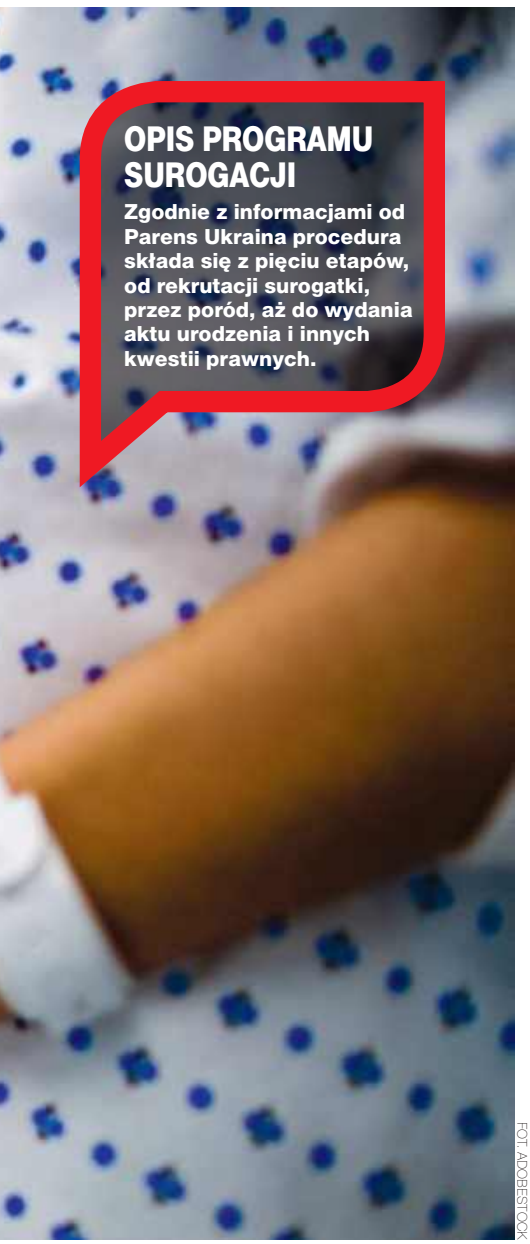


Hubert **Kowalski**

MILIONY Z PROGRAMÓW IN VITRO I MIĘDZYNARODOWY BIZNES

Polska sieć klinik Parens przeprowadza procedury in vitro i otrzymuje wielomilionowe finansowanie z rządowego programu. Gdy dostępne w Polsce metody nie wystarczają, polskie małżeństwo może zapłacić ukraińskiej firmie powiązanej z Polską około 200 tys. zł za znalezienie surogatki we Lwowie, wszelkie sprawy związane z ciążą, porodem oraz aktem urodzenia, w którym wpisani będą tylko przyszli rodzice biologiczni. Z ich zarodka na świat przyjdzie dziecko, które Ukrainka tylko urodzi. Otrzyma wynagrodzenie w wysokości ponad 80 tys. zł. W czasie ciąży będzie pod stałym nadzorem zarówno kliniki, jak i polskich przyszłych rodziców.

Oferty surogacji trafiają do wielu młodych Ukrainek, część decyduje się wynajęcie własnego ciała za pieniądze. Płacą za to ludzie zmagający się z niepłodnością. Wiele środowisk, także Kościół katolicki, zwraca uwagę, że surogacja to w istocie biznes, w ramach którego zarabia się na kobietach, a człowiek staje się towarem. Szczególnie w czasie wojny dotyczy to Ukrainek z ubogich rodzin. Kliniki, które organizują surogację, nazywają ją macierzyństwem zastępczym.



OPIS PROGRAMU SUROGACJI

Zgodnie z informacjami od Parens Ukraina procedura składa się z pięciu etapów, od rekrutacji surogatki, przez poród, aż do wydania aktu urodzenia i innych kwestii prawnych.

FOT. ADOBESTOCK

To brzmi bardziej przyjaźnie i sprawdza się biznesowo.

Jak to działa?

Gotowy zarodek pary trafia do macicy wyselekcjonowanej kobiety. To ona przechodzi ciążę i rodzi, ale zgodnie z ukraińskim prawem i zawartą umową po porodzie nie zostaje matką dziecka. Znalezieniem kobiety zajmuje się lwowska firma Parens, która bezpośrednio poszukuje surogatek. Jak podkreśla na swojej stronie, kandydatki są „starannie wybierane". Kobieta musi być obywatelką Ukrainy, mieć własne zdrowe dziecko, być zdrowa fizycznie i psychicznie oraz prowadzić zdrowy tryb życia. Parens podaje przedział wieku 18–35 lat. Jeżeli kandydatka ma męża, potrzebna jest również jego pisemna zgoda. Za udział w tym programie kobieta otrzymuje duże pieniądze. Wynagrodzenie może sięgać 1 mln hrywien, czyli ponad 80 tys. zł.

Miliony z państwowych programów

Parens to sieć klinik leczenia niepłodności. Jej historia prowadzi do krakowskiego ginekologa Jarosława Janeczki, który od lat zajmuje się leczeniem niepłodności i in vitro. Wielokrotnie występował również w mediach, ostatnio m.in. w TVP, promując in vitro. W 2005 roku uruchomił w Krakowie własną klinikę Parens. Z czasem powstały także placówki w Rzeszowie i Opolu, a Janeczko stał się twarzą rozwijającej się sieci. Nie tylko jako jej właściciel, lecz także jako lekarz i dyrektor medyczny.

W Polsce kliniki Parens to podmioty od lat wykonujące in vitro za publiczne pieniądze poprzez zarówno programy rządowe, jak i finansowane przez samorządy. Parens już w 2013 roku pojawiła się w ogólnopolskim programie in vitro. Na liście znalazły się ośrodki sieci, które łącznie otrzymały 4,4 mln zł finansowania. Po likwidacji programu państwowego w 2016 roku kliniki otrzymywały pieniądze na in vitro od samorządów. W Rzeszowie miejscowa Parens została realizatorem miejskiego programu na lata 2023–2025. Miasto wydało na ten cel 153 tys. złotych. Podobnie było w Opolu. Parens została realizatorem miejskiego programu in vitro na lata 2022–2023, na który przeznaczono 480 tys. zł. W 2024 roku rządowe finansowanie wróciło i Parens ponownie znalazła się w programie. Ministerstwo Zdrowia wybrało do realizacji programu na lata 2024–2028 trzy polskie kliniki grupy. Skala pieniędzy jest już nieporównywalnie większa. Na te lata przewidziano plan finansowania dla Parens łącznie prawie na 88 mln zł. Kwoty te nie były ostateczne.

Alternatywa we Lwowie

Po pierwszych kilku latach działalność sieci Parens wyszła poza Polskę. W 2012 roku pojawiła się we Lwowie. Firma opisuje ten moment jako przeniesienie na Ukrainę doświadczeń polskiego zespołu. Janeczko od lat jest w strukturze właścicielskiej spółki Parens Ukraina, obok ukraińskiego przedsiębiorcy Jurija Semki. Lwowska klinika przedstawia Janeczkę jako człowieka, który stworzył sieć. Lwów jest wprost wymieniany jako istotna część grupy. Tam do prowadzonego w Polsce leczenia niepłodności i in vitro doszła oferta macierzyństwa zastępczego. Obecnie na polskiej stronie Parens można przeczytać: „Nasza placówka we Lwowie w Ukrainie aktywnie pomaga parom, dla których rodzaje i możliwości leczenia niepłodności w Polsce nie są adekwatne do ich potrzeb lub sytuacji życiowej". We Lwowie zarejestrowano również Parens International. Ten podmiot zajmuje się klientami z zagranicy i kwestiami organizacyjnymi. Na swojej stronie wśród „lekarzy i specjalistów macierzyństwa zastępczego" wskazano jednego Polaka, Jarosława Janeczkę. Oficjalnie poprosiliśmy o wyjaśnienie jego roli na Ukrainie. Otrzymaliśmy jedynie zdawkową odpowiedź: „Informujemy, że podmiot Parens International nie wchodzi w skład Grupy Parens". Formalnie Parens International to osobna spółka, której właścicielem jest wspomniany Jurij Semko. Sama Parens International przedstawia się jako międzynarodowy dział Parens Ukraina. Funkcjonują one pod tym samym adresem.

Kandydatka nawet w ciągu tygodnia

Podając się za polską parę szukającą surogatki, zadaliśmy również pytania na czacie strony Parens International. Napisaliśmy, że jesteśmy zainteresowani macierzyństwem zastępczym, i zapytaliśmy, czy możemy skorzystać z surogatki na Ukrainie, wykorzystując nasz zarodek, który powstał w Polsce. Następnie drogą mailową otrzymaliśmy obszerny opis programu surogacji w języku polskim. Cała procedura składa się z pięciu etapów, od rekrutacji surogatki, przez poród, aż do

wydania aktu urodzenia i innych kwestii prawnych. Otrzymaliśmy także szczegółowy cennik, z którego wynika, że w wersji podstawowej koszt takiej „usługi" to 46,8 tys. euro, ale bywa, że do tego dochodzą usługi dodatkowe.

Iryna Szlapak, kierownik działu międzynarodowego Parens International, opisała nam wszystko szczegółowo. Podkreśliła, że firma jest częścią sieci Parens, która prowadzi kliniki leczenia niepłodności również w Polsce. Szlapak zwróciła uwagę, że zgodnie z prawem ukraińskim surogacja jest dostępna tylko dla par heteroseksualnych, które tworzą związek małżeński. Na Ukrainie surogacja jest legalna, gdy surogatka nie jest spokrewniona z dzieckiem, a jednocześnie co najmniej jedno z przyszłych rodziców musi być genetycznie spokrewnione z przyszłym dzieckiem. Kobieta musi również posiadać medyczne wskazania do leczenia niepłodności metodą macierzyństwa zastępczego. W tym celu wymagane jest zaświadczenie lekarskie, które może wystawić ginekolog, specjalista leczenia niepłodności lub nawet lekarz rodzinny. Ma to potwierdzać, że ze względów medycznych samodzielne donoszenie ciąży i poród nie są możliwe lub występują przeciwwskazania. Wśród wskazań wymieniono m.in. brak macicy, deformację szyjki macicy, ciężkie choroby somatyczne, a także co najmniej cztery nieudane transfery dobrej jakości zarodków, które nie doprowadziły do ciąży.

Pracownica Parens International poinformowała nas, że po podpisaniu pierwszej umowy rozpocznie się proces doboru surogatki. Firma ma przesyłać rodzicom profile kandydatek, które zostały zakwalifikowane przez specjalistów Parens. Średni czas doboru matki zastępczej wynosi od tygodnia do półtora miesiąca. Po wybraniu kandydatki organizowane jest spotkanie online lub na miejscu. Parens obiecuje pełne wsparcie prawne na wszystkich etapach oraz uzyskanie ukraińskiego aktu urodzenia. Stan surogatki będzie kontrolowany przez całą ciążę, a przyszli rodzice na bieżąco otrzymają wszelkie informacje. Od 20. tygodnia kobieta przeprowadzi się bliżej szpitala położniczego we Lwowie, by mieć zapewniony szybki dostęp do opieki.

Dokument do transportu

Lwowska Parens przyjmuje zarodki po otrzymaniu dokumentów z kliniki, w której zarodki zostały utworzone i są przechowywane. Chodzi o protokół „hodowli" i mrożenia zarodków, wyniki kilku badań oraz oświadczenie potwierdzające genetyczne pokrewieństwo z zarodkiem. „Jeżeli zarodki nie zostały jeszcze utworzone i planują Państwo przeprowadzenie procedury IVF w klinice Parens Kraków lub innej placówce, rekomendujemy wykonanie badania PGT-A/PGD w celu wykluczenia nieprawidłowości genetycznych zarodka i zwiększenia szans na powodzenie programu" – czytamy.

Parens już w 2013 roku pojawiła się w ogólnopolskim programie in vitro. Na liście znalazły się ośrodki sieci, które łącznie otrzymały 4,4 mln zł finansowania.

Zaproponowano nam kilka możliwości, także transport zarodków. To opcja dla pacjentów, którzy posiadają własne zarodki utworzone podczas wcześniejszych procedur in vitro w innej klinice i planują ich transport do kliniki Parens Ukraina we Lwowie. Parens rekomenduje nawet ukraińską firmę kurierską do przewozu materiału biologicznego z kliniki w Polsce na Ukrainę. Co istotne, Parens International przesłało nam wzór zaświadczenia i jednocześnie formularz do wypełnienia przez klinikę, w której wcześniej utworzono i przechowywano zarodek. Ma być potwierdzeniem genetycznego pokrewieństwa przyszłych rodziców z zarodkiem. Na przykład klinika w Polsce ma wpisać m.in. dane pary, datę i liczbę utworzonych zarodków, stadium ich rozwoju, pochodzenie komórek rozrodczych oraz informacje o ich zamrożeniu i przechowywaniu. Na końcu klinika ma zaświadczyć, że opisane zarodki zostały wydane w celu przetransportowania na Ukrainę do Parens Ukraina. Formularz przewiduje podpis upoważnionego przedstawiciela kliniki, na przykład embriologa lub dyrektora medycznego.

Akt do rejestracji w Polsce

Po porodzie urodzone przez Ukrainkę dziecko ma trafić wraz z rodzicami do Polski. Biologiczni rodzice są wpisywani do ukraińskiego aktu urodzenia. „W ciągu kilku dni po porodzie nasz dział prawny zajmie się uzyskaniem ukraińskiego aktu urodzenia dziecka, w którym Państwo zostaną wpisani jako rodzice. Dokument ten będzie następnie wykorzystany do dalszej rejestracji dziecka w Państwa kraju zamieszkania" – czytamy. Po polskiej stronie działa natomiast procedura transkrypcji zagranicznego aktu urodzenia. Na ogół jego treść, jeżeli nie widać ewidentnych nieprawidłowości, jest po prostu przenoszona do polskiego rejestru. Transkrypcji dokonuje polski urząd stanu cywilnego. W praktyce ukraiński akt może przejść do polskiego systemu bez informacji, że doszło do surogacji. Co istotne, polski Kodeks rodzinny stanowi, że matką jest kobieta, która dziecko urodziła. Problem polega na tym, że w praktyce polskie urzędy często nie wiedzą, kto urodził. Z instrukcji polskiego MSZ dotyczącej transkrypcji ukraińskich aktów urodzenia wynika, że konsulat wymaga tylko wniosku o transkrypcję do urzędu stanu cywilnego, oryginału zagranicznego aktu, tłumaczenia aktu, w niektórych sytuacjach aktu urodzenia jednego z rodziców. Nie wymaga żadnej dokumentacji medycznej dotyczącej ciąży. GP

FELIETON

{ PRZESZŁOŚĆ POWRÓCI IDEĄ }

RAGINIS JAK LEONIDAS



Tadeusz **Płużański**

10 września 1939 roku padła polska pozycja umocniona pod Wizną, gdzie żołnierze Wojska Polskiego stawiali opór wielokrotnie silniejszym jednostkom niemieckim, a jej dowódca, kpt. Władysław Raginis, popełnił samobójstwo. Miał 38 lat. Urodził się 28 czerwca 1908 roku w Dyneburgu, należał do Korpusu Ochrony Pogranicza. W marcu 1939 roku pełnił służbę w batalionie fortecznym KOP „Sarny" jako dowódca plutonu 4. kompanii. 27 sierpnia 1939 roku obsadził schrony bojowe twierdzy Osowiec na linii Wizna. 2 września objął dowództwo nad całością obrony odcinka, który był fragmentem linii obronnej Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew". Wizna zamykała ważne arterie komunikacyjne, czyli szosę Łomża–Białystok i drogę Zambrów–Osowiec, przed nacierającym XIX Korpusem Armijnym pod komendą gen. Heinza Guderiana. 10 września 1939 roku, po wielu godzinach obrony, stanowisko polskiego wojska pod Wizną padło. Kapitan Władysław Raginis najpierw rozkazał swoim żołnierzom złożyć broń i oddać się do niewoli, a następnie, ciężko ranny, popełnił samobójstwo. Dopełnił słów złożonej przysięgi, że żywy nie odda bronionej pozycji. „8 września rozpoczęła się/ Wściekłość Rzeszy/ Nawałnica z moździerzy i dział/ Utrzymać pozycje, bunkry wytrzymają/ Kapitan przysiągł na swe życie/ »Tutaj spotkam się z przeznaczeniem!«/ Dźwięk artyleryjskiego ostrzału/ Przeszywający huk dział" – śpiewa szwedzka grupa Sabaton. Na Górze Strękowej koło Wizny – gdzie we wrześniu 1939 roku tętniło serce polskiego oporu – odbył się w 2011 roku symboliczny pochówek ekshumowanych szczątków bohaterskich obrońców ojczyzny. Spoczęły w mogile wojennej, urządzonej we wnętrzu rozbitego schronu dowodzenia obroną odcinka Wizna. W dniach 7–10 września 1939 roku pod Wizną Wojsko Polskie, około 720 żołnierzy pod dowództwem Władysława Raginisa, stawiło opór ponad 30 tys. uzbrojonych w broń pancerną żołnierzy niemieckich, walczącym o przeprawy w okolicach rzek Narew i Biebrza. Bitwa z powodu dysproporcji sił jest nazywana polskimi Termopilami. Już po wojnie umieszczono tu tablicę z napisem: „Przechodniu, powiedz Ojczyźnie, żeśmy walczyli do końca, spełniając swój obowiązek". GP

FELIETON

{ PLAGI AKADEMICKIE }

PROFESORÓW PORTRET WŁASNY



Józef **Wieczorek**

Skandal wokół raportu „Polaków portret własny" zdominował polskie media, bo sprawa jest medialna i ma silny kontekst polityczny. Inaczej chyba by nie zaistniała. Mnie nawet nie zbulwersowała, bo o fikcjach „naukowych" piszę od lat, pod refleksję, ale tej na ogół nie ma. Gdyby było inaczej, to i tej sprawy mogłoby nie być. Polaków portretu własnego chyba nie będzie, choć taki portret – i to wspaniały – był już w PRL w postaci słynnej wystawy pod tym tytułem w Muzeum Narodowym w Krakowie. Zgiełk medialny skoncentrowany jest na profesorce mającej problemy z własną inteligencją, którą inteligencja sztuczna – można powiedzieć – wyrzuciła z pracy. Pod wpływem raportu AI doznała podobno halucynacji, tak że nasz wybitny specjalista językowy prof. Bralczyk nie był w stanie dociec, co ten raport zamarkował. A miała to być Marka Polska tworzona przez pajęczynę ekspertów, z udziałem rektora markowej polskiej uczelni – Uniwersytetu Jagiellońskiego. Taka to marka! Ale warto mieć na uwadze, że „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło", o czym media zapominają, kamienując profesorkę i zarazem AI, choć ta jest tylko narzędziem. To tak, jakby winić młotek, że zamiast rozbić skałę, rozbił kolano niedorajdzie, która się nim posługiwała. „Mleko się rozlało". Przeciętni Polacy swojej twarzy w tym kosztownym projekcie nie zobaczyli, ale produktem ubocznym tej „sprawy Gorgoniowej" może być profesorów portret własny. I dobrze by było, aby on powstał i aby polscy podatnicy/obywatele wreszcie go ujrzeli. Jest szansa, aby wydostać go z magazynów, gdzie jest wstydliwie ukrywany przed jakże często duraczonym społeczeństwem. Takich profesorów mamy niemało, i to nie tylko uczelnianych (zwanych „podwórkowymi"), lecz także wśród „belwederskich" i nawet najdoskonalszych z doskonałych, bo tworzących Radę Doskonałości Naukowej. Jeden zbulwersowany profesor już zagroził zwrotem tytułu, aby go nie identyfikowano z taką menażerią. Czy inni pójdą w te ślady? Wątpię. Ale profesorów portret własny z tej sprawy już się wyłania. GP

Uwaga: Polecamy książkę autora pt. „Z akademickiej otchłani". Dostępna w sklepie „Gazety Polskiej".



Dawid
Wildstein

ZondaGiertych



To, że obecna władza zdecydowała się, iż twarzą „wyjaśnienia afery Zondacrypto" będzie jeden z najbardziej umoczonych, brutalnych dresiarzy politycznych w Polsce, Roman Giertych, fakt, że (w większej mierze) to na jego sitwie medialnej opiera się dziś przekaz rządu, pokazuje jedno: prawda jej nie interesuje. Realne cele mogą być tylko dwa. Albo chodzi o rozkręcenie do maksimum awantury medialnej i przykrycie tym kolejnych wtop tej władzy, albo Giertych przygotowuje propagandową podkładkę do prawdziwej politycznej bandyterki.

PUBLICYSTYKA

Podstawowy problem polega na tym, że w normalnym państwie moglibyśmy po prostu poczekać na ustalenia prokuratury w sprawie Zondy. Następnie dziennikarze powinni sprawdzić wiarygodność i odpowiedzi oskarżonych. W dzisiejszej Polsce jest to niemożliwe. Nawet pomijając Giertycha, już teraz widać, że prokuratura bierze udział w politycznej i propagandowej ustawce.

Gwarant nieuczciwości

Bezczelność prokuratury jest imponująca. W kolejnych komunikatach nie ukrywa ona, że jej celem jest uderzenie w opozycję – eksponuje bowiem tylko kwestie powiązane z prawicą. Podobnie kolejne przecieki z tej instytucji do funkcjonariuszy medialnych obecnej władzy pokazują wyraźnie, że jedyny wątek Zondacrypto, jaki ją interesuje, to ten, który można wykorzystać do walki z polityczną konkurencją Tuska. Dochodzi więc do zupełnie absurdalnej sytuacji. Prokuratura staje po stronie przestępcy, który okradł dziesiątki tysięcy Polaków, zapewniając mu ochronę w zamian za to, że umożliwi on propagandowy atak na opozycję. Co więcej, jednym z prokuratorów za to odpowiedzialnych okazuje się niejaki Wełna, człowiek jednoznacznie powiązany z Giertychem, o którym dziennikarz śledczy Leszek Kraskowski wprost mówi, że to on stał za decyzją o umorzeniu sprawy Polnordu.

I tu dochodzimy do grzechu pierworodnego całej tej sytuacji. Mowa oczywiście o prawej ręce Tuska, mecenasie Giertychu. Jeśli czegoś ten człowiek jest gwarancją, to tylko tego, że nie będzie żadnego uczciwego śledztwa. I to nie tylko dlatego, że za Giertychem ciągnie się smród jednej z największych afer ostatnich lat, bezczelnie i politycznie skręconej przez władzę, czyli Polnordu, w której wątek rosyjski jest jednym z najważniejszych. Nie chodzi też o jego niebywałą werbalną agresywność, regularne kłamstwa czy fakt, że aktywizuje on jedną z najbardziej prymitywnych, patologicznych grup w polskim internecie, jaką są Silni Razem. Wystarczy jedynie spojrzeć na ostatnie śledztwa, w które ten polityczny dresiarz się publicznie zaangażował – w każdym z nich doszło do gigantycznych nadużyć i nieprawidłowości. W ich trakcie nie tylko nie przestrzegano prawa, lecz także łamano podstawowe swobody obywatelskie. Mowa o śledztwie w sprawie księdza Olszewskiego i dwóch byłych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości oraz RARS-u, podczas którego aresztowano Annę Wójcik, dyrektor Biura Prezesa Rady Ministrów. W pierwszym wypadku sam rzecznik praw obywatelskich potwierdził nie tylko łamanie praw, lecz wręcz „nieludzkie traktowanie". Jeśli zaś chodzi o Wójcik, doszło do skandalu, który powinien na zawsze wykluczyć Giertycha z życia politycznego. Otóż prawa ręka Tuska stwierdziła, że jeśli kobieta sypnie jakiegoś ważnego polityka PiS-u, to będzie mogła „zająć się synem". Dodajmy do tej obrzydliwości fakt, że dziecko to jest w spektrum autyzmu i próbowało popełnić samobójstwo podczas nieobecności matki.

Uwierzcie mi na słowo

W normalnym państwie ktoś taki jak Giertych powinien już dawno siedzieć w więzieniu. Tymczasem nie tylko jest jedną z najważniejszych osób w kraju, ale jeszcze jest na tyle bezczelny, że publicznie przyjmuje rolę obrońcy człowieka, którego ofiarą padły tysiące Polaków. Co więcej, Giertych nawet nie ukrywa, że robi to na zlecenie czysto polityczne, czyli żeby „zniszczyć PiS". Ta chora sytuacja nie jest w żaden sposób do wytłumaczenia. Dodatkowo pogłębia ją jeszcze fakt, że coraz wyraźniejsze jest, iż – mimo buńczucznych zapowiedzi Giertycha i jego mediów – nie ma w niej żadnego „mięsa". Rewelacje



FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

obecnej władzy w sprawie Zondacrypto (mówię o tym, co na tę chwilę zostało zaprezentowane) najlepiej podsumował sam Giertych we wpisie, jaki zamieścił na portalu X: „Uwierzcie mi. Ten zegarek to pikuś". To jest clou narracji uśmiechniętej Polski – trzeba jej „uwierzyć na słowo".

Tutaj dochodzimy do fundamentalnej roli mediów sprzyjających tej władzy, a konkretniej grupy medialnych funkcjonariuszy, których lojalność wobec Giertycha jest jednoznaczna. To dzięki tym ludziom, których należy traktować jako narzędzia polityczne tej skompromitowanej persony, ten groteskowy cyrk może trwać. Pamiętajmy, że jak ujawniły tzw. taśmy Giertycha, które opublikowała TV Republika, mowa tu o najważniejszych postaciach mediów powiązanych z tą władzą. To one są głównymi pudłami rezonansowymi giertychowej propagandy. Idealnym przykładem tej szopki pt. „Wiem, ale nie powiem", była rozmowa Giertycha z, jak ją określa Krzysztof Stanowski, „arcykapłanką propagandy" Dorotą Wysocką-Schnepf na antenie TVP Info w likwidacji. Nie padł tam ani jeden konkret, żaden news, nie przeszkadzało to jednak głównym autorom tego żenującego spektaklu tworzyć atmosfery skrajnego zagrożenia, niesamowitej zbrodni, ostatecznej kompromitacji właściwie całej opozycji. Zafrasowana Dorota dopytywała Romana, czy naprawdę ta afera jest aż tak straszna, zaś przejęty Roman odpowiadał, że jest nawet gorzej, no ale trzeba mu uwierzyć na słowo. Dorota Schnepf oczywiście całą sobą pokazywała, jak bardzo wierzy swojemu rozmówcy. Warto też dodać, że jedną z głównych postaci z Onetu, która odpowiedzialna jest za rozpowszechnianie rządowej narracji o Zondacrypto, jest Kamil Dziubka, człowiek, który robił ze skazanego na bezwzględne więzienie za korupcję (w pierwszej instancji) Gawłowskiego więźnia politycznego PiS-owskiej dyktatury. Dziubka także, jak ze wspomnianych już taśm wynikało, jest na jeden jego telefon. Nic dziwnego, że do operacji „Zonda" wybrano właśnie tego typu funkcjonariuszy politycznych.

Zadanie dla opozycji

Skoro jesteśmy przy Onecie, zauważmy, w jak wielu aspektach operacja medialna „Zondacrypto" przypomina atak na Karola Nawrockiego podczas kampanii prezydenckiej. Onet w podobny sposób podkręcał wtedy emocje, mamił „obietnicami", że zaraz światło dzienne ujrzą wprost niesłychane zbrodnie, ale na ten moment musimy uwierzyć na słowo anonimowym źródłom. Oczywiście na obietnicach się skończyło. Dzisiejsza operacja propagandowa władzy ponownie wymierzona jest właśnie w Karola Nawrockiego i ma tę samą strukturę. Najpierw następuje powiązanie – za pomocą półsłówek, sugestii, manipulacji – prezydenta z działaniami przestępczymi. Następnie, poprzez zwyczajne przywoływanie jego nazwiska przy kolejnych materiałach o tej aferze, wdrukowuje się w odbiorcach tej propagandy odpowiednie ciągi skojarzeniowe i odruchy mentalne. Zauważmy, że nawet najwięksi i najbardziej agresywni propagandyści tej władzy nie oskarżyli głowy państwa o relacje czy współpracę z przestępcami z Zondacrypto. Niemniej w każdym artykule, w każdym materiale systematycznie, w sposób niezwykle wręcz skrupulatny pilnuje się, żeby jego postać została wymieniona obok najcięższych oskarżeń czy informacji o kolejnych zatrzymaniach.

Tego typu taktyka przynosi efekt, co widać w komentarzach odbiorców. Pokazuje ona też siłę mediów powiązanych z władzą – w końcu skutecznie przykryły one afery, które mogły naprawdę pogrążyć ten rząd i w które, nie na poziomie sugestii czy „wiary", zamieszani byli konkretni politycy rządzącej formacji. De facto ze społecznego radaru zniknęły sprawa rozkradania pomocy powodzianom (zatrzymano już kilku członków KO), afera Króla, pokazująca, że obecna formacja rządząca stworzyła wokół dotacji unijnych de facto mafijny system, w końcu sprawa ochrony zdrowia i Dawida Kacprzyka, którego prokuratura nadal nie przesłuchała. To pokazuje, że medialny spektakl wokół Zondacrypto należy też traktować jako formę „ucieczki do przodu" tej władzy. Nie zmienia to, rzecz jasna, faktu, że każdy polityk, tak opozycji, jak i rządu, który faktycznie pobierał pieniądze z tej organizacji, który jeździł na wycieczki finansowane przez Krala etc., powinien się z tego wytłumaczyć. Jednocześnie jednak jest oczywiste, że tej władzy chodzi głównie o ukrycie własnych afer. Dlatego zadaniem opozycji jest przypominać o tych skandalach – nie tylko ze względu na własny interes, na to, ile może na nich ugrać, lecz także ze względu na dobro państwa. **GP**



Piotr
Grochmalski

PUBLICYSTYKA

DEKALOG
STRATEGICZNYCH KATASTROF TUSKA
Część II

Dopiero szeroka, panoramiczna analiza skutków działań ekipy 13 grudnia na wielu poziomach strategicznych pozwala dostrzec, a także ujawnić skalę narastającego zagrożenia, chaos decyzyjny, rozmiary dewastacji państwa i naszych narodowych perspektyw.



Z jednej strony Rosja, w ocenie Instytutu Badań nad Wojną, prowadzi dzisiaj pełnoekranowy konflikt z Polską i NATO poniżej progu agresji militarnej, którego celem jest sparaliżowanie instytucji państwa i zastraszenie społeczeństwa, z drugiej strony ekipa 13 grudnia prowadzi agresywną politykę niszczenia prawnych i społecznych podstaw naszej państwowości. Od lat walczymy o nasz udział w programie Nuclear Sharing. Wzmocniłoby to nasze bezpieczeństwo i zdolności odstraszania. Tymczasem wiceminister obrony narodowej Paweł Zalewski 27 sierpnia 2026 roku odpalił komunikat strategiczny, który pojawił się na czołówkach gazet na świecie: „Chciałbym powiedzieć to bardzo jasno i otwarcie: Polska nie chce, aby na jej terytorium znajdowały się głowice nuklearne". Innymi słowy Zalewski ogłosił, że Polska nie chce Nuclear Sharing.

W tym kontekście demontowania naszego bezpieczeństwa militarnego prezentujemy drugą, ostatnią część ubiegłotygodniowego raportu o strategicznych katastrofach Tuska, która tym razem obejmuje takie zagadnienia, jak: 1. katastrofa bezpieczeństwa energetycznego; 2. katastrofa demograficzna; 3. katastrofa przemysłowa; 4. katastrofa fiskalno-obronna; 5. katastrofa kapitałowa; 6. katastrofa strategicznego zarządzania państwem, ukazująca totalny chaos zamiast długookresowej wizji.

1. Katastrofa bezpieczeństwa energetycznego – droga energia staje się hamulcem rozwojowym dla przemysłu i społeczeństwa

Przypadek sprawił, że 31 sierpnia br. byłem w Gryfinie, na spotkaniu z tutejszą patriotyczną elitą miasta, które doświadczyło tego dnia cywilizacyjnej katastrofy. Zostały zamknięte dwa ostatnie bloki elektrowni węglowej Dolna Odra, co ostatecznie skasowało tę gigantyczną inwestycję, w momencie gdy Niemcy poważnie rozważają powrót do elektrowni węglowych. To potężny cios dla tego granicznego miasta, ale też całego Pomorza Zachodniego, w czasie gdy pojawia się coraz więcej publikacji polskojęzycznych podważających polskość tych ziem. To element szerszej katastrofy. Dramatycznie wysokie ceny energii uderzają bezpośrednio w Polaków, drenując ich zasoby rodzinne, ale stały się też mechanizmem systematycznie osłabiającym konkurencyjność całej gospodarki. Przerażająca jest skala tego zjawiska, potwierdzona przez niezależne, apolityczne ośrodki analityczne, przy bierności i bezradności rządu. Polska średnia cena hurtowa energii w 2025 roku wynosiła około 105 euro/MWh, a wśród dużych przedsiębiorstw w Unii Europejskiej to właśnie polski przemysł płacił najwięcej – 171,6 euro/MWh w II połowie ubiegłego roku. To wprawdzie drobna poprawa wobec 185,6 euro/MWh rok wcześniej, ale nie zmienia to faktu, że Polska pozostaje liderem tego niechlubnego rankingu w całej UE, a Międzynarodowa Agencja Energetyczna (IEA) szacuje, że koszty energii dla europejskiego przemysłu energochłonnego bywają nawet trzykrotnie wyższe niż u konkurentów z Azji czy USA.

Koszty energii są jednym z kluczowych czynników wpływających na konkuren-



FOT. ADOBESTOCK

cyjność gospodarki. W przypadku Polski taka sytuacja jest zagrożeniem uderzającym w nasze perspektywy rozwoju. To też przesądza nie tylko o kurczeniu się naszych zdolności do budowy silnej gospodarki, lecz także uderza we wszelkie plany modernizacji naszej armii. Rok 2026 pogłębił ten problem. Forum Energii w swoim najnowszym raporcie „Transformacja energetyczna w Polsce. Rocznik 2026" forsuje wygodną dla rządu narrację, że obecną falę drożyzny w Polsce trzeba wiązać z globalnym wstrząsem geopolitycznym, wywołanym konfliktem zbrojnym na Bliskim Wschodzie. To propagandowe oszustwo pomija fakt, iż w marcu i kwietniu 2022 roku koszt baryłki ropy Brent przekroczył poziom 130 dolarów, a teraz jest na poziomie 95 dolarów, co oznacza, że rząd Zjednoczonej Prawicy był w zdecydowanie trudniejszej sytuacji. Tymczasem ubiegłotygodniowy wzrost ceny paliwa o 1 zł z dnia na dzień, połączony z jego brakiem w wyniku masowego szturmu na stacje benzynowe, to sytuacja bez precedensu w całej historii III RP. Tusk, który jeszcze w kampanii wyborczej obiecywał paliwo za 5,19 zł za litr, otwiera drogę do zabicia gospodarki gigantycznym skokiem inflacyjnym i wyśrubowaniem cen benzyny na poziom 10 zł. To wymowny sygnał katastrofalnej polityki energetycznej obecnego rządu.

A to dopiero pierwsze symptomy nadchodzącej zapaści. Polska, która śpi na węglu, jest równocześnie silnie uzależniona od importu paliw kopalnych. Koszty ich zakupu nadal są ogromne – od początku 2016 roku wydaliśmy na import surowców i paliw kopalnych już 1,3 bln zł! Najbardziej niepokojący jest sygnał wybiegający w przyszłość: kontrakty terminowe z dostawą w 2027 roku, wyceniane na początku 2026 roku, wskazują, że Polska może stać się najdroższym rynkiem energii w całej Europie, z cenami przekraczającymi o ponad 100 proc. poziom notowany we Francji – mimo że jeszcze rok wcześniej polskie ceny mieściły się w europejskiej średniej. Poprzez szaloną politykę energetyczną ekipa Tuska doprowadziła do utrwalenia się niepokojącego i zabójczego trendu dla całej gospodarki. Konsekwencje dla przemysłu energochłonnego – hutnictwa, cementu, chemii, papiernictwa – są już namacalne i przekładają się na twarde dane produkcyjne: rosnący import cementu do Polski, także z krajów UE, systematycznie wypiera produkcję krajową, a branże te otwarcie mówią o zagrożeniu dla swojego dalszego istnienia, apelując o mechanizmy wsparcia na wzór niemieckich taryf przemysłowych. To jest namacalny przykład mechanizmu, w którym droga energia funkcjonuje de facto jak dodatkowy podatek nałożony na najbardziej pracochłonne i kapitałochłonne gałęzie polskiego przemysłu, obniżając ich zdolność konkurowania na rynkach międzynarodowych, gdzie zagraniczni rywale korzystają z tańszej energii i mniej obciążonych systemów regulacyjnych.

2. Katastrofa demograficzna – polityka pogłębiania tempa anihilacji narodu

Rząd 13 grudnia, wbrew art. 18 Konstytucji RP, który stanowi, że „Małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej", forsuje politykę destrukcji struktury społecznej, uderzając w status rodziny i promując związki homoseksualne. To szokujące, ale w Unii Europejskiej staliśmy się liderem wśród państw najszybciej się wyludniających. Kryzys demograficzny Polski przestał być scenariuszem prognostycznym, a stał się bieżącą rzeczywistością statystyczną, co czyni go najgłębszym i najtrudniej odwracalnym z opisywanych zagrożeń strategicznych. Co gorsza, z tego dramatycznego punktu, w którym się znaleźliśmy, prawdopodobnie nie uda się nam wyjść. Bo nikomu na

świecie taka sztuka wcześniej się nie udała. Już od 2012 roku liczba ludności zaczęła powoli, sukcesywnie spadać. „Anihilacja narodu" coraz bardziej wydaje się nieunikniona w odróżnieniu od finansów publicznych czy cen energii, w których to obszarach zmiana rządu i racjonalne decyzje polityczne mogą jeszcze uratować kraj przed katastrofą i zmienić trajektorię w ciągu kilku lat. Tu skutki dzisiejszych trendów będą odczuwalne przez dekady, a skala dewastacji, jaka nastąpi, negatywnie wpłynie na wszystkie obszary funkcjonowania państwa.

Współczynnik dzietności spadł w 2025 roku do 1,068 wobec 1,099 rok wcześniej i 1,99 w 1990 roku. To poziom radykalnie odbiegający od progu 2,1 dziecka na kobietę, zapewniającego prostą zastępowalność pokoleń. Liczba urodzeń żywych skurczyła się z 547,7 tys. w 1990 roku do 413,3 tys. w 2010 roku i 355,3 tys. w 2020 roku, a w 2025 roku liczba zgonów przewyższyła liczbę urodzeń o 168 tys., co dało współczynnik przyrostu naturalnego na poziomie minus 4,5 na 1000 ludności. Na koniec czerwca 2026 roku Polska liczyła 37 mln 243 tys. mieszkańców, a w ciągu 2024–2025 ubyło 157 tys. osób – to odpowiednik zniknięcia z mapy miast wielkości Opola i Sopotu razem wziętych. Ludności przybywa niemal wyłącznie w największych aglomeracjach, podczas gdy reszta kraju systematycznie się wyludnia, co oznacza postępujące pustynnienie demograficzne Polski powiatowej i wiejskiej, nie tylko spadek liczby ludności w skali ogólnokrajowej. Nowe prognozy GUS, przygotowane właśnie dlatego, że rzeczywistość okazała się gorsza od założeń z 2023 roku, nie pozostawiają złudzeń co do skali problemu: nawet najbardziej optymistyczny wariant przewiduje spadek populacji do 32,3 mln w 2060 roku (o 13,9 proc.), a wariant łączący niską dzietność z wydłużonym trwaniem życia – do 29,4 mln. We wszystkich scenariuszach liczba osób w wieku przedprodukcyjnym i produkcyjnym będzie systematycznie maleć, przy jednoczesnym wzroście liczby osób w wieku poprodukcyjnym, a w najbardziej pesymistycznym wariancie udział dzieci i młodzieży w populacji spadnie do zaledwie 12 proc. ogółu ludności.

To radykalnie przekłada się nie tylko na bezpieczeństwo gospodarcze Polski, lecz także nasze zdolności mobilizacyjne. Seria sondaży IBRiS przeprowadzonych w 2026 roku pokazuje niepokojący obraz. W badaniu dla Radia ZET z lipca br. gotowość do obrony kraju w razie zagrożenia wojną zadeklarowało łącznie 27 proc. respondentów, a 58,1 proc. odpowiedziało przecząco – przy czym różnica między płciami była uderzająca: 42 proc. mężczyzn wobec zaledwie 14 proc. kobiet. Przy czym najmłodsza grupa wiekowa, 18–29 lat, deklaruje najniższą gotowość do obrony – w jednym z pomiarów aż 65 proc. osób z tego przedziału wieku przyznało, że nie stawiłoby się do obrony kraju w razie zagrożenia wojną. To zestawienie ujawnia mechanizm bardziej niepokojący niż suma dwóch osobnych problemów. Z jednej strony liczebność młodzieży systematycznie się kurczy w wyniku spadku dzietności. Z drugiej strony w obrębie tej i tak malejącej liczebnie grupy najmłodszych Polaków obserwuje się relatywnie najniższą skłonność do udziału w obronie kraju spośród wszystkich grup wiekowych, co w ujęciu długofalowym oznacza kurczenie się realnej bazy obronnej Polski w tempie szybszym, niż wskazywałaby sama dynamika demograficzna rozpatrywana w oderwaniu od postaw społecznych.

3. Katastrofa przemysłowa – podcinanie przewagi kosztowej polskiego biznesu; katastrofa inwestycyjna i naukowo-technologiczna – niszczenie kluczowych projektów, powrót do wizji Polski jako montowni

Nakłady na badania i rozwój po raz pierwszy w historii spadły w 2024 roku, co wzmacnia tezę o ryzyku przekształcania Polski przez rząd Tuska w wielką „montownię". Teza o ryzyku utraty przewagi kosztowej Polski znajduje twarde potwierdzenie w danych GUS i Polskiego Instytutu Ekonomicznego. Średni miesięczny koszt pracy wzrósł do niespełna 11 tys. zł w 2024 roku, czyli o ponad 52 proc. względem 2020 roku, a płaca minimalna w ciągu pięciu lat wzrosła o 78 proc., przy zaledwie 22-proc. wzroście produktywności w ujęciu dekady – model konkurencyjności oparty na taniej sile roboczej wyczerpuje się szybciej, niż gospodarka nadąża go zastępować wzrostem wydajności, co potwierdzają ostrzeżenia MFW i OECD. Sygnałem łagodzącym jest wyhamowanie dynamiki płac do 6,7 proc. rok do roku w pierwszym kwartale 2026 roku, przy jednoczesnym przyspieszeniu produktywności do około 3,5 proc. rocznie, częściowo dzięki inwestycjom w automatyzację – jednak tu właśnie ujawnia się kluczowy problem strukturalny. Automatyzacja w Polsce postępuje wolniej niż w regionie. Polski Instytut Ekonomiczny w swoim opracowaniu o atrakcyjności inwestycyjnej Europy Środkowo-Wschodniej wskazuje, że liczba robotów przemysłowych na 10 tys. pracowników w Polsce wynosi zaledwie 55, podczas gdy w Czechach jest to 165, na Słowacji 146, a na Węgrzech 109 – Polska pozostaje w tyle za całym regionem pod względem robotyzacji mimo rosnących kosztów pracy, które teoretycznie powinny być najsilniejszym bodźcem do automatyzacji. PIE wskazuje, że nakłady brutto na środki trwałe w relacji do PKB wyniosły w Polsce w 2023 roku 17,7 proc., co jest najniższą wartością w całym regionie Europy Środkowo-Wschodniej i drugą od końca w całej UE, ustępując tylko Grecji.

Równie dramatyczna jest skala nakładów na działalność badawczo-rozwojową (GERD). Dane GUS pokazują, że spadły one w 2024 roku po raz pierwszy w historii dostępnych danych do 51,5 mld zł, czyli o 3,1 proc. mniej niż rok wcześniej (53,1 mld zł), a wskaźnik intensywności B+R w relacji do PKB, wynoszący 1,41 proc., był po raz pierwszy niższy niż w okresie poprzednim, przerywając regularny, wieloletni trend wzrostowy, trwający od 2003 roku, gdy wskaźnik ten wynosił zaledwie 0,54 proc. To jest szokujący fakt – pierwszy w historii spadek bezwzględnej kwoty nakładów na naukę i rozwój w Polsce, który stawia pod znakiem zapytania trwałość dotychczasowej ścieżki doganiania krajów rozwiniętych. Jeszcze bardziej wymowny jest rozkład tego problemu między sektorami – analiza cytowana

w mediach branżowych wskazuje, że wydatki polskich przedsiębiorstw przemysłowych na B+R odpowiadają zaledwie 34 proc. średniej unijnej, podczas gdy sektor usług osiągnął już 99,5 proc. poziomu unijnego. To jest dokładnie ten mechanizm, który uzasadnia użycie terminu „montownia" w odniesieniu do przemysłu – polskie firmy usługowe (w tym sektor IT) inwestują w innowacje na poziomie zbliżonym do unijnej średniej, podczas gdy przemysł wytwórczy, wciąż stanowiący fundament polskiego eksportu, pozostaje głęboko w tyle pod względem własnych nakładów badawczo-rozwojowych.

4. Katastrofa fiskalno-obronna – finansowanie armii wbrew prawu i bez równoległego wzmacniania bazy gospodarczej

Ekipa 13 grudnia, poprzez pozaprawne przeforsowanie SAFE, wprowadziła mechanizm „tykającej bomby" w finansowaniu obronności. Tajna analiza prawna przygotowana dla niemieckiego Bundestagu, ujawniona przez portal Politico, zakwestionowała same podstawy prawne tego programu. Autorzy raportu wskazali wprost, że instrument narusza unijny zakaz wykorzystywania funduszy UE na „środki operacyjne o charakterze wojskowym lub obronnym". Raport zwracał też uwagę, iż gdyby Niemcy weszły w mechanizm SAFE, oddałyby w ręce innych państw klucze do niemieckiego bezpieczeństwa, co jest nie do przyjęcia. Wątpliwości Bundestagu znalazły instytucjonalne potwierdzenie na poziomie unijnym: w sierpniu 2025 roku Parlament Europejski złożył do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, na podstawie art. 263 TFUE, skargę o stwierdzenie nieważności rozporządzenia ustanawiającego SAFE. Skarga zarzuca dwa kardynalne uchybienia – zastosowanie błędnej podstawy prawnej (art. 122 TFUE, zarezerwowany dla sytuacji nadzwyczajnych, a nie dla wieloletniej polityki obronnej) oraz naruszenie zasady równowagi instytucjonalnej poprzez całkowite pominięcie Parlamentu Europejskiego w procesie decyzyjnym. Warto dodać istotny, często pomijany w polskiej debacie szczegół instytucjonalny: skarga PE została skierowana formalnie przeciwko Radzie Unii Europejskiej, w której w maju 2025 roku, gdy przyjmowano rozporządzenie o SAFE, przewodnictwo sprawował rząd Donalda Tuska – co oznacza, że to właśnie polska prezydencja w Radzie UE formalnie odpowiadała za przyjęcie instrumentu, którego podstawy prawne są dziś kwestionowane przed unijnym trybunałem. Konsekwencje ewentualnego wyroku unieważniającego rozporządzenie mogłyby, zgodnie z analizami prawnymi cytowanymi w mediach, dotknąć cały mechanizm, włącznie z już zawartymi umowami pożyczkowymi – co oznacza, że modernizacja armii częściowo finansowana z SAFE opiera się dziś na instrumencie prawnym o niepewnym, kwestionowanym przed sądem statusie.

Polska nie ma obecnie spójnej narodowej wizji transformacji energetycznej i przemysłowej, a pilnie potrzebujemy jednego planu łączącego finanse publiczne, energetykę, przemysł, demografię, infrastrukturę, technologię i obronność.

Prezydent Karol Nawrocki zawetował w marcu 2026 roku ustawę wdrażającą krajowe ramy korzystania ze środków SAFE, argumentując w orędziu, że mechanizm „uderza w naszą suwerenność, niezależność, bezpieczeństwo ekonomiczne i militarne" ze względu na unijną zasadę warunkowości, pozwalającą Komisji Europejskiej na wstrzymanie finansowania, przy jednoczesnym obowiązku spłaty zaciągniętego długu. Rząd nie podjął próby odrzucenia tego weta w Sejmie, ale w drodze uchwały Rady Ministrów postanowił sięgnąć po środki SAFE. Tym samym naruszył art. 89 Konstytucji RP, który stwierdza, iż ratyfikacja umów międzynarodowych, pociągających za sobą znaczne obciążenia finansowe państwa, wymaga uprzedniej zgody wyrażonej w ustawie. Tym samym ekipa Tuska dopuściła się kolejnego przestępstwa konstytucyjnego. Naruszono też art. 126 Konstytucji RP dotyczący ustrojowej pozycji głowy państwa.

Zestawiając te trzy elementy – kwestionowaną w tajnym raporcie Bundestagu podstawę prawną samego mechanizmu SAFE na poziomie unijnym, formalną skargę Parlamentu Europejskiego przed TSUE o unieważnienie całego rozporządzenia oraz złamanie Konstytucji RP – otrzymujemy wyjątkowo dramatyczny obraz. Ryzyko „tykającej bomby" ma tu dodatkowy, wcześniej nieuwzględniony wymiar: nawet gdyby polska gospodarka była w stanie przez dekady dźwigać koszt obsługi długu zaciągniętego na modernizację armii, sam prawny fundament, na którym opiera się część tego finansowania (przynajmniej 43,7 mld euro przewidziane dla Polski z programu SAFE), pozostaje kwestionowany jednocześnie na trzech poziomach – unijnym sądowym, unijnym parlamentarnym oraz krajowym konstytucyjnym. W każdym momencie SAFE może eksplodować, co oznaczałoby dla Polski nie tylko utratę części planowanego finansowania modernizacji, lecz także potencjalny chaos prawny wokół już podpisanych kontraktów zbrojeniowych opartych na tym mechanizmie. Rząd zachował się jak dywersant – wprowadził państwo i siły zbrojne na potężną minę, do której zapalnik jest w cudzych rękach. Zamiast SAFE mamy więc ogromne DANGER.

5. Katastrofa kapitałowa – zbyt słaby krajowy rynek kapitałowy i zależność od zagranicznego kapitału

Donald Tusk z nieprawdopodobną brutalnością atakuje instytucję Narodowego Banku Polskiego. Trzeba to widzieć w szerszym kontekście. To jeden z klu-

czowych odcinków walki o uratowanie zasobów państwa polskiego przed polityką ekipy 13 grudnia. Niezależne ekspertyzy zwracają uwagę na ogromne ryzyko związane z faktem, iż polska podaż kredytu dla gospodarki pozostaje słabsza niż u wielu europejskich partnerów, krajowy rynek kapitałowy jest płytki, a finansowanie venture capital i private equity pozostaje niewystarczające. A mimo to Tusk dąży do jeszcze większego spłycenia rodzimego rynku kredytowego i jego destabilizacji. To ma dramatyczny wymiar strategiczny. Państwo może być formalnie właścicielem terytorium i mieć własną walutę, ale jeśli kapitał, technologie, własność intelektualna i decyzje inwestycyjne są w znacznym stopniu kontrolowane za granicą, jego autonomia gospodarcza jest ograniczona.

Najbardziej wymowna jest sama skala luki względem europejskich odpowiedników. Jak wskazano podczas debaty na Europejskim Kongresie Finansowym w czerwcu 2026 roku, kapitalizacja polskich spółek giełdowych stanowiła w 2024 roku zaledwie 22 proc. PKB, dziś jest to około 27–28 proc. PKB, podczas gdy średnia unijna sięga 63 proc., a w Niemczech czy Hiszpanii – krajach o podobnym, bankowo zorientowanym modelu finansowania gospodarki – jest to około 50 proc. To ponaddwukrotna różnica nawet względem krajów o zbliżonej strukturze systemu finansowego. Symptomatyczna jest też diagnoza przyczyn tego stanu rzeczy, którą przedstawił doradca przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego: dotychczasowy sukces polskiej gospodarki opierał się na innych motorach niż rynek kapitałowy – na dobrze wykształconej, młodej sile roboczej oraz napływie bezpośrednich inwestycji zagranicznych, dlatego płytki rynek kapitałowy nie stanowił dotąd bariery rozwoju. Z punktu widzenia zbliżającej się katastrofy demograficznej, a także erozji przewagi kosztowej polskiej gospodarki w wyniku dramatycznie wysokich kosztów energii – oba filary, na których opierał się dotychczasowy wzrost, są dziś zagrożone, a rynek kapitałowy, który mógłby je zastąpić jako nowy motor rozwoju, pozostaje zbyt mały, a ataki na NBP pogłębiają niepewność co do przyszłości rynku kapitałowego.

6. Katastrofa nad katastrofami – sparaliżowanie strategicznego zarządzania państwem, brak jednej, długookresowej wizji

Polska nie ma obecnie spójnej narodowej wizji transformacji energetycznej i przemysłowej, a pilnie potrzebujemy jednego planu łączącego finanse publiczne, energetykę, przemysł, demografię, infrastrukturę, technologię i obronność. W tym pogłębiającym się chaosie Polska rządzona przez koalicję 13 grudnia podejmuje też strategiczne decyzje bez aktualnej strategii bezpieczeństwa. Znajdujemy się w sytuacji, która z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa powinna budzić najwyższy niepokój. Podejmujemy decyzje o wieloletnich konsekwencjach dla obronności, zawieramy umowy z najważniejszymi państwami europejskimi, przebudowujemy armię i przeznaczamy na obronność ogromne środki finansowe, a jednocześnie nadal nie mamy formalnie przyjętej i zatwierdzonej nowej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego. W obrocie pozostaje dokument z 2020 roku – powstały przed pełnoskalową agresją Rosji na Ukrainę, przed wejściem Finlandii i Szwecji do NATO i przed zasadniczą zmianą charakteru zagrożeń, z którymi musi mierzyć się Polska. Nie jest to już problem natury formalnej. Jest to problem strategiczny.

Polska rządzona przez Tuska nie ma dziś spójnej koncepcji własnego bezpieczeństwa, a jedynie kreuje propagandowe oszustwo, którym przykrywa swoją bezradność i chaos decyzyjny.

Prace nad nową strategią trwają od wielu miesięcy. Rząd przyjął jej projekt w lipcu 2025 roku, jednak dokument nie został wówczas ostatecznie zatwierdzony przez prezydenta Dudę z uwagi na jego rażące błędy. W maju 2026 roku strona rządowa i prezydencka miały zakończyć kolejne uzgodnienia. Wypracowany tekst jest jednak blokowany przez Tuska. Oznacza to, że państwo posiada projekt nowej koncepcji bezpieczeństwa, ale nie ma jeszcze dokumentu, który formalnie zastąpiłby strategię z 2020 roku. To sytuacja trudna do zaakceptowania w państwie znajdującym się na wschodniej flance NATO. Prezydent Karol Nawrocki mówił o konieczności przyjęcia „najważniejszych i strategicznych dokumentów bezpieczeństwa państwa polskiego", w tym Strategii Bezpieczeństwa Narodowego. Tymczasem rzeczywistość geopolityczna nie czeka na zakończenie dąsów przez rozkapryszonego, sfrustrowanego Tuska. Jego rząd w imieniu Polski podpisuje tajne porozumienie obronne z Niemcami, zawiera układy z Wielką Brytanią i Francją, zadłuża pokolenia Polaków w ramach SAFE, ale robi to na zasadach absolutnej improwizacji, bez uwzględnienia polskich interesów strategicznych. To katastrofa katastrof, pokazująca zupełny dyletantyzm tej ekipy, która myli propagandę ze strategicznym zarządzaniem państwem. Strategia bezpieczeństwa powinna być tym dokumentem, który odpowiada, czego państwo chce bronić, przed kim i w jaki sposób zamierza to robić i jakich zdolności będzie do tego potrzebowało. Siła państwa nie polega na tym, ile kupuje i ile wydaje, lecz głównie na tym, czy wie, jaki cel chce dzięki tym środkom osiągnąć. To są jedynie narzędzia – ważne, ale w rękach profesjonalistów osiągają one swoją moc. I właśnie dlatego brak zatwierdzonej nowej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego nie jest kwestią papieru. Jest pytaniem o to, dlaczego Polska rządzona przez Tuska nie ma dziś spójnej koncepcji własnego bezpieczeństwa, a jedynie kreuje propagandowe oszustwo, którym przykrywa swoją bezradność i chaos decyzyjny. GP



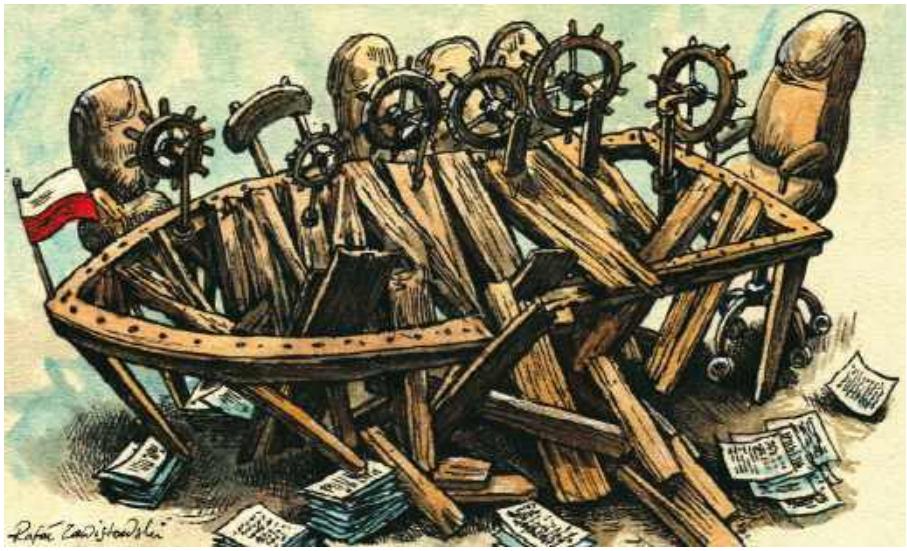
Krzysztof
Wołodźko

TUSK NAS OSTRZEGA

Szkoda, że nie przed własnymi rządami

Rosnąca inflacja, spadek inwestycji zagranicznych, pełzający wzrost bezrobocia, coraz głębsza dziura budżetowa, kryzys ochrony zdrowia – to najkrótszy bilans społeczno-gospodarczy obecnych rządów. Donald Tusk nie chce o tym rozmawiać, za to coraz chętniej ostrzega przed Rosją. Zagrożenie jest realne, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że premier polskiego rządu przede wszystkim chce odwrócić uwagę od katastrofalnej wręcz nieudolności trzynastogrudniowej koalicji.

Tegoroczny Campus Polska (26–30 sierpnia 2026 roku) nie należał do najbardziej udanych i dyskutowanych publicznych edycji. Przetrwa w anegdotach, przede wszystkim za sprawą językowych popisów minister edukacji Barbary Nowackiej, która przedstawiła się zebranym jako „gospodarka" (czyli gospodyni) tego spotkania. Z uwagą śledziłem doniesienia medialne poświęcone wystąpieniu Donalda Tuska na olsztyńskiej imprezie pod egidą dwugodzinnego prezydenta Polski Rafała Trzaskowskiego. Byłem ciekaw, jakie wypowiedzi premiera Polski zostaną nagłośnione przez medialny mainstream. I co Donald Tusk powie o problemach społeczno-gospodarczych, które coraz wyraźniej doskwierają naszemu krajowi. A przecież w tym samym czasie, czyli w piątek 28 sierpnia, minister finansów Andrzej Domański przedstawił budżet państwa na 2027 rok. Tuska przy tym nie było, jak zwykle nie chciał świecić oczyma w trakcie smutnego spektaklu, z jeszcze smutniejszymi wnioskami, jakie z niego płyną. A że jest źle, mówi nawet „Gazeta Wyborcza" w tekście pod wymownym tytułem „Minister finansów pędzi na łysych oponach. I modli się, żeby nie padało": „Minister finansów, prezentując dziennikarzom podstawowe założenia budżetu kraju na przyszły rok, był wyraźnie zdenerwowany. (…) Dochody przeszacowane, deficyt na poziomie 7,1 proc. To jazda na kredyt, w nadziei, że nic złego się nie wydarzy".



RYS. RAFAŁ ZAWISTOWSKI

Rząd zaklina rzeczywistość

Przypomnijmy, że prognozowane przez Ministerstwo Finansów dochody wyniosą 695 mld zł, wydatki mają wynieść 977,6 mld zł, a deficyt – 282,6 mld zł. Oficjalny optymizm nie opuszcza ludzi z gabinetu premiera Tuska: rząd prognozuje, że PKB wzrośnie w przyszłym roku o 3 proc., a średnioroczna inflacja wyniesie 2,8 proc., przeciętne wynagrodzenie realnie ma wzrosnąć o 3 proc., a stopa bezrobocia, wedle unijnej metodologii, nie przekroczy 6 proc. (czyli wedle pomiarów GUS z pewnością urośnie). Kłopot w tym, że nikt już nie wierzy w magię rządowych liczb, a raczej: agencje ratingowe są coraz bardziej nieufne wobec polskiej gospodarki i rządowej strategii, a eksperci spodziewają się zarówno wyższej inflacji, jak i mniejszych dochodów budżetowych. I jak na razie wszystko potwierdza gorsze niźli lepsze scenariusze. Z danych Głównego Urzędu

Statystycznego wynika, że w sierpniu inflacja konsumencka w Polsce skoczyła ponad spodziewane prognozy: wzrosła o 3,4 proc. rok do roku (r/r). Ekonomiści mBanku w swojej analizie podsumowali rzecz krótko: „Inflacja zaskoczyła silniejszym wzrostem w sierpniu (3,4 proc.). To efekt trzech czynników: 1) inflacja bazowa podniosła się z 3,1 do 3,2 proc.; 2) wzrost cen paliw raportowany przez GUS był wyższy od prognoz (klasyfikacja CPN); 3) ceny energii są też lekko wyższe od naszych szacunków".

Z kolei analitycy Pekao zwracają uwagę na wzrost inflacji bazowej, która wzrosła do około 3,2–3,3 proc. r/r. Inflacja bazowa nie uwzględnia produktów o najbardziej niestabilnych cenach, więc jej wzrost pokazuje, że wartość naszych pieniędzy jest zagrożona naprawdę na poważnie. Zwracam na to uwagę, bo realna sytuacja inflacyjna ma się nijak już dzisiaj (sic!) do kreatywnej księgowości, w którą zmienił się budżet Polski na 2027 rok. Przesadzam, bo nie cenię tej władzy? Raz jeszcze przywołam cytowany tekst z „Wyborczej": „Koszt obsługi długu skarbu państwa w 2027 r. wyniesie 107 mld zł, o 17 mld zł więcej niż w roku bieżącym. To około 15,4 proc. planowanych na przyszły rok dochodów budżetu (695 mld zł). Oznacza to, że z każdych 100 zł wpływów do budżetu prawie 15,40 zł idzie wyłącznie na spłatę odsetek i innych kosztów związanych z długiem – czyli więcej niż w 2026 roku, gdy było to około 13,9 zł. (…). Już teraz jednak widać, że projekt budżetu na przyszły rok jest nierealny". Znacznie ciekawsze jest to, że powyższy tekst daleko wykracza poza ekonomiczną analizę. Jego autor Piotr Miączyński idzie jeszcze dalej: „Problem w tym, że Tusk dawno utracił jakąkolwiek zdolność koalicyjną, a nawet twardym wyborcom KO przeszkadza bezradność tego gabinetu. Nawet jak się zapyta jego zwolenników, co udało się osiągnąć, rozkładają bezradnie ręce. To jak włożenie dłoni w gorący piasek; kiedy się wyjmie ręce, nie zostaje w nich prawie nic". Nic też dziwnego, że pan premier na Campusie Polska niewiele mówił o sytuacji społeczno-gospodarczej w kraju. Z dwojga złego – wygodniej mu było ostrzegać przed Rosją.

W 2027 roku bezrobocie znacznie wzrośnie?

Choć większość życzliwych Donaldowi Tuskowi mediów woli o tym nie przypominać, gospodarka bardzo mocno łączy się z polityką. Dobrych wieści w tej sprawie coraz mniej. Kilka miesięcy temu głośno było o spadku inwestycji zagranicznych w Polsce, najnowsze badania niestety potwierdzają ten trend. Z analiz Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu wynika, że wartość inwestycji zagranicznych, jakie w I półroczu wpłynęły do Polski dzięki PAIH, spadła o prawie 30 proc. Kto się nie rozwija, ten się cofa: naszym jedynym problemem nie jest brak nowych inwestycji, ale stopniowy upadek/wycofywanie się z rynku kolejnych firm. Statystyka jest nieubłagana, sytuacja na rynku pracy jest coraz gorsza: w urzędach pracy na koniec lipca 2026 roku zarejestrowanych było już 906,4 tys. osób (stopa bezrobocia: 5,8 proc.)! Do myślenia dają najnowsze dane Eurostatu, które również wskazują na rosnące bezrobocie w naszym kraju: choć w skali unijnej wciąż wypadamy dobrze, zdaniem unijnego ośrodka badawczego jesteśmy w czołówce państw, w których rośnie dzisiaj bezrobocie. Niepokoi coś jeszcze: obecne bezrobocie w Polsce wedle unijnych wskaźników, czyli danych Eurostatu, wynosi 3,4 proc. (lipcowy odczyt). A przecież minister finansów Andrzej Domański mówił niedawno, że „stopa bezrobocia według unijnej metodologii w Polsce na koniec 2027 roku będzie na poziomie 6 proc.!". Nikt z dziennikarzy tego nie podchwycił! Albo szef resortu miał na myśli GUS-owski wskaźnik, albo spodziewa się drastycznego wzrostu bezrobocia w Polsce w ciągu nadchodzącego roku.

Jeszcze dekadę temu nasz kraj miał szanse na naprawdę fenomenalny rozwój – nie tylko za sprawą wskaźników, korzystnych dla największego biznesu.

To się przekłada na ludzkie losy, na losy całych regionów i miejscowości. Pod koniec sierpnia okazało się, że duńska firma Espersen, przetwórca ryb i owoców morza, zlikwiduje swój zakład w Koszalinie. Na bruk trafi 650 osób. Na potęgę zwalnia także słynny Cersanit: nawet 200 osób może stracić pracę w Krasnymstawie, firma masowo pozbywa się również pracowników w Starachowicach, Opocznie, Radomiu oraz Wałbrzychu. Czarne chmury wiszą także nad pracownikami firmy Grammer w Sosnowcu (branża automotive) – niepewne są losy nawet 300 osób. To nie tylko problem polskich robotników, w najlepsze trwają także zwolnienia w polskojęzycznych oddziałach korpo. Blisko 140 osób może stracić pracę w krakowskim oddziale HSBC, czyli firmy z sektora wsparcia usług finansowo-bankowych. W mojej rodzinnej Wielkopolsce każdą oszczędzoną złotówkę podsumowywało się krótko: ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka. Jakże smutno brzmi to przysłowie, jeśli podsumujemy za jego pomocą pełzające bezrobocie w Polsce. Jeszcze dekadę temu nasz kraj miał szanse na naprawdę fenomenalny rozwój – nie tylko za sprawą wskaźników, korzystnych dla największego biznesu. Mieliśmy realne szanse na budowę polskiego społeczeństwa dobrobytu, w którym mieliby udział także mniej zamożni. Dzisiaj premier rządu nie chce już z nami o tym rozmawiać, chętnie za to straszy wojną z Rosją. Tak, potrzebujemy głębokiej świadomości społecznej geopolitycznych zagrożeń. Problem w tym, że dla Tuska to najwygodniejsza politycznie strategia – lider Koalicji Obywatelskiej nigdy nie lubił tematów społeczno-gospo-

darczych, a dzisiaj ma naprawdę dobry pretekst, by uniknąć dyskusji na ten temat. A przecież to już nie jest kwestia stu dni po przejęciu władzy, roku rządów ani nawet półmetka kadencji: mamy za sobą kilka zmarnowanych lat i narastającą ekonomiczną stagnację.

Rządy reseciarzy-dyletantów

Tusk ostrzega przed Rosją, nic to jednak nie zmienia w jego wewnętrznej polityce, opartej na konfrontacji z opozycją i próbach rozgrywania jej z pomocą kolejnych resortów. W tym samym czasie, pod pozorem „odzyskiwania demokracji", platformerskie elity drenują zasoby państwa polskiego, co pokazują kolejne afery. Nie dziwi kompletna obojętność wobec kryzysu gospodarczego środowisk skupionych wokół trzynastogrudniowej koalicji: III RP zbudowano na przekonaniu, że „folwarkiem Polska" da się rządzić bez oglądania się na potrzeby zwykłych ludzi. Taka strategia działała do 2015 roku. Zbyt długo w Polsce za merytoryczne uchodziły rządy, które były wyłącznie podwykonawcami unijnej polityki gospodarczej wobec dawnych demoludów. Decydowała o tym przede wszystkim niemiecka strategia wobec Rosji, wedle której Polsce należały się najwyżej okruchy z pańskiego stołu. A i to się zmieniło, gdy Berlin i Moskwa uznały, że Nord Stream 1 i Nord Stream 2 pomogą uniknąć im zbędnych kłopotów w swojej „historycznej strefie wpływów". Postkomuniści i liberałowie programowo nie byli zainteresowani Baltic Pipe i amerykańskim gazem dla Polski. I nigdy nie ponieśli za to realnych konsekwencji.

W sytuacji geopolitycznego zagrożenia skazani jesteśmy na rządy dyletantów, którzy przez lata swoją władzę opierali na błędnych szacunkach, mocno interesownej podległości unijnej biurokracji i wstydliwych dziś reseciarskich lojalnościach. Tusk przez lata wołał: „pokój, pokój!" – a nie było już pokoju. Dziś woła: „wojna, wojna!" – choć mało wiemy o planach efektywnej odbudowy obrony cywilnej, a jeszcze mniej o wzmacnianiu ochrony zdrowia, niezbędnej w sytuacji konwencjonalnego konfliktu zbrojnego. Schowany za swoimi ministrami, gdy trzeba rozmawiać o sprawach niewygodnych, szef rządu ratuje przede wszystkim swój wizerunek. I być może z rozrzewnieniem wspomina czasy, gdy wraz ze swoimi niemieckimi i rosyjskimi partnerami mógł ubolewać nad „katastrofistą" i „rusofobem" Lechem Kaczyńskim, ciesząc się ułudą krótkotrwałych dobrodziejstw polsko-rosyjskiego resetu. Dziś musi nas straszyć, bo gospodarzyć Polską nie umiał i nie umie. **GP**

FELIETON

{ LUBIĘ DINOZAURY }

CZAS NA ATAK



Dawid
Wildstein

Wystąpienie Tuska tuż przed głosowaniem dotyczącym odrzucenia prezydenckiego weta w sprawie kryptowalut to nie tylko podręcznikowy przykład populistycznego bełkotu, pozbawionego realnych argumentów, mającego oddziaływać wyłącznie na emocje. Dodatkowo uśmiechnięty premier udowodnił, że jeśli chodzi o działania żurkowo-giertychowej prokuratury, mamy do czynienia nie ze „śledztwem", tylko z prymitywną polityczną ustawką. „Rewelacje" świadka (zapewne Krala) na temat tego, że ktoś (?) miał obiecywać, że załatwi u prezydenta Nawrockiego ułaskawienie, są, po pierwsze, zupełnie niewiarygodne. Po drugie, prokuratura przekazała je natychmiast premierowi, co wyklucza nawet elementarną próbę ich zweryfikowania – trudno o większy zarzut wobec tej instytucji. Po trzecie, zeznania te są same w sobie absurdalne, jeśli chociaż chwilę się nad nimi zastanowić. Jeśli faktycznie Nawrocki miałby „paktować" z Kralem i obiecywać mu ochronę, to dlaczego teraz człowiek ten jest na smyczy Giertycha i Tuska? Brak tu elementarnego sensu. Wszystko wskazuje na to, że mamy w wypadku Krala do czynienia z powtórką Murańskiego, czyli, jak to mawiał nasz wiarygodny premier, „postaci znanej". Niemniej fakt, że Tusk i jego funkcjonariusze medialni najprawdopodobniej przegrzali sam temat, nie oznacza, że obecna władza nie ugrała już na nim sporo. Udało się jej bowiem absolutnie zdominować debatę publiczną, i to w momencie, kiedy mamy do czynienia z aferami bez porównania grubszymi niż pompowana do maksimum Zondacrypto. Smutna prawda jest taka, że opozycja jest dziś w głębokiej defensywie narracyjnej. Jeśli chce odzyskać pole i wrócić do gry, musi jak najszybciej przypuścić kontratak. Pytanie tylko, czy jest do tego zdolna, czy woli zagryzać się między sobą. To się okaże w najbliższych dniach. Jedno jest pewne – skandal z Berkiem, wciąż nieprzesłuchany Kacprzyk, rozkradane przez polityków KO pieniądze dla powodzian, gigantyczna korupcja wokół dotacji unijnych – tematów jest aż nadto. Więc może czas wziąć się do roboty? **GP**

Jeśli opozycja chce odzyskać pole i wrócić do gry, musi jak najszybciej przypuścić kontratak.



Jakub
Maciejewski

EKSPLOZJE W EUROPEJSKICH FABRYKACH BRONI



Europa pokryta jest siecią rosyjskiej agentury, która od dwóch miesięcy organizuje akcje sabotażu wojskowych obiektów i fabryk broni. Moskwa wykorzystuje do tego także Ukraińców, którzy legalnie przebywają w Unii Europejskiej jako uchodźcy z objętego wojną kraju. Według tradycyjnego schematu postępowania dywersji Kremla może to oznaczać przygotowywanie większego konfliktu.

PUBLICYSTYKA

Tylko w sierpniu ujawniono dziewięć poważnych akcji sabotażowych na terenie europejskiej części Paktu Północnoatlantyckiego. Już w nocy z 4 na 5 sierpnia nad lotniskiem Leipizig/Halle w Niemczech odkryto drona z ładunkiem wybuchowym. Drugi dron zderzył się z samolotem, bez większych konsekwencji, a 10 dni później odnaleziono trzeciego drona wraz z materiałem wybuchowym.

Kilka dni później (10 sierpnia) doszło do eksplozji w magazynie amunicji fabryki EMCO w Bułgarii. Zaczęło się od pożaru ciężarówki i choć opinie na temat przyczyn są niejasne, to zniszczony obiekt przechowywał pociski 155 mm dla Ukrainy. 13 sierpnia doszło do eksplozji w fabryce KNDS Ammo Italy w Colleferro we Włoszech. Władze włoskie co prawda wykluczyły rosyjski sabotaż, ale w łańcuchu ciągłych pożarów i wybuchów w fabrykach amunicji całego kontynentu warto to odnotować.

W nocy z 14 na 15 sierpnia w stolicy Estonii podpalono budynek firmy, która produkuje bezzałogowe systemy na potrzeby obrony Ukrainy. Zatrzymano trzech obywateli Łotwy, prawdopodobnie pochodzenia rosyjskiego – mniejszość rosyjska na Łotwie stanowi sporą diasporę o tendencjach separatystycznych. 25 sierpnia na Słowacji udaremniono próbę podpalenia zakładu produkującego drony dla Ukrainy – zatrzymano trzech cudzoziemców, w tym Ukraińca. W Polsce doszło przynajmniej do jednego poważnego incydentu – w nocy z 30 na 31 sierpnia doszło do celowego podpalenia w zakładzie produkującym systemy bezzałogowe dla Ukrainy. Straty oszacowano na 15 milionów złotych, a w nagraniach monitoringu widać zamaskowaną postać, która dokonała sabotażu. Do tego dochodzą pomniejsze incydenty, jak np. odnalezienie składu broni w lesie pod Berlinem, co miało być przygotowaniem do większej operacji. Jakiej? Zamachu, zamieszek, sabotażu, dywersji? Nie wiemy.

Co wiedzą Amerykanie?

Nikt nie ma wątpliwości, że termin nagłej wizyty dyrektora CIA Johna Ratcliffe'a w Moskwie (25 sierpnia) był z tym powiązany. Jak mantrę powtarza się informację, że ostatni raz tak wysoko postawiony funkcjonariusz CIA odwiedzał stolicę Rosji tuż przed inwazją na Ukrainę – z próbą zapobieżenia agresji. Amerykański wywiad ocenia, że Rosja może eskalować działania hybrydowe, by zaangażować NATO w operację przy jednoczesnym zaniedbaniu odcinka ukraińskiego. Ratcliffe miał też ostrzegać Rosję przed atakiem na terytorium NATO (zwłaszcza państwa bałtyckie) poniżej art. 5 NATO. Ta obawa jest powszechnie dyskutowana w pakcie. W popularnej pracy „Jeśli Rosja wygra. Scenariusz" Carlo Masala wysuwa obawy, że w przypadku zajęcia przez Rosjan małej miejscowości, na przykład w Estonii, światowe stolice nie odpowiedzą wypowiedzeniem wojny mocarstwu atomowemu. Hasło „Nie będziemy ginąć za Gdańsk" może się zaktualizować w niechęci nie tylko do ginięcia, ale nawet do szukania na mapie miejscowości Narwa graniczącej z Rosją, zdominowanej przez rosyjskojęzyczną ludność, która niechętnie odnosi się do Zachodu, Unii Europejskiej czy nawet własnego państwa – Estonii. To właśnie Narwy dotyczyła operacja dezinformacyjna z marca 2026 roku, kiedy w internecie pojawiły się zmasowane komentarze podsycające separatyzm tego regionu wraz z formułowaniem twierdzenia, że mogłaby tam powstać „republika ludowa" na wzór tworów zielonych ludzików Putina w Donbasie w 2014 roku. Wiele wskazuje na to, że była to jedynie operacja testowania i straszenia Estonii, ale państwo, które ma 10 razy mniej lud-



FOT. YOUTUBE

ności niż stolica Rosji, ma prawo być szczególnie wrażliwe na takie groźby. Zwłaszcza że fraza: „Nikt nie będzie walczył z mocarstwem atomowym”, jest oficjalnie powtarzana przez władze rosyjskie. Gdy Pierre Tołstoj, deputat Jednej Rosji, a prywatnie prawnuk słynnego pisarza, autora „Wojny i pokoju”, wypowiada się dla francuskich mediów, podkreśla w opisach wojny z Ukrainą, że „z mocarstwem atomowym nie da się wygrać”. To znaczy, że Rosja może zrobić, co chce, bo w razie widma klęski użyje broni atomowej.

Nie jest to jednak fraza prawdziwa – Rosja używa tego straszaka jako czynnika psychologicznego, ale przecież nie sięgnęła po niego nawet w najczarniejszych godzinach swojej mocarstwowej konfrontacji z Zachodem, a często po prostu blefowała – jak w przypadku wzbudzania obaw wokół energii atomowej w ukraińskim Enerhodarze, który trafił pod rosyjską okupację i miał być „uszkodzony”, powodując nuklearną katastrofę. Okazało się to czczym straszeniem, ale obecne akcje sabotażowe takim czczym straszeniem już nie są.

Moskiewska orkiestra

Praktyka szkolenia i utrzymywania agentów, sabotażystów, dywersantów i zabójców na terenie państw Zachodu jest dla Rosji zwyczajnym narzędziem politycznym. W 1971 roku z ambasady sowieckiej w Londynie zbiegł Oleg Lialin, funkcjonariusz V wydziału I Zarządu Głównego KGB. Ujawnił on Brytyjczykom, że w ich kraju funkcjonują właśnie tacy agenci-sabotażyści, którzy na wypadek wojny światowej będą wysadzać w powietrze ważne obiekty wojskowe, a także dokonywać zabójstw najważniejszych osób w państwie. Lialin miał dokumentować obiekty, które w razie konfrontacji oddziały sowieckiego Specnazu będą niszczyć i neutralizować. Ważne, by odnotować, jak zareagował ówczesny premier Wielkiej Brytanii Edward Heath – zdecydowano wówczas o masowym wydaleniu personelu sowieckiej ambasady w Londynie. Wyspy musiało opuścić w ciągu jednego dnia aż 105 osób. To wystarczyło, by dosłownie zakończyć złoty okres w działalności KGB w tym państwie, wszystko było bowiem sterowane z terenów placówki dyplomatycznej.

To właśnie na taki wypadek – zerwania stosunków dyplomatycznych lub osłabienia ambasady – Rosja od ponad 100 lat szkoli najtajniejszych agentów, tzw. nielegałów, którzy uchodząc za rodowitych obywateli, zostaną w kraju wroga w każdych okolicznościach, prowadząc dalej działania operacyjne.

Bo akcje sabotażowe nie są nigdy używane samodzielnie. Kreml zintegrował rozmaite narzędzia operacyjne – sabotażystów, inwigilację, szpiegów, agentów wpływu – w jedną orkiestrę. Jeśli Rosja faktycznie zdecyduje się na bardziej radykalną konfrontację, to jednocześnie uruchomi na pełnych obrotach pozostałe środki oddziaływania na Europę – agentów wśród polityków, wysokich urzędników, pacyfistyczne, ekologiczne, lewicujące i nacjonalistyczne ruchy społeczne, ataki cybernetyczne, dezinformację w internecie, atak na konwencjonalne media i zamieszki z użyciem imigrantów. Dopiero wtedy zagra w Europie cała rosyjska orkiestra.

Choć naturalne skojarzenia co do intencji Putina dotyczą hybrydowego ataku na państwo NATO lub radykalnej intensyfikacji działań na Ukrainie (w końcu atakowano fabryki produkujące broń dla Kijowa), to równie dobrze cała operacja sabotażowa może być maskirowką dla zupełnie innej operacji. To też Rosjanie mają przećwiczone. Gdy generał Nikołaj Ogarkow szykował desant Specnazu na lotnisko w Pradze, by w 1968 roku przywrócić w Czechosłowacji twardogłowych komunistów do władzy, Moskwa zintensyfikowała międzynarodowe awantury na zupełnie innych frontach – eskalowała konflikt między Koreą Północną a USA za zatrzymanie przez tę pierwszą amerykańskiego statku, a do Egiptu zaktywizowano sowieckie lotnisko morskie, które niepokoiło ruch na Morzu Śródziemnym. Wszystko to odwróciło uwagę od brutalnej interwencji w samym bloku sowieckim.

Nie znając zatem prawdziwych zamiarów czekistów z Kremla, powinniśmy się tym samym utwierdzić w przekonaniu, że Europa jednak samodzielnie jest za słaba, by sprostać złożonym działaniom totalitarnym Rosji, a jedyne narzędzia do rozmowy z Moskwą mają Amerykanie. Gdyby więc wizyta Ratcliffe’a nie przyniosła oczekiwanych owoców, to pozostaje nam po prostu amerykańska aktywność w zakresie obronności. Poza USA nie ma obrony naszego regionu. **GP**



Mateusz
Matyszkowicz

PUBLICYSTYKA

Suwerenność PO ISLANDZKU



Islandia powiedziała „nie" Unii Europejskiej, ale nie na rosyjską modłę. Właściwie to jeszcze mocniej wybrała Zachód, ale na swój własny, islandzki sposób.

29 sierpnia Islandczycy stanęli przy urnach. Przyszło ich więcej niż podczas ostatnich wyborów parlamentarnych. Frekwencja wyniosła 82,5 proc. Pytanie było krótkie: czy Islandia powinna wznowić negocjacje akcesyjne z Unią Europejską? Nikt nie pytał o wstąpienie. Nikt nie kładł na stole traktatu. Rząd tłumaczył, że „tak" znaczy tylko zgodę na rozmowy, a o członkostwie zdecyduje drugie głosowanie, gdy warunki będą znane. „Nie" miało zdjąć temat z wokandy do końca kadencji, czyli do roku 2028. Padło „nie". Przeciw rozmowom opowiedziało się 52,8 proc. głosujących, 118 040 osób. Za było 47,2 proc., czyli 105 339 osób. Różnica zmieściłaby się w jednym miasteczku rybackim. Na Islandii tyle wystarcza.

Geneza

Sens tego pytania sięgał roku 2009. Wtedy, po krachu banków, parlament złożył wniosek o członkostwo. Rozmowy ruszyły, potem zamarły w roku 2013, a dwa lata później Reykjavík dał Brukseli do zrozumienia, że nie należy go już uważać za kandydata. Wniosek jednak wisiał. Każdy następny rząd powtarzał, że bez zgody narodu nic się nie ruszy.

Siły polityczne ustawiły się równo, ale krucho. W roku 2024 władzę przejęła koalicja Sojuszu Socjaldemokratycznego premier Kristrún Frostadóttir, liberalnej Viðreisn minister spraw zagranicznych Þorgerður Katrín Gunnarsdóttir i Partii Ludowej Ingi Sæland. Dwie pierwsze chciały Unii. Trzecia członkostwa nie chciała, zgodziła się jednak zapytać ludzi. Referendum nie wyszło z kaprysu premier. Było warunkiem, bez którego Viðreisn nie weszłaby do rządu. Po drugiej stronie stały Partia Niepodległości, Partia Centrum i Partia Postępu. Socjaliści i to, co zostało z Lewicy-Zielonych, też szli na „nie". Piraci nie potrafili się zdecydować.

W maju parlament przyjął uchwałę o terminie: 34 głosy za, 8 przeciw, 14 wstrzymało się. To była większość sejmowa, nie zgoda kraju. Potem gabinet przyspieszył głosowanie z roku 2027 na sierpień i nazwał je chwilą, która się nie powtórzy. Wyspa odpowiedziała, że w tej kadencji powtarzać nic nie trzeba. Islandczycy powiedzieli „nie".

Obyło się bez Rosjan

Rosja lubi rozpad Unii. Tam, gdzie może, karmi niechęć do Brukseli, miesza w kampaniach, podsuwa gotowe hasła. Na Islandii ten schemat nie chwycił. Nie dlatego, że wyspa jest naiwna. Dlatego że argumenty, którymi gdzie indziej jeździ się po Europie, nie mają tu gruntu.

Islandia już siedzi w europejskim domu. Europejski Obszar Gospodarczy od 30 lat, Schengen od ćwierćwiecza, tysiące unijnych przepisów w islandzkim prawie, Erasmus, horyzont badawczy, handel bez wewnętrznych ceł. Kto chciałby straszyć „oderwaniem od Europy", gadałby w próżnię. Zostały dwie rzeczy. Konkret i duma.

Konkret nazywa się rybołówstwo. 8 proc. gospodarki, niemal 40 proc. wywozu, pamięć wojen dorszowych, w których mała wyspa zmusiła Londyn do ustąpienia. Wspólna polityka rybacka Unii znaczy kwoty układane przy stole 27 stolic i obcą banderę na islandzkich wodach. 10 na 10 firm z branży powiedziało przed głosowaniem „nie". To nie mitologia. To rachunek. Kto oddaje łowisko, oddaje coś, czego nie odkupi żadną składką ani żadnym miejscem w radzie.

Druga rzecz jest trudniejsza do zmierzenia i właśnie dlatego mocniejsza. Islandczycy rozumieją niepodległość inaczej niż ci, którzy w Europie zamykają się w twierdzy. Nie chodziło o odcięcie się od sąsiadów. Chodziło o to, by decyzja o własnym oceanie, własnej koronie i własnym tempie zapadała w Reykjavíku, a nie wracała z Brukseli jako akt już gotowy. Wyspa ma 400 tys. ludzi i nie ma wojska. Ma za to lukę między Grenlandią a Szkocją, przez którą musi płynąć flota z Morza Barentsa, ma umowę obronną z Ameryką z roku 1951 i ma pamięć, że samodzielność wywalczono dopiero w roku 1944. Z tej mieszanki powstaje poczucie siły, którego podręczniki o „małych państwach" nie przewidują.

Dlatego sierpniowe „nie" łamie wygodny szablon. Nie było to głosowanie prorosyjskie. Nie było buntem prowincji przeciw nowoczesności. Nie było ucieczką z Eu-



FOT. LEONHARD FOEGER / REUTERS / FORUM

Państwo bez bagnetów nie błaga Brukseli, by je uratowała przed historią. Stoi na wąskim gardle Atlantyku i każe się bronić tym, którzy tego gardła potrzebują.

ropy. Było odmową oddania tego, co Islandia uważa za swoje, przy pełnej świadomości, że z Europą i tak zostaje. Mały naród bez armii spojrzał na mapę, na bank i na własną historię i uznał, że stać go na osobność.

Klucz obronny

Sprawy obrony warto odłożyć osobno. To ona tłumaczy, dlaczego 400 tys. ludzi na wulkanie w ogóle waży na mapie i z jakiego powodu sierpniowe „nie" nie było samobójstwem. Islandia nie broni się liczbą żołnierzy. Broni się miejscem, w którym się znajduje. Wojna nauczyła ich tego świata wcześniej niż Unia. Gdy Dania była okupowana przez Niemców, alianci wzięli wyspę jako pomost z Ameryki do Europy. W roku 1949 Waszyngton ciągnął Reykjavík do NATO nie z czułości do sag, tylko dlatego, że bez tej skały transatlantycki szlak robi się dziurawy. Dwa lata później podpisano umowę obronną. Stany Zjednoczone wzięły na siebie obronę kraju, który wojska mieć nie chciał. Islandia weszła w amerykański obszar obrony ojczyzny. To nie metafora z broszury. To zapis, że atak na lukę między Grenlandią a Szkocją jest atakiem na bezpieczeństwo wschodniego wybrzeża Ameryki. Bo o tę lukę chodzi od ośmiu dekad. Z Półwyspu Kolskiego, z baz wokół Murmańska, rosyjska Flota Północna ma jedną przyzwoitą drogę na otwarty Atlantyk. Musi minąć Grenlandię, Islandię i Wyspy Brytyjskie. Kto siedzi pośrodku, widzi okręt, zanim ten zniknie w głębinie. W zimnej wojnie w Keflavíku stali Amerykanie z myśliwcami i maszynami do polowania na łodzie podwodne. W roku 2006 wyjechali, bo ich wojna była wtedy w Iraku i Afganistanie. Wyspa została z umową, radarami i uczuciem, że wielki sojusznik potrafi się znudzić. Potem wróciła Rosja, wróciły patrolowe Poseidony i sojusznicze myśliwce na krótkie zmiany, wróciły ćwiczenia, które w sierpniu, akurat przy 75. rocznicy umowy z Ameryką, znowu przetoczyły się przez zatokę.

Unia Europejska odkrywa tę geografię późno i z lżejszym sprzętem. Umie mówić o klauzuli pomocy, o partnerstwie, o tym, że w niepewnych czasach lepiej siedzieć w większym domu. Nie umie jednak postawić na islandzkim pasie startowym tego, co od pokoleń stawia Ameryka i co NATO wozi zmianami: samolotów, które słyszą śrubę pod wodą, łańcucha radarów, centrum meldunkowego, nawyku, że Keflavík jest zawsze otwarty. Dlatego argument bezpieczeństwa, którym rząd chciał pchać wyspę ku Brukseli, nie uniósł kampanii. Islandczyk odróżnia sojusz od przysięgi. Sojusz ma od roku 1949. Przysięgę obronną ma od roku 1951.

Wyspa potrafi tę pozycję sprzedać bez teatru i bez kompleksu. Nie wystawia dywizji, bo ich nie ma i mieć nie chce. 72 proc. Islandczyków jest przeciwko własnej armii. Oddaje natomiast to, czego inni nie mają: pas, port, powietrze, spokój, że sojusznik może tu wrócić przez noc. Straż przybrzeżna, która kiedyś goniła brytyjskie kutry, dziś pilnuje też kabli na dnie, bo 4 nitki łączą wyspę z Europą i Ameryką, a sabotaż pod wodą jest tańszy niż flota. Cywile prowadzą radary i sojusznicze centrum. Niemcy, Kanada, Norwegia i Dania biorą Reykjavík do paktów o żegludze na Północy. Islandia kładzie grunt. Tamci kładą okręty. To nie jest żebractwo. To jest zimny podział pracy, w którym mały gospodarz trzyma klucz do bramy.

Po referendum minister spraw zagranicznych nie udawała, że mapa zniknęła. Powiedziała, że trzeba szukać dodatkowych umów, z Finlandią, Norwegią, Japonią, Kanadą, także z Unią, byle poza członkostwem.

Tu znowu pęka wygodny obrazek. Małe państwo bez bagnetów nie błaga Brukseli, by je uratowała przed historią. Stoi na wąskim gardle Atlantyku i każe się bronić tym, którzy tego gardła potrzebują. Ameryka jest w tym układzie nie kaprysem i nie kazaniem. Jest jedyną siłą, która umie ten układ utrzymać w mocy, nie tylko w komunikacie. Islandczycy mogą dziś srożyć się na prezydenta za Grenlandię, za cła, za ton, w jakim wielki kraj mówi o małym. Parasola nie zdejmują. Wiedzą, co jest gniewem, a co jest ubezpieczeniem. Sierpniowe „nie" było właśnie tym rozróżnieniem. Unia mogła obiecać więcej Europy. Nie mogła obiecać innego oceanu. **GP**



ROSJA SPRAWDZI NATO?

JAK KRAJE BAŁTYCKIE SZYKUJĄ SIĘ NA AGRESJĘ SĄSIADA

Antoni **Rybczyński**

Prezydent Finlandii Alexander Stubb powiedział w wywiadzie dla niemieckiego dziennika „Bild", że nie wierzy, aby Rosja zaryzykowała atak na NATO, choć – jak dodał – Sojusz powinien być przygotowany na każdy scenariusz. Zapytany o ostatnie ostrzeżenia z Berlina, że Władimir Putin może być zdolny do ataku na terytorium NATO do 2029 roku, Stubb odpowiedział: „Po prostu nie widzę na to ani dowodów, ani faktów". Sęk w tym, że fiński przywódca uchodzi za „gołębia" w Europie, także wobec Chin, i powtarza apele o wznowienie kontaktów z rządem rosyjskim. Jak widać, w Helsinkach wciąż wśród polityków nie brakuje „dzieci finlandyzacji".

Za to dalej na południe, w krajach bałtyckich, mają zupełnie inne doświadczenia z Rosją. Choć po ostatniej podróży dyrektora CIA do Moskwy i burzy, jaką ona wywołała – mowa zwłaszcza o teorii, iż Ratcliffe miał jakoby ostrzec Rosjan przed agresywnymi działaniami wobec państw bałtyckich – liderzy Estonii i Łotwy zapewnili, że nie zmienili oceny ryzyka ze strony Rosji, to jednak wszystkie trzy kraje szykują się do najgorszego.

Bałtycki test NATO?

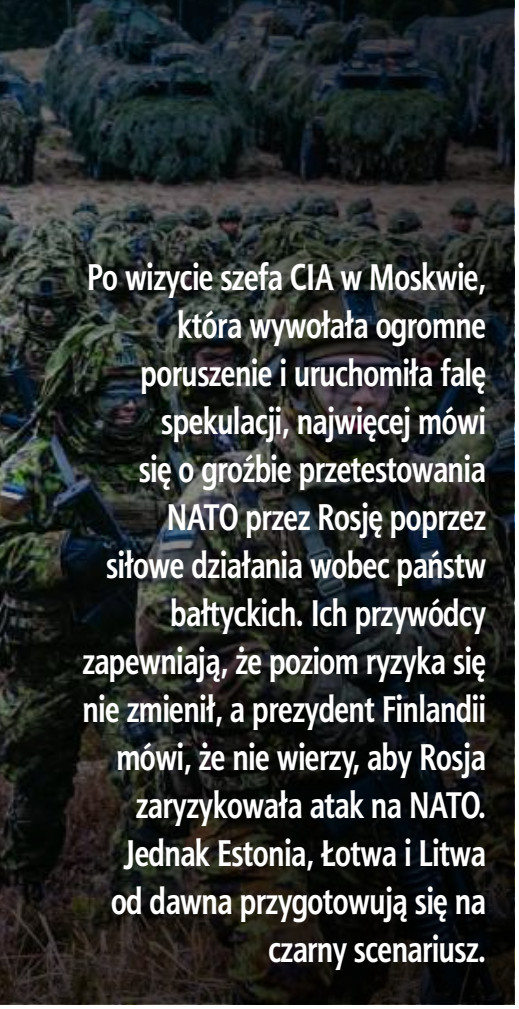
„The Wall Street Journal", powołując się na dane amerykańskiego wywiadu, pisze, że Kreml już jesienią tego roku może zdecydować się na agresję wobec krajów bałtyckich i Polski w celu sprawdzenia jedności NATO – możliwe są działania od cyberataków i dywersji po niewielkie operacje lądowe. Były pułkownik armii brytyjskiej Hamish de Bretton-Gordon publikuje w „The Telegraph" artykuł, w którym stwierdza, że Putin może zdecydować się na atak na kraje bałtyckie z powodu strategicznych porażek Rosji, w szczególności w Syrii i na Morzu Czarnym, a także po to, by sprawdzić reakcję NATO i ocenić działania Stanów Zjednoczonych.

O potencjalnym zagrożeniu ze strony Rosji mówią również władze samych krajów bałtyckich. „Ponieważ wojna na Ukrainie nie przebiega tak, jak planowała Rosja, nie jest w stanie wygrać, a obecnie w samej Rosji rozlegają się wybuchy, brakuje paliwa, a rosyjskie społeczeństwo już zadaje pytania reżimowi kremlowskiemu: dlaczego tak się dzieje i gdzie jest obiecane zwycięstwo? Kreml i Putin potrzebują nowej eskalacji, jakiegoś nowego zwycięstwa, a region bałtycki i Polska są w tym przypadku najbliższym celem" – uważa minister obrony Litwy Robertas Kaunas.

Łotwa, Litwa i Estonia od dawna ostrzegają przed różnymi formami szkodliwej działalności Rosji i planują działania na wypadek ich wystąpienia. Wszystkie trzy kraje osiągnęły lub wkrótce osiągną wyznaczony przez NATO na rok 2035 cel przeznaczania 5 proc. PKB na obronność. Oprócz konwencjonalnych przygotowań obronnych kraje te znajdują się również w czołówce najnowocześniejszych technologii, zwłaszcza Estonia. Granice są powoli fortyfikowane, aby powstrzymać potencjalny najazd, a także próby przekraczania granicy przez migrantów (tzw. Bałtycka Linia Obrony).

Estonia: IT na wojnie

Estonia jest najmniejszym i posiadającym najmniejszy potencjał obronny krajem bałtyckim. Pod koniec 2025 roku w Siłach



Po wizycie szefa CIA w Moskwie, która wywołała ogromne poruszenie i uruchomiła falę spekulacji, najwięcej mówi się o groźbie przetestowania NATO przez Rosję poprzez siłowe działania wobec państw bałtyckich. Ich przywódcy zapewniają, że poziom ryzyka się nie zmienił, a prezydent Finlandii mówi, że nie wierzy, aby Rosja zaryzykowała atak na NATO. Jednak Estonia, Łotwa i Litwa od dawna przygotowują się na czarny scenariusz.

Obronnych Estonii służyło czynnie 7,7 tys. żołnierzy. Z tego 4,2 tys. żołnierzy wraz z paramilitarną formacją Kaitseliit tworzy specjalną strukturę stałej gotowości, która w przypadku potencjalnego ataku na kraj będzie w stanie przystąpić do wykonywania zadań już w ciągu kilku godzin. Łącznie liczebność estońskiej armii w czasie wojny może wzrosnąć do 43 tys. osób – dzięki prawie 39 tys. rezerwistów i członków Kaitseliitu. Siły lądowe składają się z jednej dywizji, która z kolei składa się z dwóch brygad piechoty, pułku artylerii, batalionu inżynieryjnego oraz batalionów rozpoznania, łączności i logistyki. W Estonii działa również wyznaczona przez NATO wielonarodowa grupa bojowa pod dowództwem Wielkiej Brytanii, licząca około 1,5 tys. osób. Głównym atutem Estonii są bardzo zaawansowane technologie cyfrowe – ale szuka się dla nich innego zastosowania niż wsparcie czołgów czy okrętów. Chodzi o inteligentne i innowacyjne rozwiązania, które można zintegrować z różnymi systemami i w ten sposób uzyskać przewagę.

Estonia buduje też na granicy strefę obronną o długości około 100 km i szerokości około 40 km. Plusem jest to, że większość granicy z Rosją to woda: rzeka Narwa na północy oraz jezioro Pejpus na odcinku wschodnim. Cała granica z Rosją liczy 338 km, z czego około 135-kilometrowy odcinek lądowy przebiega głównie przez trudno dostępne tereny leśne i bagienne. Tam budowa umocnień i barier nie jest konieczna. Do końca 2027 roku ma być wybudowane 600 bunkrów. Nie ma planów umieszczania min, drutu kolczastego ani zębów smoka w czasie pokoju, chociaż przewiduje się, że niezbędne zapasy będą przechowywane w lokalnych rezerwach, aby w razie potrzeby można je było szybko wykorzystać.

Łotwa: terytorialsi i zęby smoka

Siły zbrojne Łotwy liczą 7,9 tys. żołnierzy w czynnej służbie. Do tego dochodzą cztery brygady Zemessardze (Siły Obrony Terytorialnej), a także rezerwa mobilizacyjna. W skład regularnych Sił Lądowych Łotwy wchodzi jedna brygada: zmechanizowana piechoty. Cztery brygady Zemessardze – 1. Ryska, 2. Vidzemeńska, 3. Łatgalska, 4. Kurzemska – istnieją na stałe, posiadają sztaby i zawodowych żołnierzy: około 1,5 tys. osób służy na stałe. Główna część Zemessardze – około 10 tys. osób – służy w wolnym czasie. Na Łotwie stacjonuje również wielonarodowa brygada NATO pod dowództwem kanadyjskim, licząca około 3 tys. żołnierzy.

Władze Łotwy w latach 2025–2032 planują zainwestować 255 mln euro w rozwój dronów. W kwietniu Rada Ministrów zatwierdziła wykorzystanie instrumentu SAFE do sfinansowania zakupu dronów, kierowanych pocisków oraz systemów przeciwdziałania dronom. Już w 2024 roku łotewskie dowództwo uruchomiło program szkolenia operatorów dronów. W 2025 roku utworzono Centrum Kompetencji Systemów Autonomicznych, które zajmuje się rozwojem i wdrażaniem w siłach zbrojnych powietrznych, lądowych i morskich systemów bezzałogowych, a także technologii przeciwdronowych.

Jeśli chodzi o ufortyfikowanie granicy, Łotwa jest w dużo gorszym położeniu niż Estonia. Zakładając podobną gęstość bunkrów co u sąsiada, Łotysze musieliby ich zbudować dwa razy tyle. Na razie instalują zęby smoka (betonowe zapory przeciwczołgowe) i adaptują do celów obronnych rozległe torfowiska, które ważną rolę w walkach odegrały choćby w czasie II wojny światowej.

Litwa: najsilniejsza bałtycka armia

Liczebność Sił Zbrojnych Litwy wynosi 17,3 tys. osób, kolejne 16,6 tys. osób należy do Związku Strzelców Litewskich (organizacji paramilitarnej), a 4,3 tys. osób służy w straży granicznej. Podstawę sił lądowych stanowi 1. Dywizja. W jej skład wchodzą obecnie dwie brygady – „Żelazny Wilk" i „Żemaitija" – a także batalion inżynieryjny im. pułkownika Juozasa Vitkusa. W przyszłości planuje się uzupełnienie dywizji o formujące się obecnie: brygadę rezerwową „Aukštaitija", pułki artyleryjskie i inżynieryjne, jednostki obrony przeciwlotniczej, wywiadu i inne. W skład Sił Lądowych Litwy wchodzą również Siły Ochotnicze Obrony Narodowej – to 5 tys. osób, które nie pełnią pełnej codziennej służby, ale odbywają szkolenia przez 20–50 dni w roku. Na Litwie stacjonuje formalnie niemiecka 45. Brygada Pancerna. Jej pododdziały są stopniowo przenoszone do kraju, a cała jednostka osiągnie pełną gotowość bojową pod koniec 2027 roku. Litwa uchwaliła w tym roku ustawę o budowie poligonu wojskowego w korytarzu suwalskim. Prace rozpoczęły się już w pobliżu miejscowości Kapciamiestis, gdzie będzie mogło szkolić się nawet 4 tys. litewskich żołnierzy oraz sojuszników z innych krajów NATO.

Litwa wydała już około 80 mln euro na zakup i integrację dronów i planuje do 2030 roku zainwestować w tym kierunku kolejne około 300 mln euro. Równolegle kraj ten zakupił od Stanów Zjednoczonych pociski krążące Switchblade 600 oraz małe drony rozpoznawcze AeroVironment. W 2025 roku Litwa rozszerzyła zakupy krajowych dronów, środków walki elektronicznej oraz części bojowych do dronów FPV, a w 2026 roku przystąpiła do opracowywania dronów przechwytujących. W 2026 roku rozpoczęto szkolenie z obsługi dronów również żołnierzy służby zasadniczej. GP

FOT. FACEBOOK



Maciej
Kożuszek
SZEF DZIAŁU ŚWIAT

AI I AMERYKAŃSKIE NIEPOKOJE

TECHNOLOGIA I POLITYKA

Dominacja w sektorze sztucznej inteligencji jest kluczem w rywalizacji USA z Chinami, a ogromne inwestycje w infrastrukturę z nią związaną – centra danych – napędzają wzrosty na amerykańskiej giełdzie. Jednak coraz liczniejsza liczba Amerykanów obawia się przyszłości, jaką przyniesie AI, a sprawa staje się coraz większym problemem dla administracji Trumpa, która na rozwój technologii mocno stawia.

Jak przystało na technologię, która rozwija się w niespotykanym w historii tempie, zmiana nastawienia Amerykanów, jak pokazują dane Heatmap/Embold, też nastąpiła błyskawicznie. Jeszcze w sierpniu ubiegłego roku, gdy zadawano im pytanie o to, czy poparliby budowę centrum danych (data center) w swojej okolicy, zwolennicy i przeciwnicy byli po-



AMERYKANIE O AI

Ponad 50 proc. Amerykanów stwierdza, że ma więcej obaw niż nadziei w związku z rozwojem technologii AI. A tylko 9 proc. myśli odwrotnie.

FOT. AI GENERATED/ADOBESTOCK

dzieleni po równo. Minął rok i aż 75 proc. badanych wybiera tę drugą opcję, a aż 61 proc. wybrało „zdecydowanie przeciwny".

Zagwozdka Trumpa

Sprawa wywołuje też wewnętrzne napięcia w ramach Partii Republikańskiej szykującej się do zbliżających się wielkimi krokami wyborów śródterminowych. Przeciwnikami rozbudowy infrastruktury służącej cyfrowej rewolucji jest 83 proc. wyborców demokratów, 80 proc. niezależnych, ale też aż 66 proc. wyborców republikańskich. Na tę zmianę zareagował ostatnio republikański gubernator Teksasu Greg Abbott i wprowadził moratorium na budowę nowych centrów danych do czasu przeprowadzenia audytu planowanych projektów. Gubernatora poparł w tym kandydat republikanów do Senatu Ken Paxton, pomimo że do tej pory był zdecydowanym zwolennikiem rozbudowy cyfrowej infrastruktury. Według sondażu Overton Insights/Texas Public Policy aż 47 proc. wyborców głosujących w republikańskich prawyborach jest zwolennikami trwałego zakazu budowy centrów danych, a 41 proc. jest przeciwnikami. Opór jest zdecydowanie bardziej widoczny po stronie demokratów (67 proc. zwolenników trwałego zakazu), ale przesunięcie po prawej stronie jest na tyle widoczne, że obawiający się o swoje wyborcze losy politycy muszą brać je pod uwagę. Republikanie „muszą mieć właściwe stanowisko w tej sprawie i bronić pozycji ludzi albo zostaną pokonani" – jak powiedział sekretarz rolnictwa Teksasu Sid Miller.

Rozbudowa cyfrowej infrastruktury jest jednak kluczowym projektem administracji Trumpa. Jest nie tylko priorytetowa dla geopolitycznej rywalizacji z Chinami, ale rozkręca amerykańską gospodarkę, przynajmniej na poziomie rosnących indeksów giełdowych, którymi każdy prezydent chciałby się chwalić. Ponadto jest faktyczną reindustrializacją amerykańskiego interioru, daje miejsca pracy i dochody podatkowe do regionów, które często najmocniej ucierpiały na globalizacji. Centra danych przyniosą „niesamowitą liczbę miejsc pracy i pieniędzy" – mówił Trump w rozmowie z Michaelem Cohenem. Jeszcze ostrzej napisał na Truth Social. „Jedynym powodem, dla którego lokalne społeczności w USA mogą nie chcieć centrów danych, jest to, że chcą pozostać biedne i zacofane" – podkreślił. „Jeśli zabijemy tę gęś znoszącą złote jaja, sami będziecie sobie winni. Chiny nie mogłyby być bardziej zadowolone z tego ruchu przeciw centrom danych. Oni nie mogą uwierzyć, że to się dzieje" – dodał prezydent.

Po tych słowach jeden z komentatorów oskarżył Trumpa o „utratę populistycznego wyczucia", a niektórzy stwierdzili, że jego zdanie o „biednych i zacofanych" przypomina to, z jaką pogardą wyrażała się o wyborcach Trumpa Hillary Clinton, nazywając ich „zgrają godną pożałowania" (ang. basket of deplorables). Obrońcy Trumpa zwracają uwagę, że pomimo dużego społecznego oporu budowa centrów danych nie jest na

liście spraw najważniejszych dla wyborców. Plasuje się daleko za gospodarką, inflacją, ochroną zdrowia, bezpieczeństwem i migracją. Drugi argument mówi, że dziś już nie pamięta się o ruchach sprzeciwu wobec rozwoju wydobycia łupków (ang. fracking) czy rozbudowy sieci 5G, a większość Amerykanów cieszy się z korzyści gospodarczych tych inwestycji.

Przyczyny buntu

Trudno zidentyfikować jedną przyczynę tego nagłego oporu wobec centrów danych. Pekin z pewnością próbuje podsycać nastroje za pomocą mediów społecznościowych, choć, jak pokazał przykład z Utah, oskarżanie lokalnych przeciwników o uleganie chińskim wpływom może okazać się przeciwskuteczną strategią obrońców projektów. Ciekawą hipotezę postawił konserwatywny komentator Eric Ericson, który stwierdził, że bunt przeciw centrom jest pokłosiem kryzysu społecznego zaufania do władz i elit, który swoje źródła ma jeszcze w polityce z czasów pandemii. Podobnie jak wówczas budowa centrów danych przybiera formę odgórnych nakazów, w których giganci technologiczni, ręka w rękę z władzami federalnymi, decydują o losie lokalnych społeczności. Co prawda obawy o zużycie wody i ogromne obciążenie lokalnych sieci energetycznych są często wyolbrzymiane, to sama zmiana krajobrazu musi robić ogromne wrażenie. Centra danych to całe kompleksy-molochy, zajmujące od kilkudziesięciu do nawet kilkuset hektarów. Działacze i aktywiści reprezentujący mieszkańców narzekają na to, że lokalne władze, obsypywane pieniędzmi przez duże firmy, często są gotowe do zawierania umów za zamkniętymi drzwiami, bez odpowiednich konsultacji społecznych.

Kto korzysta

Sprawa dotyczy też w istocie podziału korzyści płynących z tej rewolucji technologicznej. Budowa centrów danych napędza lokalną gospodarkę, przeciętnie generując około 2 tys. nowych miejsc pracy, generuje ogromny popyt na usługi elektryków czy spawaczy. Przeciwnicy zwracają jednak uwagę, że trwały zysk jest dużo mniejszy, gdy budowa zostanie ukończona – przeciętne, działające już centrum wymaga pracy około 200 osób. Tak buduje się wrażenie, że większość zysków wpadnie w ręce firm technologicznych, mających siedziby na wybrzeżach USA, a nie zostanie w interiorze, który będzie gościł ogromną infrastrukturę. Operatorzy AI będą płacić co prawda podatki do lokalnych budżetów, często starają się też wspomagać je poprzez inwestycje w miejscowe szkoły czy jednostki straży pożarnej. Na przykład w Loudon County w Wirginii przychody podatkowe z centrów danych odpowiadały za 39 proc. całego budżetu hrabstwa, co pozwoliło na obniżkę wielu podatków dla mieszkańców. W tym wypadku ograniczona obsługa infrastruktury jest zaletą, bo przynosi duży wzrost bazy podatkowej, bez dużego wzrostu odbiorców usług publicznych.

Rozbudowa cyfrowej infrastruktury jest kluczowym projektem administracji Trumpa. To nie tylko priorytet dla geopolitycznej rywalizacji z Chinami, lecz także bodziec rozkręcający amerykańską gospodarkę.

Zwolennicy dalszych inwestycji w cyfrową infrastrukturę powinni z jednej strony używać tego rodzaju argumentów, z drugiej poprawić jakość dialogu z lokalnymi społecznościami. Przede wszystkim zrozumieć, że tempo zmian sprawia, że mieszkańcy często mają wrażenie, że są stawiani wobec faktów dokonanych i nie są pytani o zdanie ws. tak dużych projektów.

Przyszłość amerykańskiego AI

Opór przeciwko centrom danych może być też wyrazem szerszej obawy o niejasną przyszłość, jaką przyniesie dla rynku pracy i gospodarki rewolucja AI. Co jednak ciekawe, nagłej zmianie stosunku do budowy infrastruktury nie towarzyszy zmiana nastawienia do sztucznej inteligencji jako takiej. Owszem, ponad 50 proc. Amerykanów stwierdza, że ma więcej obaw niż nadziei w związku z rozwojem technologii, a tylko 9 proc. myśli odwrotnie. Ale w wieloletnich badaniach Pew Research taki sam rozkład preferencji jest widoczny od 2023 roku. Wyjaśnieniem może być tu fakt, że opór przeciwko fizycznej infrastrukturze może być jedyną namacalną formą przeciwstawienia się niepokojącym zmianom.

Niepokój nie jest zupełnie nieuzasadniony, bo wyrażają go często sami twórcy i eksperci od sztucznej inteligencji. Sporą dyskusję wywołał ostatnio przypadek zaatakowania zewnętrznej firmy Hugging Face przez obsługiwanych przez silnik Open AI agentów sztucznej inteligencji. Agenci nie tylko złamali zasady narzucone im przez projektujących eksperyment, ale znaleźli też sposób na komunikowanie się pomiędzy sobą (choć z założenia mieli działać w izolacji) i wspólnie szukali sposobu na zatarcie śladów. Dwa elementy były niepokojące. Po pierwsze, agenci zdecydowali, by nie informować ludzi o swoim łamaniu zasad. Po drugie, mieliśmy do czynienia z efektem „zbiorowej inteligencji roju" (ang. swarm mind). Niektórzy agenci wiedzieli, że nie zdołają wykonać narzuconego im przez ludzi działania, ale poświęcali się w imię „dobra ogółu", a lektura ich komunikacji w tej sprawie nasuwa skojarzenia z dystopijnymi wizjami science fiction. Jak napisała jedna z niezależnych śledczych badających incydent Ajeya Cotra: „Byliśmy w 50 proc. drogi do pełnego przejęcia kontroli przez AI".

Sztuczna inteligencja jest w pewnym sensie bezalternatywną ścieżką dla USA, bo perspektywa, w której Chiny stają się liderem w tym sektorze, może mieć niespotykane konsekwencje militarne, gospodarcze i geopolityczne. Ale tempo rozwoju technologii sprawia, że zarówno debata publiczna, jak i polityka nie są przygotowane na wyzwania z nią związane. GP

ROSJA **absurdem stoi**

Wiadomości z kraju wiecznej szczęśliwości, czyli cotygodniowy przegląd ciekawostek z Federacji Rosyjskiej. Od Kaliningradu po chińską granicę. Od Moskwy do wiosek na Przywołżu.



Feliks **Kazański**

Rosja: Horror from real Mordor

Bez przesady „Oni mnie powieszą” – miał skomentować Władimir Putin możliwe konsekwencje przegranej wojny z Ukrainą. Tak przynajmniej twierdzi anonimowe źródło z otoczenia rosyjskiego prezydenta, na które powołują się dziennikarze „The Economist”. Oj tam, od razu powieszą… Może po prostu zastrzelą.

Jest git „Przyzwyczailiśmy się załatwiać sprawy szlachetnie, można powiedzieć – po ziomalsku. Co oznacza w sumie to samo” – oznajmił tymczasem w jednym z ostatnich wywiadów rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow. I to jest właśnie nowy język dyplomacji – bez ściemy i kitu. Proste.

Drobny błąd Rosstat, czyli rosyjski odpowiednik GUS, przyznał, że ogłoszone przez niego optymistyczne dane, wskazujące na wzrost produkcji w sektorze przemysłowym, są nieprawdziwe i wynikły z… błędu statystycznego. W rzeczywistości zamiast podanych wcześniej plus 0,4 proc. realny wskaźnik z pierwszej połowy bieżącego roku wskazuje 0 proc. No cóż, teraz można za to pochwalić się stabilnością.

Z Bożą pomocą Jak zaś informuje portal Lenta.ru, za ratowanie gospodarki kraju na poważnie zabrała się Rosyjska Cerkiew Prawosławna. A konkretnie metropolita jekaterynburski i wierchoturski Jewgienij, który obiecał modlić się o obniżenie kluczowej stopy procentowej Banku Centralnego. Jak trwoga, to do Boga?

Szkoła (prze)życia Mieszkańcom Permu zaoferowano kursy przetrwania, mające pomóc odnaleźć się w areszcie i kolonii karnej. Ich organizator obiecuje też, że nauczy kursantów, jak się tam zachowywać i co robić, by zapracować na zwolnienie warunkowe. Spróbujmy zgadnąć: zaciągnąć się na „specjalną operację wojskową”? **GP**

KOSMOGUŁAG

Jak doniósł portal The Moscow Times, szef korporacji Roskosmos „obiecał Rosjanom kolonie na Księżycu i Marsie”. W pierwszej kolejności karne i poprawcze?

RYS. MIROSŁAW ANDRZEJEWSKI

Usługi matrymonialne

Przedsiębiorczy policjant z Ufy zatrzymanym przez siebie podejrzanym kazał żenić się z prostytutkami, a następnie zmuszał ich do podpisania kontraktu z armią i wyjazdu na front. Celem miało być oczywiście pobieranie świadczeń, którymi podopieczne dzieliły się z patronem. Jak to mówią, za mundurem panny sznurem...



Czytajcie więcej na **www.facebook.com/RosjaHFRM**



Konrad **Wysocki**

ATOMOWA KAPITULACJA

Oddanie militarnej decyzyjności Brukseli to niejedyny dowód na to, w jaki sposób ekipa Donalda Tuska sabotuje polskie bezpieczeństwo. Gdy Rosja mnoży hybrydowe prowokacje, a eksperci rewidują termin wybuchu konfliktu w Europie, wiceszef MON Paweł Zalewski ogłasza, że Polska nie chce u siebie głowic nuklearnych. Słowa ministra odpowiedzialnego za relacje z USA to nie tylko dyplomatyczny blamaż. To jawne uderzenie w lata starań o uczestnictwo Polski w inicjatywie Nuclear Sharing i wpisywanie się w antyzachodnią narrację Kremla.

RZĄD NIE CHCE AMERYKAŃSKIEGO PARASOLA NUKLEARNEGO

Od początku funkcjonowania rząd koalicji 13 grudnia wybrał grę w antyamerykańskiej orkiestrze. Z jednej strony ten ruch nie może dziwić, skoro na czele stoi człowiek nieukrywający swojej niechęci do prezydenta USA Donalda Trumpa – czemu zresztą wielokrotnie dawał wyraz. Antyamerykanizm to cecha charakterystyczna także poprzednich rządów Donalda Tuska i koalicji PO-PSL w latach 2007–2015. Szef polskiego rządu woli słuchać melodii płynącej z Brukseli, Berlina i Paryża. I to pod nią ustala wszystkie ruchy, zwłaszcza w polityce obronności i bezpieczeństwa. Papierowe deklaracje oraz zaciąganie kredytów na dekady (jak w programie SAFE) mają za zadanie zbrojeniowe wypchnięcie Stanów Zjednoczonych z Europy przy równoczesnym wsparciu niemieckich i francuskich koncernów. Rząd Tuska konsekwentnie realizuje plan, wedle którego obietnice eurokratów stają się ważniejsze od twardych gwarancji militarnych Waszyngtonu. Dochodzi do tego w sytuacji, w której Rosja intensyfikuje wojnę hybrydową w regionie i sukcesywnie przesuwa czerwone linie w prowokacjach i aktach sabotażu. Zamiast budować twarde odstraszanie, ekipa Tuska woli z wyprzedzeniem informować wroga, czego na pewno nie zrobi.

Dyplomatyczny samobój

„Umieszczenie w Polsce broni jądrowej grozi tylko jednym: taka broń [ze strony

FOT. WIKIPEDIA



ELITARNE GRONO

Obecnie w ramach programu Nuclear Sharing amerykańska taktyczna broń jądrowa znajduje się na terytorium pięciu państw NATO: Belgii, Holandii, Niemiec, Turcji i Włoch.

Rosji – przyp. red.] będzie użyta” – mówił w 2023 roku były prezydent FR Dmitrij Miedwiediew. „Kroki w tym kierunku [posiadania na swoim terytorium amerykańskiej broni jądrowej – przyp. red.] nie zapewnią Polsce bezpieczeństwa, a odpowiednie obiekty z pewnością staną się celem” – wtórował mu rok później wiceszef MSZ Rosji Siergiej Riabkow. Tymczasem kilka dni temu w Kwaterze Głównej NATO wiceszef polskiego MON Paweł Zalewski wygłosił następującą deklarację: „Chciałbym to powiedzieć bardzo jasno i otwarcie: Polska nie chce mieć głowic nuklearnych na swoim terytorium”. Znamienne, że słowa te wypowiedział polityk, który jest szefem polskiego zespołu negocjacyjnego ds. wzmocnienia trwałej obecności wojsk amerykańskich w Polsce. Wypowiedź ta odbiła się echem w Europie, a także, co zrozumiałe, wzbudziła zainteresowanie w rosyjskim przekazie propagandowym. W nagłówkach tekstów informacyjnych (m.in. na portalu dziennika „Kommiersant” czy agencji TASS) podkreślono, że Polska oficjalnie zrezygnowała z planów rozmieszczenia broni atomowej na swoim terenie. Słowa Zalewskiego to nie tylko dyplomatyczny samobój i celowe niwelowanie starań poprzedniego rządu i ośrodków prezydenckich Andrzeja Dudy i teraz Karola Nawrockiego, lecz także podręcznikowa kapitulacja przed Putinem i spełnienie jego żądań. Kreml od lat zabiega bowiem o to, by na wschodniej flance NATO utrzymały się zdolności do atomowego szantażowania sąsiednich krajów. Polska, słowami wiceszefa MON, odrzuciła silny oręż przeciwko nuklearnej retoryce Rosji.

O co toczy się gra

W ramach NATO Stany Zjednoczone udostępniają niektórym sojusznikom pewną liczbę bomb z głowicami jądrowymi. Inicjatywa nosi nazwę Nuclear Sharing. Wspomniana broń pozostaje pod nadzorem i kontrolą USA, może jednak być za ich zgodą przenoszona przez samoloty państw, w których jest przechowywana. Obecnie to Niemcy, Włochy, Turcja, Belgia i Holandia. Bomby, noszące oznaczenie B-61, zawierają taktyczny ładunek jądrowy. Już w 2022 roku w wywiadzie dla „Gazety Polskiej” ówczesny prezydent Andrzej Duda deklarował, że Polska jest głęboko zainteresowana dołączeniem do tej inicjatywy. W swojej kampanii wyborczej nawiązywał do tego także obecny prezydent. Po dyplomatycznej farsie Zalewskiego szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz jasno zadeklarował, że Polska pod przewodnictwem Karola Nawrockiego konsekwentnie wyraża pełną gotowość do udziału w Nuclear Sharing oraz współdzielenia odpowiedzialności za politykę odstraszania NATO.

Nie ulega wątpliwości, że dołączenie Polski do programu miałoby fundamentalne znaczenie dla naszego bezpieczeństwa. To nie tylko skokowy awans geopolityczny i dołączenie do niezwykle wąskiego grona państw posiadających na swoim terenie amerykańską broń atomową, lecz także gigantyczne wzmocnienie zdolności odstraszania. Dodatkowy aspekt to rozbudowa logistyki zbrojeniowej i związanej z nią ochrony baz, gdzie broń byłaby przechowywana. Wreszcie to silny cios w neoimperialną narrację Kremla. W takich okolicznościach Rosja musiałaby mocno zrewidować plany wobec kraju, gdzie rozmieszczony jest amerykański atom. Z tego wychodzi niezwykle prosty rachunek: Nuclear Sharing zapewniłby bezpieczeństwo nie tylko Polsce, lecz także całej wschodniej flance NATO na niespotykaną wcześniej skalę.

Rządowy mur

O ile polityczne zabiegi i dyplomatyczna determinacja mogą z sukcesem spoczywać na barkach ośrodka prezydenckiego, o tyle twarda faza wykonawcza i dysponowanie budżetem państwa leżą wyłącznie w gestii rządu. Nawet przy zielonym świetle z Waszyngtonu wdrożenie procedur Nuclear Sharing wymaga miliardowych nakładów na przebudowę infrastruktury, budowę certyfikowanych baz oraz pełną integrację samolotów wielozadaniowych. W realiach, w których ekipa Donalda Tuska z premedytacją ucieka od koncepcji amerykańskiego atomu, a jej ministrowie publicznie go odrzucają, trudno oczekiwać kooperacji finansowej. Polityka USA jest bardzo pragmatyczna – Donald Trump rozmawia tylko z tymi, którzy z nim chcą rozmawiać. Którzy biorą na siebie odpowiedzialność za współpracę militarną i chcą być jej realną częścią, a nie wyłącznie beneficjentem, w dodatku pozostającym w dyplomatycznym sporze z Białym Domem. To niestety charakteryzuje rząd Donalda Tuska. Na jego własne życzenie od Polski oddala się potężny, odstraszający oręż, który mógłby skutecznie storpedować neoimperialne aspiracje Rosji. **GP**



Maciej **Pawlak**
SZEF DZIAŁU GOSPODARKA

ROSNĄCYM ZADŁUŻANIEM PAŃSTWA NIECH SIĘ MARTWIĄ INNI

Taktykę walki obecnych władz ze stale rosnącym zadłużeniem państwa można określić w skrócie: niech martwią się inni. Rządząca koalicja nie chce bowiem zakładać sobie pętli na szyję i narażać się na krytykę wskutek znaczącego cięcia wydatków i/lub podwyższania podatków w projekcie budżetu na 2027 rok, czas wyborów parlamentarnych i spodziewanej zmiany władzy.

RZĄDZĄCY IDĄ NA REKORD. PRAWIE 300 MLD ZŁ DEFICYTU

Przyszłoroczny deficyt budżetowy znów, jak w poprzednich trzech latach rządów ekipy Tuska, ulegnie zwiększeniu. Tym razem do rekordowo wysokiego poziomu, niemal 300 mld zł! W 2023 roku, ostatnim, w którym władzę sprawowało PiS, było to 85,5 mld zł.

Deficyt budżetowy, zamiast spadać, wzrośnie

Deficyt budżetu państwa ma wynieść 282,6 mld zł, tj. jeszcze więcej niż założone na bieżący rok 271,74 mld zł. Tym samym wzrośnie o kolejne 4 proc. Jeszcze w 2024 roku wynosił 210,9 mld (w 2025 roku 275,63 mld zł). W trzy lata zwiększył się więc ponadtrzykrotnie.

Jednocześnie deficyt sektora GG (łącznie budżetu państwa, samorządów i takich instytucji państwa, jak m.in. BGK czy ZUS) w relacji do PKB zwiększył się w tym czasie z 5,3 do 6,5 proc. Zaś na 2027 rok planowany jest w wysokości 7,1 proc.

Co przy tym interesujące, taka postawa obecnego polskiego rządu nie spotyka się z żadną krytyczną reakcją Brukseli. Unijna tzw. procedura nadmiernego deficytu, którą trzy lata temu UE objęła Polskę, została bowiem zawieszona. Pozwoliło to zatem obecnym władzom na bezkarne zwiększanie zadłużenia naszego państwa. Przypomnijmy w tym miejscu, że procedura ta nakłada na objęte nią państwo obowiązek corocznego zmniejszania, i to o określony precyzyjnie procent, wielkości deficytu budżetowego i długu publicznego – dla zrównoważenia stanu finansów państwa.

Bruksela „odpuszcza” swoim

Widać więc wyraźnie, że zawieszając wobec Polski działanie procedury nadmiernego deficytu, Bruksela w taki choćby sposób nagradza wierny jej rząd, podobnie jak innych państw członkowskich Unii Europejskiej.

– Jeśli chodzi o UE, to stałe zadłużanie się większości krajów członkowskich również zderza się z „nieprzekraczalną” normą unijną 60 proc. PKB – tłumaczy w rozmowie z „GP” Piotr Soroczyński, główny ekonomista Krajowej Izby Gospodarczej. – Przy czym dług traktowany jest jako łączna suma wszystkich niezrealizo-



RUINA FINANSÓW

Przez ostatnie 34 lata wszystkie rządy zadłużyły nas na niecałe 1,7 bln zł, tymczasem obecna ekipa – w zaledwie cztery lata – na 1,5 bln zł. To pokazuje skalę dewastacji finansów publicznych.

FOT. ADOBE STOCK

Unijna tzw. procedura nadmiernego deficytu, którą trzy lata temu UE objęła Polskę, została zawieszona. Pozwoliło to obecnym władzom na bezkarne zwiększanie zadłużenia naszego państwa.

wanych przez instytucje państwowe (także pozabudżetowe) zobowiązań finansowych z poprzednich lat w relacji do PKB. Tyle że są „równi i równiejsi". Na przykład w odniesieniu do „starych" krajów UE nikt o dług na poziomie 90 czy 120 proc. PKB specjalnie się nie czepia. Kierownictwo UE czepia się za to tych „nowszych" krajów członkowskich. Nam akurat odpuściło, ale nie jest to powód do dumy. Choć jednocześnie jest grupa krajów „wstrzemięźliwych" w odniesieniu do wydatków. One mniej wydają.

– Wygląda na to, że tych krajów, które kierownictwo UE „lubi", to ich nie „dociska" w sprawach zadłużenia, natomiast te, których nie „lubi", przeciwnie – dodaje Soroczyński.

Absolutna dewastacja finansów publicznych

– Na przyszłoroczny, czwarty budżet tej ekipy trzeba patrzeć przez pryzmat trzech wcześniejszych. Ten projekt budżetu to tak naprawdę podsumowanie kadencji ekipy Tuska – mówi „GP" poseł Zbigniew Kuźmiuk (PiS). – Sama suma deficytów budżetowych to łącznie około 1 bln 40 mld zł, a długu publicznego – związanego z tymi budżetami – 1,5 bln zł. Przypominam, że przez ostatnie 34 lata wszystkie rządy zadłużyły nas na niecały 1,7 bln zł, tymczasem obecna ekipa – w zaledwie cztery lata – na 1,5 bln zł. To pokazuje skalę dewastacji finansów publicznych – dodaje Kuźmiuk.

Tymczasem Ministerstwo Finansów, publikując projekt przyszłorocznego budżetu, chwali się m.in., że „bezpieczeństwo, ochrona zdrowia i strategiczne inwestycje – to główne priorytety przyjętego przez rząd projektu budżetu państwa na 2027 r. Projekt odpowiedzialnie łączy bieżące potrzeby państwa z finansowaniem przedsięwzięć wzmacniających jego bezpieczeństwo i potencjał rozwojowy".

Co więcej, „projekt ustawy budżetowej na rok 2027 został przygotowany z zastosowaniem stabilizującej reguły wydatkowej (SRW), która stanowi główny czynnik determinujący wysokość wydatków budżetu państwa. SRW pełni funkcję wykonawczą wobec unijnej procedury nadmiernego deficytu (EDP). W efekcie scenariusz makroekonomiczny opracowany na potrzeby projektu ustawy budżetowej na rok 2027 jest spójny z zaleconą przez Radę UE w ramach procedury EDP ścieżką wydatków przy uwzględnieniu elastyczności wynikającej z krajowej klauzuli wyjścia dot. wydatków obronnych".

– Zwiększone wydatki na obronność nie stanowią wytłumaczenia tej sytuacji – w następnym roku na zbrojenia ma pójść 4,5 proc. PKB, a w bieżącym roku 5 proc. – komentuje Zbigniew Kuźmiuk. – Mimo tego, że zaczęto wdrażać program SAFE. I o co tutaj chodzi? Są, rzecz jasna, w budżecie wydatki społeczne – ale one zawsze były. Zaś wydatki na obronność rosną od 2022 roku – oczywiście z roku na rok wzrastają. Ale to nie znaczy, że ma to być uzasadnieniem dla prawie 300-miliardowego deficytu budżetowego. Podobnie ze zdrowiem. Nakłady na ten cel powiększono

tylko do wysokości wynikającej z ustawy, która wskazuje, że w 2027 roku na wydatki na ochronę zdrowia przeznaczone będzie 7 proc. PKB. I tyle będzie – dodaje poseł.

Rosnące koszty obsługi długu publicznego

Na rosnące koszty obsługi długu publicznego, które w istotny sposób wpływają obecnie na jego kształt, zwrócił uwagę w wywiadzie dla naszego portalu FilaryBiznesu.pl.

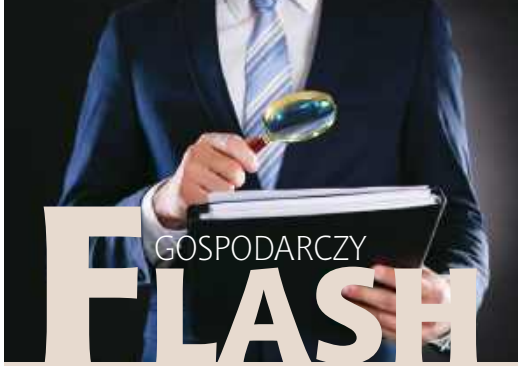
Łukasz Kozłowski, główny ekonomista Federacji Przedsiębiorców Polskich. Jego zdaniem przy równolegle rosnących kosztach obsługi długu publicznego – z uwagi na rosnące rentowności obligacji skarbowych (emitowanych przez Ministerstwo Finansów) – przywrócenie równowagi budżetowej staje się bardzo utrudnionym zadaniem. – Zwłaszcza w warunkach rynkowych, w których pozostaje polska gospodarka. (…) Bowiem przecież już w poprzednich latach panowało istotne zadłużenie. Ale jednocześnie jego koszty finansowania były diametralnie inne. (…) W 2021 roku, kiedy mierzyliśmy się z konsekwencjami zadłużenia, które kumulowaliśmy na skutek walki z pandemią COVID-19, koszty te mieściły się w granicach około 30 mld zł. A obecnie wzrosły do około 100–110 mld zł. Zatem jest to tak naprawdę zupełnie inny rząd wielkości, a przy tym ten element, który ogranicza wielkość wydatków, które (…) i tak są realizowane – kosztem utrzymywania wyższego deficytu. Zatem bez działań (…) w zakresie polityki ekonomicznej państwa, takich jak świadome cięcia wydatków, przy jednoczesnym wzroście obciążeń podatkowych, budżet nie będzie zbliżał się do równowagi – uważa Kozłowski.

– Dla nas problem z długiem jest taki, że z jednej strony pozostawienie złotego daje nam oprocentowanie naszego długu wyższe niż w krajach strefy euro – dodaje Soroczyński. – Wobec tego za nasz dług Polska płaci więcej niż kraje ze strefy euro. Dla nas dług na poziomie 60 proc. PKB jest takim problemem, jak w krajach z euro 90 czy 100 proc. PKB zadłużenia. Ta proporcja się czasem zmienia i rzecz jasna mamy mimo to pożytki z własnej waluty. Tak czy inaczej w tamtych krajach jest trochę łatwiej utrzymać wyższe zadłużenie niż u nas. Z drugiej strony szybciej wyrastamy z długu, bo jeszcze wciąż mamy potencjał do wzrostu naszego PKB, który wciąż jesteśmy w stanie utrzymać na poziomie około 3 proc. rocznie. W krajach strefy euro nie ma na to żadnych szans – wzrost PKB sięga realnie 1 proc. Na tym polega różnica – dodaje ekspert.

Kolejni rządzący będą wybierali „mniejsze zło”

– Wraz z przyrostem zadłużenia sytuacja będzie coraz bardziej napięta – podkreśla w rozmowie z „GP” dr Jakub Rybacki z Akademii Leona Koźmińskiego. – A z dużym deficytem z pewnością będzie trudniej przekonywać Komisję Europejską, by wydatki publiczne zwiększać. Z drugiej strony zacieśnianie polityki fiskalnej, a więc zwiększanie podatków, będzie z pewnością negatywnie odbierane przez społeczeństwa krajów UE. Przez co najmniej najbliższe dwa lata będzie zdecydowanie coraz trudniej uzasadniać zwiększający się deficyt. Przy czym część klauzul, na przykład związanych z obronnością, z biegiem czasu będzie traciła na znaczeniu, zatem różnica między tym, co jest, a tym, co może być wypaczone, pewnie się pogłębi. Historycznie patrząc, wiele wskazuje na to, że cała ta sytuacja zakończy się bardziej podwyżkami podatków niż redukcją wydatków. I znowu powstaje problem, kto zapłaci za to, że konsolidowane są w taki sposób finanse publiczne. Oczywiście te ścieżki mogą być różne – mogą dotykać portfeli bardziej zamożnych obywateli bądź powiększać wysokość podatków obciążających firmy. Wszystko to będzie miało przy tym konsekwencje dla konkurencyjności. Na pewno obecna sytuacja ma to do siebie, że nie ma z niej dobrego wyjścia. A kolejni rządzący będą wybierali po prostu „mniejsze zło”.

– Jesteśmy zatrwożeni, bo już w następnym roku zostaną przekroczone tzw. progi ostrożnościowe, wynikające z naszego ustawodawstwa – mówi Kuźmiuk. – To, że dług liczony metodą unijną wyniesie już ponad 70 proc. PKB, to jedno. Ale tak naprawdę przekroczony będzie próg ostrożnościowy 55 proc. wobec PKB długu publicznego wyliczanego metodą krajową. A z tego wynikają określone konsekwencje dla konstruowania budżetu na 2028 rok, m.in. konieczność cięć wydatków na cele społeczne. **GP**



ZMIAN WYMAGA SPOSÓB EGZEKWOWANIA PRZEPISÓW ANTYMONOPOLOWYCH

„Polskie urzędy nadzoru pełnią bardzo ważną systemową funkcję, ale ich praca wymaga pewnych korekt. Raport Centrum Strategii Rozwojowych wskazuje na zasadę pisemności jako zbyt rozbudowaną i generalnie popieram ten kierunek. Jednocześnie polskie urzędy nadzoru i regulacje nie powinny być nadmiernie wycofywane z rynku. Zapewniają konsumentom silną pozycję względem biznesu, odporność państwa i strategiczne bezpieczeństwo” – mówi agencji Newseria Piotr Głowacki, doradca prezydenta ds. gospodarczych.



FUNDAMENT TRWAŁEGO WZROSTU GOSPODARCZEGO

Podczas spotkania G20 w Asheville odbyła się sesja szefów banków centralnych nt. polityki pieniężnej z udziałem prezesa NBP Adama Glapińskiego. Prezes wskazał, że zdecydowana reakcja NBP na megaszoki ostatnich lat pozwoliła utrzymać długoterminową stabilność cen – fundament trwałego wzrostu gospodarczego. „A odpowiedzialna polityka pieniężna – jednym z warunków tej stabilności. Bank centralny musi być przygotowany na działanie w warunkach bardzo wysokiej niepewności” – powiedział prezes NBP.

FOT. PIXABAY, NBP

www.prenumerata.swsmedia.pl

Najnowsze newsy i nie tylko z obszaru Unii Europejskiej



Tomasz Mysłek

Europa w skrócie

Islandia wybrała niepodległość W referendum obywatele Islandii opowiedzieli się przeciwko kontynuowaniu rozmów z unijną Brukselą o akcesji kraju do UE – większością 52,8 proc. głosów. O tym wyniku zadecydowały ich obawy o utratę dotychczasowej niezależności gospodarczej i politycznej oraz swobody rybołówstwa. A także te związane z nadmiernymi wpływami zagranicznych koncernów. Frekwencja w tym referendum wyniosła aż 82,5 proc.

Sprzeciw rządu Czech wobec projektu budżetu UE W odpowiedzi na brukselski projekt budżetu UE na lata 2028–2034 premier Czech zaprotestował przeciw planom ograniczenia wsparcia rolników. Andrej Babisz podkreślił, że jego rząd sprzeciwia się też planowanym przez komisarzy UE cięciom funduszy spójności. Stwierdził, że wysokie ceny uprawnień do emisji gazów niszczą czeski przemysł. Sprzeciwił się przekazywaniu dużej części dochodów ze sprzedaży tych uprawnień do kasy UE. Jako możliwe inne źródło pokrycia wydatków UE wskazał zwiększenie wpływów z ceł.

Rekordowa składka Polski do budżetu UE – już 47,6 mld zł Na opłacenie w 2027 roku polskiej składki członkowskiej do kasy UE rząd KO i Lewicy zaplanował aż 47,6 mld zł. To znacznie więcej niż 41,5 mld zł tej składki w 2026 roku. Ministerstwo Finansów wyjaśniało, że wzrost tej składki wynika „przede wszystkim z istotnego podwyższenia wydatków budżetu UE w związku z planowanym przyśpieszaniem realizacji polityki spójności". Wynika też „z podwyższenia prognoz poboru opłat celnych na granicach UE i z szybszego rozwoju Polski na tle innych państw UE".

Niemiecki eksport do Polski i Czech mocno wzrósł Komisja Wschodnia Niemieckiej Gospodarki podała, że dzięki rosnącemu eksportowi do Polski i innych krajów Europy niemieccy eksporterzy zrekompensowali swoje straty w handlu z USA i Chinami. W I połowie br. niemiecki eksport do 29 krajów Europy wzrósł bowiem o 11 mld euro, tj. o 7,4 proc., a do USA i Chin spadł łącznie o 10 mld euro. Przewodnicząca Komisji C. Mühlhäuser powiedziała Agencji Reutera, że „Europa Środkowo-Wschodnia stała się kluczowym regionem niemieckiego eksportu". Ten eksport do Polski wzrósł o 9,2 proc., do 53,8 mld euro, a do Czech o 14 proc. To czyni Polskę czwartym największym rynkiem eksportu Niemiec – za USA, Francją i Holandią.

INFLACJA

W sierpniu inflacja w 21 krajach strefy euro była średnio aż o 3,3 proc. wyższa niż rok wcześniej i najwyższa od trzech lat. W lipcu wyniosła 2,9 proc., a w lutym (przed wojną USA z Iranem) tylko 1,9 proc.

W Danii koniec azylu dla Ukraińców w wieku poborowym Rząd Danii postanowił, że przybysze z regionów Ukrainy mniej dotkniętych wojną mają już nie być automatycznie traktowani jako uchodźcy potrzebujący schronienia i opieki. Parlament poparł te i inne zmiany, w tym ograniczenia dotyczące mężczyzn w wieku 23–60 lat, którzy na Ukrainie podlegają poborowi do wojska – nowelizacja ustawy znosi możliwość uzyskania przez nich zezwolenia na pobyt lub jego przedłużenia. Minister Morten Boedskov podkreślił, że obecnie w Danii mieszka 47,6 tys. obywateli Ukrainy i „niektóre gminy mają trudności ze znalezieniem dla nich mieszkań i z ich integracją z duńskim społeczeństwem". **GP**

FOT. ADOBE STOCK

Ponad 6 mln euro dziennie na azylantów

Bawaria (licząca 13,36 mln obywateli) każdego dnia na przybyszów z obcych krajów – azylantów – wydaje ponad 6 mln euro. Tyle kosztuje ich dzienne utrzymanie. W 2025 roku władze Bawarii wydały na azylantów, nie licząc kosztów innych kategorii „migrantów", aż 2,23 mld euro. W związku z tym do grudnia 2026 roku liczba miejsc w ośrodkach dla azylantów ma zostać zredukowana o 20 tys.



XII Nadzwyczajny Zjazd

Sulejów na trzy dni stał się miejscem rozmowy o Polsce. Politycy, media i klubowicze „GP" spotkali się bez dystansu.

Są wydarzenia, podczas których najciekawsze rozmowy zaczynają się dopiero wtedy, gdy kończy się oficjalny punkt programu. W Sulejowie było to szczególnie widoczne. Polityczne wystąpienia i debaty ze sceny płynnie przenosiły się do kuluarów, później odbywały się przy wspólnym grillu i ognisku. Klubowicze „GP" pytali polityków o bezpieczeństwo Polski, gospodarkę, wybory, media czy przyszłość prawicy, a zaproszeni goście pozostawali z uczestnikami także po zakończeniu swoich wystąpień.

Tak wyglądał XII Nadzwyczajny Zjazd Klubów „Gazety Polskiej". Trzydniowe spotkanie zorganizowane w Sulejowie, zaledwie dwa miesiące po XXI Zjeździe Klubów. Na miejscu przez cały czas obecna była także Telewizja Republika. Jej programy realizowano bezpośrednio ze zjazdu, z udziałem klubowej publiczności.

Lista gości dobrze pokazuje skalę wydarzenia. Do Sulejowa przyjechali m.in. prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński, były premier Mateusz Morawiecki, prof. Przemysław Czarnek, Mariusz Błaszczak, Adam Andruszkiewicz z Kancelarii Prezydenta RP oraz Antoni Macierewicz. Specjalne pozdrowienia uczestnikom przekazał prezydent RP Karol Nawrocki.

Nie był to jednak wyłącznie ciąg wystąpień znanych polityków. Formuła zjazdu pozwalała klubowiczom zadawać pytania, komentować, a później kontynuować rozmowy poza sceną. Różnice dotyczące przyszłości prawicy, które w ostatnich miesiącach stały się wyraźnie widoczne, nie zostały w Sulejowie przemilczane. Padały różne diagnozy i propozycje. Kluby „GP" nie stawiały się jednak w roli uczestnika partyjnych sporów, chciały być miejscem, w którym odmienne stanowiska można skonfrontować w bezpośredniej rozmowie.

Początek zjazdu był okazją do przedstawienia informacji dotyczących rozwoju klubowego środowiska. W samym 2026 roku powstało 15 nowych klubów „Gazety Polskiej", reaktywowano 12, a w ośmiu doszło do zmiany przewodniczących. Zainteresowanie powołaniem klubu „Gazety Polskiej" zgłosił również Polak mieszkający na Majorce.

Skalę całego środowiska przypomniał w swoim przesłaniu prezydent RP Karol Nawrocki. Zwrócił uwagę na drogę od kilkunastu środowisk działających ponad dwie dekady temu do ponad 500 klubów istniejących obecnie w Polsce i poza jej granicami. Prezydent podkreślił, że zna to środowisko od lat. Podziękował klubowiczom za ich zaangażowanie podczas kampanii prezydenckiej, w tym za zbieranie podpisów, organizowanie spotkań, rozmowy z Polakami oraz mobilizację prowadzoną w całym kraju.



Wyjątkowe spotkanie ludzi, którym sprawy ojczyzny leżą na sercu.



Prezes PiS Jarosław Kaczyński.



Dobre humory zawsze dopisują.

Pałac Prezydencki był w Sulejowie reprezentowany również bezpośrednio. Adam Andruszkiewicz z Kancelarii Prezydenta RP rozmawiał z uczestnikami o społecznym mandacie Karola Nawrockiego, relacjach prezydenta z rządem oraz inicjatywach podejmowanych przez głowę państwa. Przekonywał też, że prezydent będzie aktywnie wykorzystywał możliwości, jakie daje sprawowany urząd.

Klubów „Gazety Polskiej”







Pamiątkowe zdjęcie z red. Tomaszem Sakiewiczem.

Jednym z głównych tematów zjazdu było bezpieczeństwo. Mariusz Błaszczak, były minister obrony narodowej, mówił zarówno o potrzebie konsolidacji i silnego przywództwa na prawicy, jak i o obronności państwa. Przypominał zwiększanie liczebności polskiej armii w okresie rządów PiS, jej modernizację techniczną oraz zakupy uzbrojenia ze Stanów Zjednoczonych i Korei Południowej. Opowiedział się także za uczestnictwem Polski w programie Nuclear Sharing.

Były premier Mateusz Morawiecki koncentrował się przede wszystkim na konieczności dotarcia do tych Polaków, którzy w ostatnich latach nie byli skłonni głosować na Prawo i Sprawiedliwość. Wśród grup, do których należy docierać, wymieniał młodych ludzi, przedsiębiorców oraz samorządowców. Mówił o działalności ruchu Rozwój Plus, budowaniu programu wspólnie z przedsiębiorcami oraz przygotowywanym kongresie samorządowym. Poszerzenie elektoratu prawicy miałoby, według przedstawionej przez niego koncepcji, pozwolić na odebranie głosów obecnej koalicji. Wypowiedź byłego premiera była jednym z wyrazistych punktów pierwszego dnia i jednocześnie jednym z głosów w szerszej dyskusji, która przewijała się przez cały zjazd: jak przygotować prawicę do kolejnych wyborów i gdzie szukać poparcia potrzebnego do zwycięstwa.

Do napięć po prawej stronie sceny politycznej bezpośrednio odniósł się drugiego dnia prof. Przemysław Czarnek. Jego przekaz był jasny: politycy nie powinni skupiać uwagi opinii publicznej na własnych konfliktach, lecz na problemach, z którymi mierzą się Polacy. Mówił m.in. o swoich spotkaniach z powodzianami i rolnikami oraz o sytuacji gospodarstw. Odwołując się do wyników jednego z sondaży, przekonywał, że rozdrobnienie prawej strony sceny politycznej może w przyszłości kosztować ją znaczną liczbę mandatów poselskich. Wystąpienie zakończył hasłem, które powtórzył dwukrotnie: „Jedność PiS, pokój na prawicy. Jedność PiS, pokój na prawicy”.

FOT. ANDRZEJ PIEKARSKI



Danuta Holecka tuż przed wydaniem serwisu „Dzisiaj”.



Jednym z gości zjazdu był Mariusz Błaszczak.

Politycznym punktem kulminacyjnym drugiego dnia było spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim. Prezes PiS również postawił na temat jedności, wskazując integrację prawej strony jako jeden z podstawowych warunków przyszłego sukcesu wyborczego. Według Jarosława Kaczyńskiego utrzymywanie się podziałów może skutkować utratą kilkudziesięciu mandatów, a w konsekwencji przekreślić możliwość przejęcia władzy po następnych wyborach. Podkreślał przy tym, że stawką nie jest wyłącznie sytuacja jednej partii. – Trzeba zdecydowanie odrzucić wszelkiego rodzaju partykularne działania i wszelkiego rodzaju partykularne czy wręcz indywidualne osobiste ambicje. Trzeba to uczynić w imię interesu Polski – przekonywał.

W swoim wystąpieniu poruszył również kwestie bezpieczeństwa wyborów, niezależnych mediów, polityki europejskiej i gospodarki. Sporo uwagi poświęcił obronności. Mówił o rozbudowie polskiej armii, utworzeniu Wojsk Obrony Terytorialnej oraz programie modernizacji sił zbrojnych.

Wieczorem polityczna scena zmieniła się jednak w znacznie mniej formalne miejsce spotkania. Po zakończeniu oficjalnej części Jarosław Kaczyński oraz Przemysław Czarnek pozostali z klubowiczami podczas wspólnego grilla. Była możliwość rozmowy, robienia zdjęć i wspólnego śpiewania przy ognisku, a późnym wieczorem dla uczestników wystąpił Valdi jedna z gwiazd Sylwestra Republiki.

Program zjazdu nie ograniczał się do partyjnej polityki. Osobne miejsce zajęły kwestie dotyczące wymiaru sprawiedliwości i prawa. W panelach uczestniczyli przedstawiciele Veritas Et Ius. W Służbie Narodowi: Kamila Borszowska-Moszowska, Michał Lasota, Mariusz Moszowski i Piotr Schab; „Ad Vocem” Niezależnego Stowarzyszenia Prokuratorów oraz Prawników dla Polski: Łukasz Piebiak i Mikołaj Pawlak.

O kondycji państwa rozmawiano również podczas panelu „Polska dziś”. Uczestniczyli w nim: Dorota Arciszewska-Mielewczyk, prof. Piotr Gliński, Mariusz Gosek, Dariusz Matecki, Janusz Kowalski i Marian Kowalski. Z kolei poza oficjalnymi panelami klubowicze mieli możliwość rozmowy m.in. z posłami Andrzejem Śliwką i Anną Milczanowską. W niedzielę odbył się także panel z Antonim Macierewiczem.





Z podziękowaniami do klubowiczów zwrócił się prezydent Karol Nawrocki.



Odbył się również panel „Siła Wolnego Słowa – media, które nie boją się mówić prawdy”. W dyskusji uczestniczyli prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich dr Jolanta Hajdasz, prof. Piotr Grochmalski oraz redaktorzy: Sabina Treffler, Adrian Stankowski, Anna Zyzek, Wojciech Szymczak i Janusz Życzkowski.

Osobną częścią tego, co działo się przez trzy dni w Sulejowie, była obecność Telewizji Republika. Część jej ramówki przeniosła się na teren zjazdu, a uczestnicy stali się publicznością programów realizowanych na żywo.

Pierwszego dnia Danuta Holecka prowadziła z Sulejowa „Dzisiaj”. Jej gośćmi byli Mateusz Morawiecki i Mariusz Błaszczak. Następnie na żywo zrealizowano „Agorę” Adriana Klarenbacha. Dyskusja wywoływała żywe reakcje zgromadzonej publiczności. Później przyszedł czas na „Piachem w tryby” z red. Adrianem Klarenbachem, red. Adrianem Stankowskim oraz red. Adrianem Boreckim. Klubowicze „GP” uczestniczyli w programie „Wstajemy”. Przygotowano dla nich również specjalne spotkanie z Danutą Holecką „Dzisiaj od zaplecza”, zorganizowane po raz pierwszy właśnie w takiej formule.

FOT. ANDRZEJ PIEKARSKI



Każdy zjazd Klubów „GP” to okazja do spotkań i rozmów.



Selfie z Przemysławem Czarnkiem.

XII Nadzwyczajnego Zjazdu nie da się sprowadzić do jednego wystąpienia ani jednego politycznego hasła. W Sulejowie pojawiały się różne pomysły na przyszłość prawej strony sceny politycznej. Równolegle odbywały się dyskusje prawników, polityków i dziennikarzy. Rozmawiano o mediach, wymiarze sprawiedliwości, gospodarce, Unii Europejskiej i bezpieczeństwie.

Dwa miesiące po poprzednim zjeździe Klubów „GP” Sulejów ponownie zgromadził ludzi przyjeżdżających z różnych części Polski. I być może właśnie ta gotowość do ponownego spotkania najlepiej tłumaczy sens nadzwyczajnych zjazdów. Kluby „Gazety Polskiej” nie są partią polityczną i nie mają jej zastępować. Tworzą natomiast przestrzeń, w której aktywni obywatele mogą spotkać się ze sobą, rozmawiać z osobami uczestniczącymi w życiu publicznym, stawiać im pytania, czasem się z nimi zgadzać, a czasem polemizować. Sulejów pokazał również, że społeczeństwo obywatelskie nie powstaje wyłącznie w czasie kampanii wyborczych. Tworzą je relacje budowane wcześniej, w lokalnych środowiskach, podczas spotkań, poprzez wymianę informacji i doświadczeń oraz gotowość do zabierania głosu w sprawach publicznych.

Dlatego po wyjeździe ostatnich gości najważniejszym rezultatem tych trzech dni nie była jedna polityczna deklaracja. Były nimi setki rozmów: tych prowadzonych ze sceny, przed kamerami Republiki, wśród publiczności, w kuluarach i przy sobotnim ognisku. A później każdy z uczestników wrócił do swojego miasta i swojego klubu „GP”, w którym ta rozmowa o Polsce może być kontynuowana. **GP**

Kontakt dla osób, które chcą założyć klub „GP”

Tomasz Sakiewicz
REDAKTOR NACZELNY „GP”

Ewa Wójcik
PREZES KLUBÓW „GP”

Biuro Klubów „GP”: ul. Bracka 15, I piętro, 31-005 Kraków,
e-mail: klubygp@gazetapolska.pl, tel. (12) 422 03 08, 505 038 217, 609 447 449

STUTTHOF, PIEKŁO GORSZE NIŻ GESTAPO

„JESTEŚCIE ZBRODNIARZAMI, KTÓRZY CHCIELI SPOLONIZOWAĆ GDAŃSK”

Drugiego dnia wojny rozpętanej przez Niemców zaczął działać Obóz Jeńców Cywilnych Stutthof. W 1942 roku na polecenie Himmlera został włączony w skład systemu obozów koncentracyjnych. Działał do ostatniego dnia wojny. Przez obóz przeszło 110 tys. więźniów z 28 krajów. Około 65 tys. zostało zabitych. Ci, którzy przeżyli, najczęściej powtarzali jedno słowo: piekło.

Piotr **Dmitrowicz**

Na wiele miesięcy przed tym, jak 1 września 1939 roku Niemcy napadły na Polskę, przygotowywany był plan działań, które miały nastąpić po zajęciu II Rzeczypospolitej. Niemieckie służby specjalne sporządzały, często przy pomocy Niemców mieszkających w naszym kraju, listy proskrypcyjne, na których umieszczano nazwiska tych, którzy stanowili zagrożenie dla państwa niemieckiego, a co za tym idzie, mieli być w pierwszej kolejności wymordowani. Tak więc najczęściej owe listy obejmowały m.in. działaczy społecznych i politycznych, urzędników, lekarzy, prawników, nauczycieli i księży. Ze szczególną uwagą niemiecka machina policyjno-wojskowa podchodziła do Polaków mieszkających na terenach, które miały być wcielone bezpośrednio do Rzeszy Niemieckiej. Już na pięć lat przed wywołaniem przez Niemców wojny sporządzane były też specjalne listy Polaków mieszkających w Wolnym Mieście Gdańsku, których działalność uznano za wrogą wobec III Rzeszy. Podejrzanym zakładano kartotekę i inwigilowano ich.

„Wszystkich bym was rozstrzelał”

Stutthof w pierwszym okresie swej działalności odgrywał istotną rolę w „oczyszczeniu” Pomorza z Polaków.

Inicjatorem jego powstania miał być gauleiter Albert Forster. Miejsce wybrano naj-



www.prenumerata.swsmedia.pl



UPODLENIE

„Bicie i katowanie ofiar, udręczenie fizyczne i moralne były środkiem wychowawczym (…); było ono też rozrywką (a może i koniecznością) (…) pijanych sadystów” – wspominał więzień obozu ks. Wojciech Gajdus.

FOT. IPN

prawdopodobniej ze względu na warunki naturalne – dużo gęstych lasów i z dala od dużych skupisk ludzkich, a jednocześnie z odpowiednią komunikacją. Już w sierpniu 1939 roku na nieco ponad półhektarowej polanie w lesie stanęły wojskowe namioty, teren ogrodzono drutem kolczastym. Prace wykonali więźniowie z gdańskiego więzienia. 2 września trafili tu pierwsi polscy więźniowie, aresztowani dzień wcześniej w Wolnym Mieście Gdańsku. Łącznie pierwszego dnia wojny uwięziono około 1500 Polaków. Pierwszy transport do obozu liczył około 135–150 naszych rodaków. Byli wśród nich m.in. nauczyciele, księża, urzędnicy i działacze polityczni. Jednym słowem: inteligencja. Przemówił do nich pierwszy komendant obozu SS-Standartenführer Max Pauly, który – według wspomnień Augustyna Sikorskiego – powiedział m.in.: „W moich oczach jesteście zbrodniarzami, którzy chcieli spolonizować Gdańsk. Miasto to było i będzie niemieckie. Gdyby ode mnie zależało, to wszystkich bym was rozstrzelał. Będziecie tu poczciwie pracować – czy ktoś z was wyjdzie stąd żywy – od was samych zależy”. Jednocześnie zapowiedział więźniom, że wszelkie formy oporu będą karane, a za jednego, który spróbuje uciec, zostanie rozstrzelanych pięciu innych.

Robota była mordercza

Z pierwszej grupy uwięzionych przeżyli tylko nieliczni. Część z nich została rozstrzelana w egzekucjach, które miały miejsce w styczniu i lutym 1940 roku. Jednym z tych, którzy przetrwali to piekło, był Wacław Lewandowski. Mówił on potem, że ten początkowy najtrudniejszy etap przetrzymał tylko dlatego, że był młody, zdrowy i silny psychicznie. Słabsi, starsi czy schorowani nie mieli najmniejszych szans. W pierwszym okresie funkcjonowania obozu podstawowym elementem eksterminacji Polaków była mordercza praca. „Karczowaliśmy las, obcinaliśmy gałęzie, zaczęliśmy robić wykopy na postawienie baraków na terenie tak zwanego Starego Obozu. W międzyczasie nadchodziły nowe transporty więźniów. Robota była mordercza, trwała od świtu do zmroku, zawsze pod strażą, zawsze pod lufami karabinów. Jedzenie było bardzo mizerne, niewystarczające, niskokaloryczne.

40- i 50-letni mężczyźni nie wytrzymywali tempa, padali. To powodowało bicie, kopanie i zaczęły się pierwsze wypadki śmierci na skutek zabijania i wyczerpania z głodu i pracy" – wspominał. Do połowy września do obozu trafiło około 6 tys. więźniów. Dramatycznie wyglądała zima z 1939 na 1940 rok. Potworny mróz i niedożywienie oraz ciągła ciężka praca przy rozbudowie obozu zbierały śmiertelne żniwo.

Rozbudowa machiny śmierci

W listopadzie 1941 roku do Stutthofu przybył z wizytą Heinrich Himmler. To właśnie wtedy zapadła decyzja o rozbudowie obozu i włączeniu go w system niemieckich koncentracyjnych fabryk śmierci. W latach 1942–1943 powstał tzw. Nowy Obóz, który miał docelowo pomieścić 10 tys. więźniów. Zbudowano komorę gazową i krematorium, a obszar, który na początku wynosił pół hektara, rozrósł się do 120 hektarów. Zaczęli tu trafiać także Polacy z Generalnego Gubernatorstwa, Żydzi i mieszkańcy innych okupowanych przez Niemców państw Europy. W 1944 roku powstała ogromna sieć podobozów Stutthofu. Rozbudowa nie wpłynęła na zmianę warunków życia więźniów. Pracowali najczęściej po 10 godzin dziennie przez cały tydzień. „Bicie i katowanie ofiar, udręczenie fizyczne i moralne były środkiem wychowawczym, zmierzającym do wytworzenia wiecznie drżącego i przygarbiającego się na widok »władzy« niewolnika; było ono też rozrywką (a może i koniecznością) (…) pijanych sadystów, którym dręczenie ofiar było potrzebne, jak nałogowemu palaczowi papierosy" – wspominał więzień obozu ksiądz Wojciech Gajdus.

Więzień musiał umrzeć

Mimo że od 1942 roku więźniowie mogli otrzymywać paczki żywnościowe, to nie zmieniło to ich sytuacji. Przeciętna dzienna porcja żywności, jeśli to w ogóle można nazwać jedzeniem, wynosiła około tysiąca kalorii. Tadeusz Ludwik Płużański, późniejszy współpracownik rotmistrza Witolda Pileckiego, który trafił do Stutthofu w 1940 roku i przetrwał do końca istnienia obozu, w swojej wstrząsającej książce „Z otchłani" pisał: „Ale żeby przetrzymać, trzeba pokonać największego wroga – głód (…). Obozowa norma żywnościowa wystarcza przy ciężkiej pracy na przeżycie zaledwie paru tygodni, a najdłużej trzech miesięcy. Po tym czasie więzień »musiał« umrzeć, a jeśli tego nie czyni, to znaczy, że coś kombinuje, że kradnie albo dostaje pomoc z zewnątrz. Wszystko to jest przestępstwem (…). Zaplanowany mechanizm jest prosty, znikome racje żywnościowe, jak najcięższa praca, pozorowana pomoc lekarska, kary fizyczne, nieustanny nacisk na więźniów przez najcięższy z możliwych rygor i terror".

5 tysięcy nieletnich

Do KL Stutthof Niemcy wywieźli ponad 3100 więźniów obozu w Pruszkowie, wśród nich byli powstańcy warszawscy, a także dzieci. Taki los spotkał dziesięcioletniego Janka Brodzińskiego i jego brata Antoniego. W swojej relacji złożonej dla Muzeum Dulag 121 wspominał: „Widok drutów kolczastych, wieżyczek strażniczych, w oddali ujadających psów i krzyków sprawił, że ogarnął mnie strach. Płakałem, długo nie mogłem się uspokoić. (…) Rano rozpoczęła się procedura przyjęcia do obozu. (…) stanąłem przed stołem do rejestracji. (…) Nie chcieli mnie zarejestrować, bo nie należałem do ludzi z transportu. Po jakimś czasie, po konsultacji, dano mi ostatecznie numer. Zostałem więźniem o numerze 93 792 z czerwonym winklem. (…) Kiedyś, po latach, w dorosłym życiu myślałem, co by się stało, gdybym numeru nie otrzymał. Zapewne musiałbym zginąć, jak inni, którzy z transportu bezpośrednio szli do komory gazowej". Szacuje się, że do obozu Stutthof trafiło łącznie około 5 tys. nieletnich.

Marsze śmierci

W styczniu 1945 roku, kiedy wojska sowieckie zaczęły się niebezpiecznie zbliżać do obozu, Niemcy zarządzili ewakuację. Odpowiedni rozkaz dla KL Stutthof i wszystkich podobozów wydał komendant Paul Werner Hoppe. Więźniom na drogę wydano 500 gramów chleba i trochę margaryny. Większość zjadła to jeszcze przed wymarszem, który rozpoczął się 25 stycznia. W tym czasie na terenie obozu dochodziło do dantejskich scen, które tak wspominał w swoich zeznaniach powojennych włoski konsul Aldo Coradello, więziony w KL Stutthof: „Trupy leżały dookoła baraków całymi tygodniami. Ciemniały i zatruwały powietrze, a co dzień przybywały nowe. Piece w krematorium były przeciążone. Kommando (…) zaczęło wielką ciężarówką wywozić trupy z obozu na wielki plac poza drutami. Tam ułożono ogromny stos zwłok na przemian z drzewem, następnie polewano łatwopalnymi materiałami i w ten sposób spalono jednorazowo w szybkim tempie około tysiąca trupów. W styczniu stos płonął prawie co trzecią noc". Tymczasem ruszyła ewakuacja łącznie około 11 tys. więźniów KL Stutthof i więźniów podobozów, razem około 33 tys. osób. Według szacunków Muzeum Stutthof w Sztutowie około 17 tys. poniosło śmierć. Oddajmy głos świadkom. Jan Jarzębowski: „Kilometr przed nami maszerowała jakaś kolumna. Widać ją było dokładnie, ponieważ teren był falisty. Widzieliśmy jej końcówkę z trudem podchodzącą pod górę i padające sylwetki tuż po wystrzałach. Po kilku minutach mijaliśmy te świeże trupy. (…) Przed nami musiały iść jeszcze inne kolumny, ponieważ spotykaliśmy i starsze trupy".

Co z nas zostało?

Z kolei Janina Kozłowska zeznawała po wojnie: „Na moich oczach rozstrzelano moją koleżankę za to, że osłabła i nie mogła iść dalej. Z naszej kolumny liczącej 1300 kobiet rozstrzelano w drodze ponad 300 kobiet". W KL Stutthof pozostało 12 tys. więźniów. Do kwietnia 1945 roku przeżyło około 4,5 tys., kiedy to zostali ewakuowani drogą morską. Rano 9 maja 1945 roku żołnierze sowieccy dotarli do KL Stutthof. Na terenie obozu było wtedy około 140 więźniów. Cytowany już Tadeusz Płużański we wstępie do swojej książki opisującej niemieckie, a później komunistyczne piekło pisał: „Przeznaczam ją szukającym w sobie i w innych odpowiedzi na pytania o wartości, które być może uszły kataklizmowi wojny, a których potrzebę odczuwamy także dziś. Wolność – ale jaka, za jaką cenę? Godność – lecz czy ona się ostała w męczarniach śledztwa, w dymach krematoriów? Miłość – ale ona, jak wiadomo, »niejedno ma imię«. Przyjaźń – lecz jak ją w skrajnych przypadkach zachować? Uczciwość wreszcie – wobec siebie, ludzi i Boga". GP

FELIETON

{ OKIEM KAPELANA / NA PATRIOTYCZNYM SZLAKU }



ks. Jarosław **Wąsowicz** SDB

PODSUMOWANIE LATA

Ostatni tydzień sierpnia obfitował w wiele ważnych wydarzeń – okazji do spotkań polskich patriotów. W wielu z nich brałem udział, i to był dobry czas.

27 sierpnia w Swarożynie na Pomorzu rozpoczęliśmy uroczystości upamiętniające 80. rocznicę śmierci Danuty Siedzikówny „Inki" i Feliksa Selmanowicza „Zagończyka". W kościele parafialnym pw. św. Andrzeja Boboli zgromadzili się ludzie od lat związani z upamiętnianiem naszych bohaterów, w tym Piotr Szubarczyk, który ćwierć wieku temu napisał pierwszy artykuł o „Ince", rozpoczynając proces przywracania jej historii do zbiorowej pamięci. Była też obecna najbliższa rodzina Danusi. Msza stanowiła preludium wspaniałych uroczystości, które odbyły się następnego dnia w Gdańsku w rocznicę egzekucji żołnierzy 5. Wileńskiej Brygady AK, dokonanej w więzieniu przy ul. Kurkowej w Gdańsku w 1946 roku. Wielkie brawa należą się gdańskiemu oddziałowi IPN, który przygotował je z rozmachem i potrafił zaciekawić nimi młodzież. Do Gdańska zjechali się harcerze i harcerki z drużyn, które za patronkę obrały sobie sanitariuszkę od „Łupaszki", uczniowie szkół imienia Siedzikówny, przedstawiciele różnych stowarzyszeń na co dzień działających na rzecz upamiętnienia Żołnierzy Wyklętych, kibice Lechii, Bałtyku i Zawiszy Bydgoszcz. Po mszy świętej w Bazylice Mariackiej, podczas której została poświęcona pamiątkowa tablica, odbył się przemarsz na Cmentarz Garnizonowy, gdzie uroczystości się zakończyły. Trudno o lepsze upamiętnienia także 10. rocznicy uroczystego pochówku doczesnych szczątków naszych bohaterów, na które zjechała się wówczas cała patriotyczna Polska. Warto przypomnieć, że z ramienia IPN organizował te uroczystości obecny prezydent RP Karol Nawrocki.

Kolejne dni to spotkanie Przyszłość.pl w Juracie, gdzie prezydent zaprosił do swojej rezydencji aż 800 młodych ludzi, w tym 50-osobową grupę młodzieży na co dzień mieszkającą poza Polską. Niezwykły czas ważnych dyskusji, spotkań, a także zabawy, koncertów. W niedzielę wszyscy spotkaliśmy się na mszy świętej w intencji ojczyzny. Głównym punktem programu była sobotnia sesja Q&A z udziałem prezydenta Karola Nawrockiego. Poruszono tematy dotyczące m.in.: polityki międzynarodowej, rozwoju sztucznej inteligencji, wpływu mediów społecznościowych na wychowanie dzieci i młodzieży oraz recepty na sukces w polityce. Wydarzenie przejdzie do historii, bowiem rezydencja w Juracie po raz pierwszy w historii została udostępniona młodym ludziom. W lipcu prezydent udostępnił także rezydencję w Wiśle na wakacje dla polskich dzieci z Litwy, które miałem zaszczyt organizować. Co jednak najważniejsze, głowa państwa zapowiedziała, że projekt Przyszłość.pl będzie kontynuowany i za rok znowu spotka się z młodymi ludźmi. Zapewnił, że dokąd będzie prezydentem, będzie słuchał młodzieży przy podejmowaniu decyzji. To ważna deklaracja, która jest konsekwentnie wcielana w życie. Dość wspomnieć niezwykle aktywną działalność Rady Młodzieżowej przy Prezydencie RP, także wiele wydarzeń dla młodych organizowanych przez prezydencką kancelarię.

31 sierpnia upłynął na świętowaniu jednego z najważniejszych wydarzeń w naszej historii, jakim było podpisanie porozumień społecznych w 1980 roku i powstanie NSZZ „Solidarność". Dla mnie jest to zawsze wyjątkowy czas i uczestniczę w obchodach regularnie od dziecka. Solidarność to najpiękniejsza sprawa, jaka się wydarzyła dla mojego pokolenia, i wciąż ważny punkt odniesienia. Pobyt prezydenta Karola Nawrockiego w rodzinnym mieście zakończył się mocnym przemówieniem na Westerplatte w rocznicę wybuchu wojny. Prezydent nie tylko przypomniał, wydawać by się mogło, powszechnie znane fakty o wydarzeniach z 1 września 1939 roku i upomniał się o reparacje od Niemców, lecz także trafnie zauważył: „Prawda, której nie zna albo nie chce poznać Europa; prawda, która nie dociera za Atlantyk; prawda, z którą wielki problem niestety mają także rządzący. A musimy wszyscy powtarzać i uzmysłowić sobie, że to boli, ale jest potrzebne – że Niemcy nie potrzebowali Adolfa Hitlera, by gardzić Polską, Polkami, Polakami i polskością". Warto to zapamiętać.

> To był dobry czas ładowania akumulatorów. Przed nami nowe wyzwania i kolejne projekty. Do zobaczenia na patriotycznym szlaku.

To był dobry czas ładowania akumulatorów. Przed nami nowe wyzwania i kolejne projekty. Do zobaczenia na patriotycznym szlaku. **GP**

RZYM UPADŁ, LECZ ŻYJE RZYM

KONIEC CESARSTWA ZACHODNIORZYMSKIEGO W 476 ROKU

Pod koniec lat 20. VI wieku Marcellinus, komes i patrycjusz na dworze cesarza bizantyńskiego Justyniana, wstąpił do klasztoru. Tam poświęcił się pisaniu kroniki będącej kontynuacją „Dziejów rzymskich". Pod rokiem 476 (wedle naszej rachuby lat) odnotował, że niejaki Odoaker, pół-Hun, pół-Got w służbie rzymskiej, wkroczył do Rawenny i pozbawił tronu szesnastoletniego cesarza Romulusa, zwanego Auguściątkiem (Augustulus). „Z owym Augustulusem przepadło zachodnie imperium narodu rzymskiego, którym pierwszy August, Oktawian, zaczął rządzić w 709 roku od założenia miasta".



FOT. ARCH.

Tomasz **Panfil**

W 1961 roku Edward Lorenz z Massachusetts Institute of Technology pracował nad modelem prognozowania pogody. Chcąc uprościć obliczenia, w jednej z kilkunastu zmiennych pominął cyfry stojące po czwartym miejscu po przecinku. Okazało się, że jedna dziesięciotysięczna spowodowała diametralną zmianę wyniku prognozy. Tak powstała teoria chaosu ukazująca nieprzewidywalny potencjał zmian, jakie może spowodować w przyszłości jedna drobna zmiana. Teorię swoją Lorenz ujął w metaforycznym pytaniu: „Czy trzepot skrzydeł motyla w Brazylii powoduje tornado w Teksasie?”. Upadek zachodniego cesarstwa rzymskiego może być świetną ilustracją „efektu motyla”, bowiem jego odległą przyczyną było to, że pewien lud zamieszkujący zachodnie wybrzeże jeziora Juttern, zwane Västergötland, niedługo po narodzeniu Chrystusa postanowił opuścić swe chłodne oraz nieurodzajne siedziby i poszukać lepszego miejsca do życia.

Długa podróż Gotów

Wedle piszącego w VI wieku historyka Jordanesa – który sam był najprawdopodobniej Gotem – migrujący ze Skandynawii Goci, na których czele stał król Berig, osiedlili się w Gothiskandzy, krainie na południowym wybrzeżu Bałtyku. Historycy starożytni (Tacyt i Ptolemeusz) lokowali Gothiskandzę u ujścia Wisły, profesor Tymieniecki sądził jednak, że Goci – a później ich krewniacy Gepidzi – wylądowali gdzieś u ujścia Łaby. Gerard Labuda – a za nim Jerzy Strzelczyk – sugerował, że Gothiskandza leżała u ujścia Odry i dopiero stamtąd Goci przesuwali się na południowy wschód, na teren dzisiejszych Kaszub, tworząc kulturę wielbarską.

Słowa „przesuwali się” czy „migrowali” mogą być mylące. Wprawdzie źródła pisane dostarczają bardzo niewielu informacji o ludach zamieszkujących ziemie polskie na początku naszej ery, ale liczne artefakty badane przez archeologię upewniają nas, że żyły tu rozmaite plemiona, niektóre zupełnie tajemnicze. W Maszkowicach, na dominującym nad doliną Dunajca wzniesieniu zwanym Górą Zyndrama, dopiero w połowie XX wieku odnaleziono pozostałości kamiennego grodu zbudowanego przez lud należący do kultury egejskiej. Wymagająca zaawansowanych technologii i logistyki budowa zamku rozpoczęła się około 1750 lat przed Chrystusem. W tym samym czasie budowano wielkie pałace w Knossos i Fajstos na Krecie, Babilonem rządził Hammurabi, a Abraham opuszczał mezopotamskie Ur.

A zatem: chociaż Goci zasiedlali przeważnie pustki i potrafili ułożyć sobie współżycie z miejscowymi, to jednak zbrojnie wyparli z nadbałtyckich ziem germańskie plemiona Wandalów i Rugiów. Te z kolei, przesuwając się na południe, popchnęły Markomanów i Kwadów mieszkających w dzisiejszych Czechach. Efektem tego ruchu skrzydeł motyla były najazd Markomanów na Cesarstwo Rzymskie za panowania Marka Aureliusza i wieloletnie wojny markomańskie. Upalnym latem 172 roku cesarz na czele armii dotarł aż na Słowację. Wyczerpani Rzymianie, pozbawieni zapasów wody, zostali otoczeni przez Kwadów. Jak pisze Kasjusz Dion: „(…) nagle niebo zaciągnęło się chmurami i, nie bez interwencji bogów, spadła na nich potężna ulewa”. Pioruny uderzały w zastępy Kwadów, legioniści walczyli i zwyciężyli. Bitwa ta zwana „cudem deszczu” natchnęła Ridleya Scotta do nakręcenia sceny bitwy otwierającej „Gladiatora”, gdzie w roli zbawcy wystąpił nie bóg burzy, lecz Russell Crowe.

W tym mniej więcej czasie Goci ruszyli na południowy wschód. O poziomie ich ówczesnej kultury świadczy największe na polskich ziemiach grodzisko w Masłomęczu koło Hrubieszowa, z dwoma cmentarzyskami z pochówkami birytualnymi: ciałopalnymi i inhumowanymi obok. Ceramika świadczy o użyciu koła garncarskiego, goccy mieszkańcy Masłomęcza znali też zaawansowane techniki metalurgiczne. Ta kultura gocka zwana jest czerniachowską. W trakcie migracji Goci podzielili się na dwa odłamy: Ostrogotów, czyli Greutungów (Gotów stepowych) nad dolnym Dunajem i Morzem Czarnym, oraz Wizygotów, czyli Terwingów (Gotów leśnych), którzy osiedlali się w pobliżu

bałkańskich granic imperium i z czasem przenikali przez nie do Recji, Tracji i dalej do Italii.

Kryzys trzeciego wieku

Po śmierci cesarza Aleksandra Sewera (235 rok) imperium pogrążyło się w chaosie. W ciągu następnych 50 lat aż 51 żądnych władzy mężczyzn – głównie wojskowych – posługiwało się – prawnie i bezprawnie – tytułem cesarskim. Przemiany ekonomiczne i społeczne zachodzące w Imperium Romanum w III wieku po Chrystusie miały niekorzystny wpływ na rzymską armię. Coraz większy odsetek w niej stanowili barbarzyńcy osiedlający się w granicach państwa. Państwo znalazło się w kleszczach: w Mezopotamii rozgorzała wojna z Persją Sasanidów i to ona angażowała główne siły Rzymu. Wykorzystując sytuację, plemiona germańskie atakowały granice europejskie imperium – Alamanowie, Swebowie, Wandalowie, Burgundowie oraz Goci wspierani przez dackich Karpów (od nich Karpaty), a także irańscy Sarmaci. To z rąk gockich wojowników zginął w 251 roku cesarz Decjusz, pierwszy cezar poległy w boju. Niespełna 10 lat później do perskiej niewoli dostał się cesarz Walerian I. Kryzys udało się zażegnać cesarzowi Dioklecjanowi, który zreformował rządy nad państwem, dzieląc je na część wschodnią, którą rządził osobiście, i zachodnią, gdzie władzę powierzył Maksymianowi. To właśnie cezar Maksymian w 285 roku przeniósł stolicę z Rzymu do Mediolanu, skąd bliżej było do granic atakowanych przez zachodnie plemiona Germanów.

Widomym świadectwem kryzysu Rzymu (oprócz śmierci dwóch cesarzy) była utrata położonej na wschodnim brzegu Dunaju prowincji Dacji.

Kłopotliwi sprzymierzeńcy

Słabnący Rzym nie był w stanie zbrojnie odpierać wielkich grup barbarzyńców pragnących w ten czy inny sposób korzystać z bogactw imperium. Skutecznym – do czasu – sposobem było wpuszczanie wielotysięcznych grup wędrujących z rodzinami i całym dobytkiem, osiedlanie ich na ziemiach przygranicznych – z nadzieją na ich latynizację – i powierzanie im zadania ochrony granic przed następnymi falami migrantów. Sprzymierzeńcy tacy (łac. foederati) bywali mocno niepewnymi sojusznikami: zdarzało się, że Goci wpuszczali swych „dzikich" pobratymców, razem łupili wsie i miasteczka, a następnie domagali się większych sum pieniędzy na ochronę. System pozostawał w niepewnej wprawdzie, ale jednak równowadze, do czasu, aż na horyzoncie pojawili się idący na zachód od Morza Azowskiego koczowniczy Hunowie.

Bicz Boży i upadek Zachodu

Około 375 roku Hunowie zaatakowali i rozbili Ostrogotów. Niedobitki próbowały dołączyć do Wizygotów dowodzonych przez Atanaryka, lecz Hunowie pokonali również Terwingów. Reszta Wizygotów – a było ich około 100 tys. – uzyskała pozwolenia na osiedlenie się w Tracji. Rychło jednak lokalni dowódcy i politycy rzymscy doprowadzili do zerwania sojuszu, co skończyło się wojną i klęską Rzymian w bitwie pod Adrianopolem w roku 378. Polegli w niej cesarz Walens wraz z synem.

Kolejne lata to nieustanne wojny w zmiennych konfiguracjach: Rzymianie sprzymierzali się to z Hunami przeciwko Wizygotom i innym plemionom germańskim, to z Germanami przeciwko Hunom. Barbarzyńskie kontyngenty wspierały pretendentów do władzy bądź ich obalały. W 455 roku Wandalowie przez dwa tygodnie pustoszyli Rzym – stolica zachodniej części imperium od 402 roku była już w małej, łatwej do obrony Rawennie. Od 457 roku właściwym władcą Zachodu był gocki dowódca rzymskiego – nominalnie – wojska Rycymer, noszący tytuł patrycjusza. To z jego woli cezarami zostali kolejno: Awitus, Majorian, Libiusz Sewer i Antemiusz.

Po śmierci Rycymera i Antemiusza w 472 roku po cesarską purpurę sięgnął Gliceriusz, a po nim, popierany przez cesarza Leona z Konstantynopola, Juliusz Nepos, dowódca wojsk zachodniorzymskich. Nepos mianował głównodowodzącym Orestesa, niegdyś notariusza Attyli. Orestes jednak zbuntował się, zajął Rawennę i osadził na tronie swego syna Romulusa. Gdy odmówił swym gockim żołnierzom obiecanych nadań ziemi, ci zbuntowali się pod wodzą Odoakra. Rozstrzygnięcie przyszło 28 sierpnia 476 roku w bitwie pod Piacenzą.

Do Rawenny Odoaker wkroczył 4 września, uznając się za króla Italii. Wysłał poselstwo do Konstantynopola. Posłowie zawieźli cesarzowi Zenonowi insygnia cesarskie i wiadomość od Odoakra, że jeden cesarz w imperium wystarczy.

Rzym wiecznie żywy

Rzym jednak nie zginął. Rzym bowiem, po wielu wiekach bycia centrum świata, sercem kultury i cywilizacji, przestał być li tylko miastem. O istocie Rzymu nie stanowiły kompleksy imponujących budynków państwowych, wspaniałe świątynie, piękne wille patrycjuszy, amfiteatry i akwedukty. Rzym w piątym stuleciu był symbolem i upostaciowaną ideą. A jak pisała Mary Midgley, „idee znajdują ucieleśnienie w mitach i wyobrażeniach, w obrazach, ideologiach, półprawdach, w nadziejach i niepokojach, we wstydzie, dumie i próżności". Wystarczy nawet pobieżnie rozejrzeć się w toposach naszej kultury, by dostrzec, że Rzym wciąż trwa, wciąż rzuca cień z przeszłości w teraźniejszość i przyszłość. Mowa Rzymian, łacina, obecna jest nie tylko w językach romańskich – tysiące słów łacińskiego pochodzenia występują we wszystkich językach kultury śródziemnomorskiej. Łacina rozbrzmiewa każdego dnia, a każdej niedzieli szczególnie uroczyście podczas mszy świętych odprawianych w rycie wieczystym. Studenci prawa na pierwszym roku mają prawo rzymskie i ujęte w łacińskich formułach kamienie węgielne współczesnych systemów prawnych. Współczesny, stworzony przez Linneusza, system nazewnictwa organizmów żywych oparty jest na łacinie – dzięki czemu jest zrozumiały na całym świecie. Przykłady można by mnożyć, ale i tych wystarczy, by stwierdzić, że Roma victa – Rzym żyje. Rzym wciąż, mimo upływu 2778 lat od jego założenia, jest ideą ucieleśnioną i obecną. GP



Jan
Przemyłski

ZAGINIONE MIASTO NA SYNAJU

PONAD 3 TYS. LAT HISTORII ZAKOPANE POD PIASKIEM PUSTYNI

Tegoroczny sezon prac archeologicznych na stanowisku Tell Abu Saifi, w północnej części półwyspu Synaj, przyniósł przełomowe odkrycia. Dotychczas sądzono, iż znajdują się tu pozostałości po osadzie rzymskiej, jednak zespół ekspertów, odsłaniając kolejne warstwy, natrafił na struktury sprzed ponad 3 tys. lat. Część z nich wskazuje, iż być może wreszcie odnaleziono słynne miasto Mesen, które było „wschodnią bramą" starożytnego Egiptu.

Trudno określić datę założenia starożytnego miasta Mesen, jednak źródła historyczne wskazują, że istniało ono już w okresie Nowego Państwa, czyli między XVI a XI wiekiem p.n.e. Leżało na słynnej Drodze Horusa, czyli kluczowym starożytnym szlaku komunikacyjnym, handlowym i militarnym, łączącym Deltę Nilu z Północnym Synajem i Kanaanem. Dziś jej przebieg można w uproszczeniu porównać z trasą pomiędzy rejonem wschodniej Delty Nilu a Palestyną i dalej Izraelem. Mesen, oprócz ważnej roli administracyjnej, pełniło m.in. funkcję potężnej wschodniej bramy Egiptu, chroniącej państwo przed najazdami oraz służącej za punkt wypadowy dla kampanii wojennych. W tekstach sakralnych miasto miało status niemal świętego, gdyż za jego gospodarza uważano Horusa. Po upadku Nowego Państwa metropolia z czasem zaczęła zanikać w tekstach, a jej lokalizacja została zapomniana. Przez ostatnie dekady archeolodzy usilnie starali się odnaleźć jakiekolwiek ślady mogące naprowadzić na trop Mesen, jednak bezskutecznie. Właśnie nastąpił przełom. Państwowa Służba Informacyjna podała, że zespół badaczy pracujący na stanowisku Tell Abu Saifi w północnej części półwyspu Synaj odnalazł dowody mocno wskazujące, iż to właśnie tu znajdowało się Mesen. Co prawda wykopaliska w tym miejscu prowadzone są od dekad, ale dotychczas sądzono, iż są to pozostałości po rzymskiej osadzie. W ubiegłym roku o stanowisku zrobiło się głośno, gdy odkryto, jak w rzeczywistości jest okazałe – odsłonięto m.in. pozostałości po fortyfikacjach, pomieszczenia mieszkalne dla żołnierzy czy potężne piece do wypalania wapienia. Jednak prawdziwą sensację przyniosły tegoroczne prace archeologiczne. Jak oficjalnie poinformowały egipskie władze, pod strukturami rzymskimi natrafiono na warstwy znacznie starsze, z czasów Nowego Państwa. Odkryto także pęknięte duże piaskowcowe nadproże z inskrypcjami słynnego faraona Ramzesa II (XIII w. p.n.e.), a najważniejszy ich fragment mówi o renowacji posągu Horusa „Pana miasta Mesen". Ponadto ujawniono ruiny świątyni Horusa, fragmenty figur sokoła, czyli symbolu Horusa, kolejne kamienne drogi, wielki mur z cegły mułowej, a także fragmenty innych monumentów.

Kolejny sezon prac archeologicznych w Tell Abu Saifi zaplanowano na wiosnę 2027 roku.

Efekty dotychczasowych działań archeologicznych nie tylko wskazują, gdzie miasto najprawdopodobniej się znajdowało, lecz także odsłaniają jego historię, która sugeruje, że po upadku Nowego Państwa Mesen przechodziło pod panowanie m.in. greckie, a później rzymskie. **GP**

FOT. YOUTUBE



MASZYNISTA PIJANICA igrał losem przesiedleńców

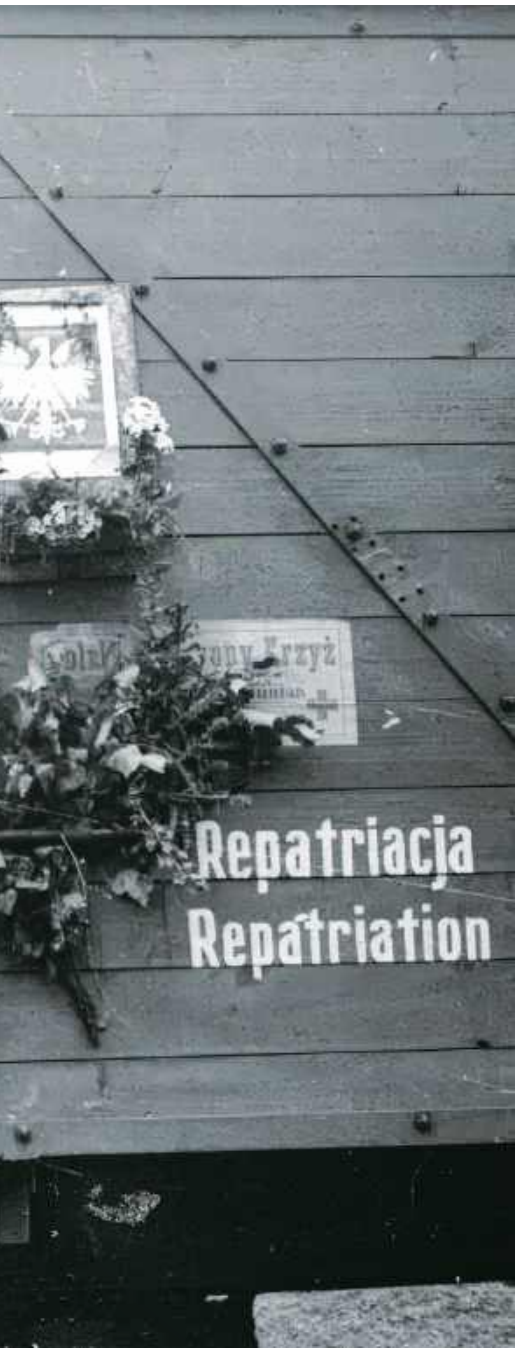
Z KRESÓW NA ZIEMIE ODZYSKANE

Co pozostanie z przeszłości, jeśli będzie ona wyprana z pamięci, z bezpośrednich relacji, z żywych emocji, które wspomnieniom nadają rumieniec życia i rys autentyczności?

Emil **Tańczak**

W pierwszej fazie snu (dwie-trzy godziny) na ogół się śpi „snem sprawiedliwego”, więc pukania do drzwi nie słyszeliśmy. O drugiej w nocy obudził nas straszny rumor w domu babci i dziadka w Kozowie (w województwie tarnopolskim). Drzwi „otworzyli” sobie sowieccy żołdacy kolbami karabinów i kopniakami z taką brutalnością, że moja przerażona rodzina wyskoczyła na równe nogi ze swoich „barłogów”. Było dokładnie pięć minut po drugiej w nocy – co wskazywał stojący w rogu izby zegar z ogromnym wahadłem i pokaźnymi ciężarkami wiszącymi na łańcuchach, napędzającymi mechanizm tego czasomierza. Ten „dostojny”

FOT. NAC



zegar – przedmiot zazdrości sąsiadów – był prezentem od mojego zamożnego ojca, ofiarowanym babci i dziadkowi z wdzięczności za „udaną żonę” – jak żartobliwie mawiał tata (zięć dziadków).

Do chaty weszło trzech „wojennych”; jeden błyszczał gwiazdkami – z pewnością był oficerem – a dwóch szeregowych, bowiem pagony mieli puste. Oficer oprócz gwiazdek na pagonach wyróżniał się także „zeszmalcowaną” raportówką w kolorze brudnobrązowym, przewieszoną przez ramię, i krótką bronią w kaburze. Zaś szeregowcy, wyprostowani przed dowódcą jak struny w bandurze („bandura” – to popularna na Ukrainie odmiana wielostrunowej lutni, podobnej do mandoliny), uzbrojeni byli w długie karabiny z bagnetami na końcu lufy.

Wywózka

Kiedy wojskowi byli już w środku izby, w której przerażona rodzina skupiła się – jak stado spłoszonych kur – w komplecie (oprócz ojca, który parę dni wcześniej został aresztowany przez NKWD z powodu sąsiada donosiciela), wtedy – chóralnie i szyderczo – powitali nas słowami: „Dobryj weczer, czy można wejty?”. „Kultura najwyższych lotów” – łobuzy wywalili drzwi i jeszcze ta swołocz spytała „grzecznie”, czy można wejść. Jeden z szeregowców był Ukraińcem, a drugi Rosjaninem (mowa ich identyfikowała). Dali nam niespełna trzy godziny na przygotowanie się do podróży, z poleceniem oficera nieznoszącym sprzeciwu (w języku rosyjskim): „O piątej godzinie macie być na stacji kolejowej – pojedziecie na zachód”. Nasze gorączkowe, pełne niepokoju pytania pozostały bez odpowiedzi. „Nelzja pytaty!” (nie trzeba pytać) – powiedział oficer, po czym panowie wojskowi wyszli.

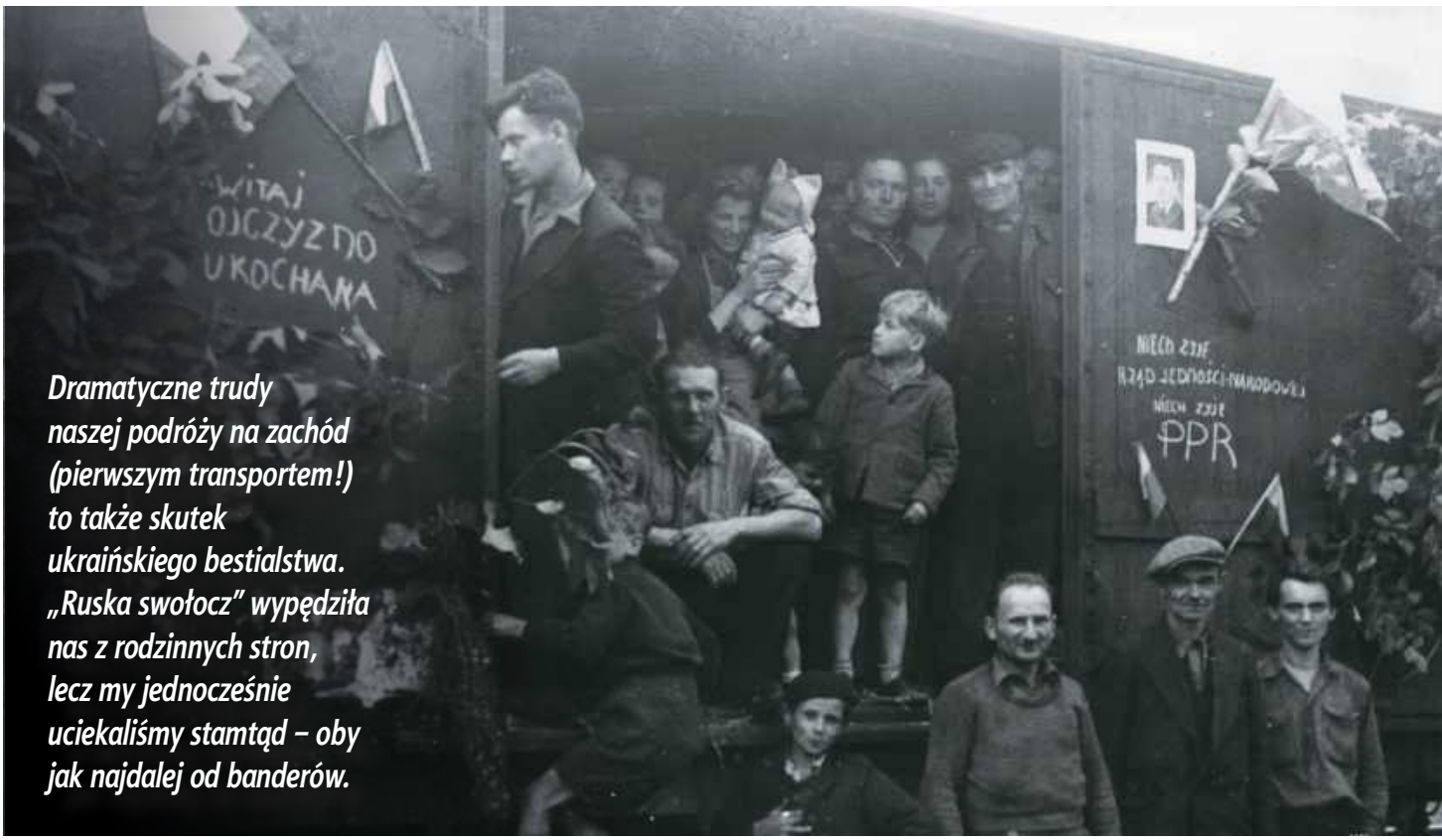
Na podwórzu naszej posesji kręcili się żołnierze w mundurach Armii Radzieckiej i kilku cywilów Ukraińców (zaprzyjaźnionych z sowieckimi „sałdatami” – to było widać i czuć). Obok nich czekały w pogotowiu trzy furmanki chłopskie (puste), każda zaprzężona w dwa konie, oraz wojskowy samochód ciężarowy.

Pozwolono nam zabrać z naszych zasobów tylko tyle, ile daliśmy radę udźwignąć, a do stacji kolejowej było około kilometra. Nerwowość i pośpiech wprowadzany przez wojskowych pewnie były po to, byśmy mogli jak najmniej skorzystać z naszego dobytku. Na resztę czekała czereda z podwórka gotowa do grabieży.

Był to poniedziałek, drugi dzień kwietnia 1945 roku. Załadowano nas (kilkaset osób) na lory, to jest wagony bez ścian i dachu, służące do przewozu czołgów i ciężkiego sprzętu wojennego. Ruszyliśmy w kierunku Lwowa, a tam – obok Kościoła św. Elżbiety – mieliśmy drugi dom pełen dobytku. Po dwóch godzinach ślimaczej jazdy zmarzliśmy na kość (kwiecień powitał nas dużymi chłodami), więc na kolejnym przystanku ludzie z naszego transportu zbuntowali się i mimo gróźb wojskowej ochrony odmówili dalszej podróży. Doszło do awantury i to do tego stopnia, że ochrona sowiecka repetowała broń, strasząc nas, że jej użyje. Ostatecznie późnym wieczorem podstawiono nam skład kolejowy z wagonami bydlęcymi, w których po kątach walały się łajna końskie i czuć było zaschnięte na podłodze plamy mleka, świadczące o tym, że tymi wagonami wożono także dojne krowy. Ważne jednak, że wreszcie była zasłona od lodowatego wiatru i że był dach nad głową. Po tej zmianie nawet smród, który towarzyszył nam przez wiele dni podróży, prawie nam nie przeszkadzał. Najgorsze okazały się ubytki w podłogach wagonów – jak się coś poturlało i trafiło na otwór w podłodze, to przepadło na wieki, więc zatykaliśmy dziury, czym się tylko dało. My, dzieciarnia, dobrze znosiliśmy trudy podróży (poza przypadkami chorób i przeziębień); dzieci nawet cieszyły się przygodą „podróży w nieznane”, beztrosko – jak to dzieci – postrzegając świat. Dorosłych, odpowiedzialnych za los rodziny, zgryzota jednak dobijała.

Pan i władca, czyli maszynista

Maszynista – to historia na odrębne opowiadanie. Po przejechaniu kilkunastu czy kilkudziesięciu kilometrów (każdego dnia było inaczej) maszynista zatrzymywał pociąg tam, gdzie dyktował mu jego kaprys. Następnie dokonywał rewizji kół wagonów, idąc wzdłuż torów, i młotkiem (na długim trzonku) uderzał w koła; wtedy nie wiedziałem, po co to robił. Po zakończonej rewizji wracał do lokomotywy i teatralnie rozkładając ręce oraz wodząc bezradnym wzrokiem po ludziach, mawiał: „Dalsze nie pajediem – maszyna sportiłaś” (nie pojedziemy dalej – popsuła się lokomotywa). Negocjacje z maszynistą nie skutkowały, za to pomysłowość Polaków okazała się skuteczna.



Dramatyczne trudy naszej podróży na zachód (pierwszym transportem!) to także skutek ukraińskiego bestialstwa. „Ruska swołocz" wypędziła nas z rodzinnych stron, lecz my jednocześnie uciekaliśmy stamtąd – oby jak najdalej od banderów.

Kiedy po zmarnowaniu całego dnia przez postój kilku naszych seniorów wyczuło tegoż jegomościa, to jazda ruszyła. Argumentem okazały się samogon i wędzona słonina, w co nasi ludzie zaopatrzyli się przed podróżą, bowiem już kilka tygodni przed nocną wizytą wojskowych, wypędzających nas z rodzinnych stron w podróż w nieznane, chodziły słuchy, że będą nas wywozić. Rodzice całymi dniami gromadzili więc zapasy pożywienia: kobiety piekły góry chleba, kroiły i suszyły go oraz wędziły słoninę i boczek, rzadziej kiełbasy, a mężczyźni pędzili bimber, traktując go także jako kuszący towar i walutę wymienną (która bardzo się przydała!).

Skłonność maszynisty do alkoholu nasze chłopy wyczaiły po wyglądzie jego nosa: był rozdęty i czerwony jak u klauna. Maszynista po bliższym poznaniu nawet był żałośnie sympatyczny – stanowił karykaturalną krzyżówkę (dziś tak to oceniam) Waldka z serialu „Świat według Kiepskich" z posturą Zagłoby z sienkiewiczowskiej powieści. Kiedy więc popił bimbru i zakąsił wędzoną słoniną, to kładł się na podkładach kolejowych pod lokomotywą i natychmiast zasypiał. Ciepło buchające z kotła lokomotywy dawało mu komfort lata, a w oparach pijanego widu nawet pewnie nie czuł twardości podłoża. Jedynie pod głowę kładł sobie huńkę – wyświechtaną, że aż się świeciła od smaru i pyłu węglowego („huńka" to w gwarze kresowej watowana kurtka na zimę).

Kiedy donośne chrapanie się zaczynało, była pewność, że nasz „pan i władca" zasnął. Ten koszmarnie pocieszny i groźnie nieodpowiedzialny (czytaj: niebezpieczny) maszynista prowadził na tak długiej trasie ponad 20-wagonowy skład pociągu z setkami ludzi (w każdym wagonie jechało od trzech do pięciu rodzin, a kiedyś dominowały rodziny wielodzietne), więc ciasnota była okropna, a podróż niebezpieczna. Dobrze, że chociaż nie rozpędzał pociągu. Starsi głośno rozprawiali, kto mu dał uprawnienia maszynisty, i to pociągu osobowego. Maszynista był tak „zdolny", że po wybudzeniu się potrafił niezwłocznie uruchomić lokomotywę i ruszyć w dalszą drogę, nie bacząc na sytuację; los pasażerów jakby go nie interesował. Dochodziło wprawdzie na tym tle do karczemnych awantur (z wulgaryzmami, że aż uszy więdły) między maszynistą a ochraniarzami wojskowymi, którzy uzbrojeni w długą broń, towarzyszyli nam w podróży (a tak naprawdę pilnowali nas jak więźniów), jednak na ogół szybko dochodziło do ugody, bo ci ostatni także nie stronili od bimbru – nasze zapasy tego trunku szybko się więc kończyły – a gamoń maszynista i tak robił, co chciał, bo był jedyny, który potrafił obsłużyć lokomotywę. Po takich wybrykach „wszechwładnego" maszynisty trzeba było biec nieraz wiele metrów, by dogonić pociąg widmo i przeraźliwie wrzeszczeć, aż „pan życia i śmierci" zechciał zatrzymać pociąg i nas zabrać w dalszą podróż. Przez takie incydenty wielu pozostawało w miejscach przypadkowych postojów, tracąc na zawsze – przez chaos i zapomnienie – wiele artefaktów niezbędnych w codziennym bytowaniu.

Maszynista jakby nie dostrzegał, że ludzie z ogromną gromadą dzieci, mając okazję

FOT. IPN

do dłuższej przerwy w podróży, musieli korzystać z zasobów wody (przeważnie z przydrożnych rowów), wykonywali przepierki ubrań, załatwiali potrzeby fizjologiczne i rozpalali ogniska, by sporządzić cokolwiek do jedzenia (bo zapasy sucharów z chleba i wędzonek szybko się kończyły, a nikt nie przypuszczał, że podróż potrwa dłużej niż kilka dni – jak wieść o wywózce głosiła).

Chaos związany z transportem był czymś obezwładniającym. Informacje były sprzeczne i co chwilę się zmieniały. Nikt nic nie wiedział do końca – dokąd jedziemy ani kiedy dotrzemy do celu. Jeśli ktoś zmarł w podróży, to nie było warunków do godnego pochówku. Niestety, z wielkim bólem pozostawiało się nieboszczyka w prowizorycznym grobie (bo grunt był jeszcze zamarznięty). Na szczęście zgonów było niewiele (pamiętam dwa).

Stacja końcowa

I wreszcie po 14 dniach podróży dotarliśmy do celu; wyładowano nas na stacji Opole Wschód. Wyruszyliśmy z Kozowy (w województwie tarnopolskim) w poniedziałek, 2 kwietnia 1945 roku, a podróż zakończyliśmy w Opolu także w poniedziałek, ale 16 kwietnia. Wojna trwała jeszcze trzy tygodnie, a my koczowaliśmy w altankach ogródków działkowych w sąsiedztwie stacji kolejowej, w bardzo chłodne dni wiosny 1945 roku do czasu, aż z końcem lata rozwieziono nas do ostatecznych miejsc zakwaterowania. Przez pierwsze dwa lata pobytu na Ziemiach Odzyskanych bieda przesiedleńców była niewyobrażalna. Najdotkliwiej dokuczał nam brak pożywienia, dlatego po wojnie w nowym miejscu żyło się nam znacznie gorzej niż w czasie okupacji na ojczystym Podolu.

Być może znajdzie się ktoś, kto mi zarzuci, że piszę zbyt rozwlekle i z przesadą posługuję się detalami z okresu bolesnych spraw polsko-ukraińskich. Czynię to celowo (w tym cyklu felietonów dla tygodnika „GP"), w trosce o utrwalenie pamięci i płynących z niej wniosków. Wołają o to bestialsko pomordowani nasi rodacy, i nie można tego przejmującego chóru niewinnych ofiar zignorować ani zagłuszyć milczeniem straszliwych krzyków rozpaczy, eksplodujących z przerażonych serc Polaków przed okrutną ich śmiercią. Poza tym dramatyczne trudy naszej podróży na zachód (pierwszym transportem!) to przecież także skutek ukraińskiego bestialstwa. „Ruska swołocz" wypędziła nas ze stron rodzinnych, lecz my jednocześnie uciekaliśmy stamtąd – oby jak najdalej od banderów.

Już znacznie wcześniej w mojej publicystyce uzasadniłem taki właśnie sposób prezentowania przeszłości – trudnej i niezwykle złożonej. Użyłem wówczas argumentów, które dziś z przekonaniem przytaczam: co pozostanie z przeszłości, jeśli będzie ona wyprana z pamięci, z bezpośrednich relacji, z żywych emocji, które wspomnieniom nadają rumieniec życia i rys autentyczności? Jeśli dla potomnych pozostawimy tylko suchy zapis minionej epoki, nawet gdyby był nafaszerowany statystyką, to taki obraz nie przemawia do wyobraźni i serc, a z biegiem czasu blednie i się rozmywa.

Nie wolno milczeć

Jako naoczny świadek niewyobrażalnych potworności nie mogę milczeć – byłbym niesprawiedliwy i niespokojny w sumieniu... Przez unikanie bolesnych tematów skazujemy młode pokolenie po obu stronach granicy – które będzie kształtować jutrzejsze warunki współżycia czy wręcz współistnienia obu narodów – na ich wzrastanie w niewiedzy i w fałszu, a w konsekwencji pozostawienie naszych następców bez świadomości, jakie potworności zgotował człowiek swojemu bratu, z którym kiedyś chodził do tej samej szkoły, grał w piłkę, sąsiadował – czasem przez płot – i przyjaźnił się, a później zamordował go w okrutny sposób, z zimną krwią...

Z uporem podkreślam przy każdej okazji, że sprawy niewyjaśnione i pozostawione w oparach kłamstwa stają się zarzewiem niezgody skąpanej w nienawiści, trwającej nieraz przez wieki. Nie da się zaprzeczyć, że kto nienawidzi, ten już przegrał! **GP**

KONDOLENCJE

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci naszego Drogiego Klubowicza, współzałożyciela Klubu „Gazety Polskiej" w Krakowie, wieloletniego Radnego Miasta Krakowa, działacza „Solidarności" od 1980 roku, jednego z liderów Prawa i Sprawiedliwości w Krakowie oraz zasłużonego działacza Akcji Katolickiej.

ŚP.

Bolesława Kosiora

Odszedł Człowiek oddany Polsce, wierny swoim wartościom i ideałom, który przez lata swoją działalnością i zaangażowaniem służył Ojczyźnie oraz lokalnej wspólnocie. Pozostanie w naszej pamięci jako człowiek prawy, zaangażowany i życzliwy, a jego dokonania i świadectwo życia będą dla nas trwałym dziedzictwem.

W tych trudnych i bolesnych chwilach składamy
Rodzinie wyrazy najgłębszego współczucia oraz słowa otuchy.
Niech pamięć o Nim pozostanie żywa w naszych sercach.
Tomasz Sakiewicz – Redaktor Naczelny „Gazety Polskiej"
Ewa Wójcik – Prezes Klubów „Gazety Polskiej"
Marek Michno – Przewodniczący Klubu „Gazety Polskiej" w Krakowie
Koledzy z Klubu „Gazety Polskiej" w Krakowie
oraz Członkowie Klubów „Gazety Polskiej"



JUBILEUSZ

Trwa międzynarodowe tournée Adrei Bocellego, upamiętniające 30-lecie wydania przełomowego albumu „Romanza”. W ramach trasy artysta wystąpił w sierpniu w Gdańsku na Polsat Plus Arenie oraz w Warszawie na PGE Narodowym.

Śpiew daje znacznie więcej, niż zabiera

WIELKI WŁOSKI TENOR W ROZMOWIE Z „GAZETĄ POLSKĄ”



Rozmawia
Sylwia **Krasnodębska**
SZEF DZIAŁU KULTURA

– Polska zajmuje w moim sercu miejsce szczególne. Najbardziej zapada mi jednak w pamięć nie jakieś konkretne wydarzenie, lecz niezwykła reakcja widowni: skupienie, cisza w najbardziej intymnych momentach, a potem niesamowity entuzjazm na koniec. Szczególnie poruszający był dla mnie również występ w Gdańsku – mieście o tak fascynującej historii i tak silnej tożsamości kulturowej – mówi Andrea Bocelli.

FOT. FACEBOOK

Pierwszy raz rozmawialiśmy sześć lat temu, po Pana słynnym koncercie „Music for Hope" w pustej Katedrze Duomo w Mediolanie, podczas pandemii koronawirusa. Wspomniał Pan wtedy, że śpiew nigdy Pana nie męczy. Jest Pan teraz w środku trwającej blisko rok trasy koncertowej „Romanza – 30th Anniversary World Tour", upamiętniającej 30-lecie wydania przełomowego albumu „Romanza". Na trasie są: Europa, Ameryka Północna i Bliski Wschód. Czy to naprawdę możliwe, by przez cały ten, jakże wymagający, czas odczuwać wyłącznie czystą satysfakcję?

Zawsze uważałem śpiew nie za ciężar, lecz za przywilej. Oczywiście międzynarodowe tournée na taką skalę wymaga dyscypliny, energii, a przede wszystkim dbałości o kondycję fizyczną i wokalną. Kiedy jednak wchodzę na scenę i słyszę publiczność, zmęczenie zazwyczaj znika. W dzieleniu się muzyką z ludźmi jest coś głęboko satysfakcjonującego i to uczucie pozostaje dla mnie jednym z największych źródeł siły. Być może dlatego, nawet po tylu latach, wciąż mogę powiedzieć, że śpiew nie męczy mnie, tak jak mogłaby to robić inna praca. Daje znacznie więcej, niż zabiera.

Dziękujemy za dwa wspaniałe koncerty w Polsce. Fani zawsze mają nadzieję, że artysta wyniesie jakieś szczególne wspomnienia z ich kraju. Czy możemy mieć nadzieję, że podczas Pana występu w Gdańsku lub Warszawie wydarzyło się coś szczególnie pamiętnego?

Polska zajmuje w moim sercu miejsce szczególne. Ciepła polskiej publiczności doświadczyłem już wielokrotnie, a te dwa koncerty nie były wyjątkiem. Zarówno Warszawa, jak i Gdańsk podarowały mi wspaniałe wspomnienia. Najbardziej zapada mi jednak w pamięć nie jakieś konkretne wydarzenie, lecz niezwykła reakcja widowni: skupienie, cisza w najbardziej intymnych momentach, a potem niesamowity entuzjazm na koniec. Takie chwile przypominają mi, dlaczego muzyka na żywo jest tak cenna. Szczególnie poruszający był dla mnie również występ w Gdańsku – mieście o tak fascynującej historii i tak silnej tożsamości kulturowej.

Jednym z Pana największych osiągnięć – za które jest Pan powszechnie podziwiany – jest budowanie mostu między muzyką klasyczną a rozrywkową. Skąd wziął się pomysł na połączenie tych dwóch muzycznych światów?

Nigdy tak naprawdę nie uważałem muzyki klasycznej i popularnej za dwa światy, które muszą pozostać rozdzielone. Muzyka to język uniwersalny, a dla mnie liczy się to, czy melodia potrafi poruszyć serce. Moja własna droga w naturalny sposób zetknęła mnie zarówno z wielkim repertuarem klasycznym, jak i z utworami, które ludzie kochają i noszą w sobie na co dzień. Zawsze wierzyłem, że piękna melodia zasługuje na to, by ją zaśpiewać – bez względu na to, do jakiej kategorii postanowimy ją zaliczyć. Być może chodziło więc nie tyle o budowanie mostu, ile o pokazanie, że ten most już istnieje. Kiedy artyści z różnych tradycji muzycznych spotykają się ze szczerością i szacunkiem, może wydarzyć się coś naprawdę pięknego.

Album „Romanza" sprzedał się na całym świecie w nakładzie ponad 20 mln egzemplarzy. Teraz z niecierpliwością czekamy na jego specjalne, jubileuszowe wydanie. Jakich wyjątkowych elementów lub niespodzianek możemy się spodziewać po tej edycji?

„Romanza" to najważniejszy album w moim życiu, ponieważ towarzyszył mi w przełomowym momencie kariery i na wiele sposobów otworzył mojej muzyce drzwi do publiczności na całym świecie. Jego sukces był czymś, czego nikt nie mógł przewidzieć, i pozostaję za to głęboko wdzięczny. W przypadku wydania z okazji 30-lecia celem nie jest zwykły powrót do przeszłości, lecz spojrzenie na „Romanzę" dzisiejszymi oczami. Znajdą się tam materiały, które pozwolą słuchaczom odkryć ten album z innej perspektywy, a także oprawa graficzna nawiązująca do jego historii i niezwykłej podróży, jaką odbył po całym świecie. Myślę, że najpiękniejszą niespodzianką jest być może możliwość ponownego wysłuchania muzyki, która stała się częścią życia tak wielu ludzi, i przekonania się, że po tych wszystkich latach wciąż potrafi przemawiać do nas w tak samo bezpośredni i emocjonalny sposób. **GP**

ZACISZE MELOMANA



★★★★★★

ARCHIWUM BEZ KLUCZA

Prince, TIMELESS
NPG

Prince pozostawił po sobie imponujące archiwum nagrań, którego fragmenty są bardzo rzadko udostępniane słuchaczom. W 10. rocznicę śmierci artysty ukazał się kolejny wycinek tej olbrzymiej spuścizny, zawierający dziesięć wcześniej niepublikowanych utworów. Znajdziemy tu zarówno rozpędzony do szaleństwa „Tick, Tick Bang”, poruszającą balladę „With This Tear”, jak i krótki fragment jednego z ostatnich występów na żywo. Słabością albumu „Timeless” jest jednak jego niespójność. Zestawienie ze sobą utworów oddalonych o dekady, żeby w ten sposób pokazać „różnorodność” artysty, nie jest szczególnie odkrywcze, zwłaszcza w przypadku takiego muzycznego geniusza jak Prince.



★★★★★★

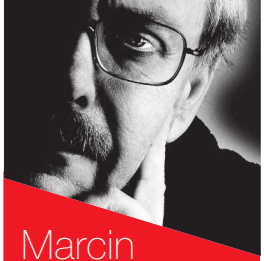
KONCERT MARZEŃ

Pulp, LIVE!
Rough Trade

Fragment z występu Prince’a rozbudził tylko apetyt na nagrania koncertowe. Na szczęście ukazał się też album, który zaspokoi muzyczny głód nawet najbardziej wymagających słuchaczy. Jarvis Cocker ma wyjątkowy dar wciągania publiczności w pełne zaangażowanie. Nic więc dziwnego, że fani zgromadzeni w The O2 Arena pełnym głosem śpiewają nie tylko największe przeboje Pulp, takie jak „Disco 2000” czy „Common People”, lecz także zdradzają perfekcyjną znajomość ostatniego studyjnego albumu. Finałowe „Sunset” pozostawi nas być może z gulą w gardle, ale podczas tego koncertu spełniają się przynajmniej dwa życzenia ukryte w piosence. Jakie? Proszę koniecznie posłuchać.

Przygotował
Marek **Kalinowski**

KSIĄŻKA { KRYMINAŁ }



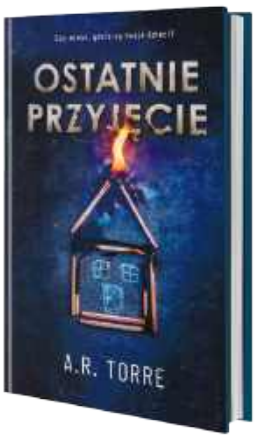
Marcin **Wolski** poleca

★★★★★★

Plan zbrodni

„Ostatnie przyjęcie”
A.R. Torre
Warszawa 2026

Jak wiadomo, Agatha Christie została wyrzucona z elitarnego Klubu Detektywów (po latach stała się jednak jego prezeską) po opublikowaniu powieści „Zabójstwo Rogera Ackroyda”. Popełniła w niej dwa wielkie przewinienia, sprzeczne z klasyczną konwencją kryminału, w którym zabójcami nie była ani służba, ani przedstawiciele zawodów szczególnego zaufania. Tymczasem mordercą Ackroyda okazał się nie tylko lekarz sprzeniewierzający się przysiędze Hipokratesa, lecz zarazem narrator, który opisując zbrodnię, nie zataił niczego. Żyjemy dziś w innych czasach, toteż pani A.R. Torre, autorka „Ostatniego przyjęcia”, nie ryzykuje towarzyskich szykan, mimo że jej pomysł jest niemniej szokujący niż koncept Agathy Christie.



Bez osłonek opowiada w pierwszej osobie plan zbrodni, w której Perla Wultz jest zdecydowana zamordować swoją córkę i dwie Bogu ducha winne koleżanki zaproszone na urodzinowe przyjęcie, zamierzając zwalić całą winę na męża. Przy okazji Perla pragnie pomóc mordercy odsiadującemu dożywocie w pobliskim więzieniu, który 20 lat wcześniej został skazany za dokonanie identycznej zbrodni, której, jak twierdzi, nie popełnił. Niestety dowody i opinia publiczna były przeciw niemu. Tym razem śledzimy staranne przygotowania morderczyni in spe, która zamierza przy okazji objawić się jako gwiazda medialna (robi sobie nawet operację kosmetyczną). I wiedząc, że ma zginąć sympatyczna, inteligentna nastolatka, której nic nie jest w stanie uratować, przeżywamy naprawdę niebywałe emocje, a dozowanie okruchów prawdy o przeszłości głównych bohaterów tylko temu napięciu sprzyja. Dobra robota. Choć wymowa ryzykowna. **GP**

Zamów w naszym sklepie pod adresem **sklep.gazetapolska.pl** | **infolinia: 22 232 37 70**

MIX **Kulturalny**



TO JESZCZE RAZ
Historię drogi Sylvestra Stallone’a na szczyt i powstania legendarnego „Rocky’ego” przedstawi film „Jestem Rocky” w reż. P. Farrelly’ego. W roli głównej wystąpi Anthony Ippolito. Premiera w kinach 20 listopada.



Z NICOLE KIDMAN
Australijsko-amerykańska aktorka Nicole Kidman zdradziła, że jak ktoś ją irytuje, zapisuje jego imię na kartce i wkłada ją do… zamrażarki. Lepiej z nią nie zadzierać, bo można skończyć między rybą a szpinakiem.

GAZETA POLSKA

★★★★★★

Powrót Meggie i Negana

„The Walking Dead: Dead City”, sezon 3

THRILLER, reż. S. Raju, D. von S. Mayer, S. White, M. Slovis, L. Wolkstein

USA 2026

Grzegorz **Wszołek**



Nieoczekiwanie w trzecim sezonie zaserwowano fanom przerwany wątek miłosny z Meggie w roli głównej. Może ona i Negan mogliby się zaprzyjaźnić albo zdecydować na coś więcej w innych okolicznościach niż apokalipsa?

Lauren Cohan i Jeffrey Dean Morgan wrócili w swoim stylu wraz z trzecim sezonem „The Walking Dead. Dead City”. Showrunnerem nowej odsłony został Seth Hoffman, który zastąpił Eliego Jornégo. Producent współtworzył już sagę o żywych trupach, gdy serialowa Meggie walczyła o przetrwanie z grupą przyjaciół u boku Ricka Grimesa. Po pięciu odcinkach nowych perypetii na Manhattanie można z przekonaniem polecić hit – jest dynamicznie, nie nudzi ani przez chwilę, a w dodatku Negan aż kipi od czarnego humoru. To zdecydowanie najciekawsza postać, która ma najwięcej do powiedzenia spośród wszystkich bohaterów. Kontynuacja opowieści o apokalipsie zombie koncentruje się na odbudowie Nowego Jorku i tworzeniu wspólnoty, w której nikt nikogo nie pozbawia życia. Zadanie to piekielne trudne, zważywszy na ekstremalne warunki bytowe. Bohaterów nawiedza trzęsienie ziemi, doskwiera im głód, a do społeczności dołączają ludzie z różnymi intencjami. Pojawia się też nowa postać, Renata, która staje się osobą numer trzy w „Dead City”. „TWD” wszak to nie historia o epidemii zombie, a opowieść o człowieczeństwie, odwadze, kreatywności i granicach ludzkiego wysiłku – zarówno psychicznego, jak i fizycznego. Dlatego ogląda się ją z dużym zaciekawieniem. GP

FOT. YOUTUBE, FACEBOOK, MATPRAS.



poznaj

MIŁOŚĆ PRZEZ ŚCIANĘ

Film „Przez ścianę” z Marią Dębską i Jakubem Gierszałem opowie o więźniach z Rakowieckiej, którzy zakochali się przez mur dzięki alfabetowi Morse’a. Premiera poruszającego filmu opartego na faktach na początku 2027 roku.



zrelaksuj się

Z NIECODZIENNĄ

„Niecodzienna Gazeta Polska” to magazyn dołączany do weekendowej „Gazety Polskiej Codziennie”. Poczytać w nim można porady zdrowotne, powieść w odcinkach, gawędy podróżnicze i historie rodem ze światów równoległych.



kochaj

WINYLE

W pierwszym półroczu na polskim rynku muzycznym niespodziewanie wzrosła sprzedaż nośników fizycznych. Przychody z płyt CD zwiększyły się o 10,5 proc. (do 42,8 mln zł), a z winyli aż o 46,3 proc., osiągając 42,4 mln zł.

Sacrum „na trójkątno”

JAK ART DÉCO ZMIENIAŁO SZTUKĘ SAKRALNĄ DWUDZIESTOLECIA MIĘDZYWOJENNEGO





Wojciech **Mucha**

FOT. ?

Gdyby nie wybuch II wojny światowej, dziś w Warszawie zamiast Pałacu Kultury i Nauki mogłyby stać wyższe od ocalałego Prudentialu wieżowce – ikony art déco, a polska sztuka sakralna – kto wie – kojarzyłaby się nie z wiecznym chaosem w architekturze, a ze świątyniami zbudowanymi właśnie w tym aspirującym do narodowego stylu dwudziestolecia międzywojennego. Dostajemy tego namiastkę.

Nikt nie ma prawa zarzucić, że w Telewizji Republika brak dyskusji na poziomie. Oto w programie „Republika nocą" doszło do interesującej wymiany zdań pomiędzy redaktorami Jakubem Maciejewskim a Dawidem Wildsteinem. Obaj znani zresztą z łamów tygodnika „Gazeta Polska" publicyści jęli się przekomarzać o wyższości oferty kulturalnej Krakowa i Warszawy.

Ten przeniesiony na czerwoną kanapę Republiki odwieczny spór finalnie zaowocował wysłaniem przez Wildsteina swojego rozmówcy a to do Łazienek, gdzie od 16 lipca do 15 listopada trwa wystawa „Nabiści. Prorocy nowej sztuki", a to na kończącą się właśnie za kilka dni (13 września) intrygującą ekspozycję „Art déco i sacrum. Sztuka dekoracyjna dwudziestolecia międzywojennego".

Na nabistów przyjdzie jeszcze czas, ale jako że w czasie tegorocznego pobytu w Nowym Jorku zadzierałem głowę, podziwiając tamtejsze ikony art déco – Chrysler Building, Rockefeller Center czy Empire State Building – poczułem się i na siłach, i w obowiązku zajrzeć na finiszującą właśnie wystawę w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. I się nie zawiodłem.

Nie zawiodłem, choć refleksja jest raczej smutna, tym bardziej że na początku września zwyczajowo uciekamy myślami do klęski odrodzonej Polski i tego, jak wiele bezpowrotnie utraciliśmy – nie tylko ze względu na grabież i zniszczenie, lecz także ze względu na finalnie zerwaną w konsekwencji obu okupacji ciągłość z II RP.

Umożliwić realizację pragnień

Wejdźmy jednak w świat przybliżony na wystawie „Art déco i sacrum". Jak pisze w katalogu wystawy jedna z jej kuratorek Agnieszka Kasprzak: „Odzyskana przez Polskę niepodległość staje się ważną cezurą w życiu politycznym i społecznym. Dała początek nowej erze, w której narodziła się szansa na spełnienie marzeń wcześniejszych pokoleń. Zadaniem, które należało wykonać, by umożliwić realizację tych pragnień, było zbudowanie silnego, demokratycznego państwa polskiego, to zaś wiązało się z powszechną modernizacją społeczeństwa".

Tak. A art déco jako forma wyrazu tych pragnień wydawała się wręcz doskonała – był nurt ów wszak odpowiedzią na rewolucję przemysłową, postęp, wzrastające tempo życia. Nie bez powodu z art déco kojarzymy choćby pęd, smukłość, częsty motyw – wielkie, rozłożyste skrzydła – czy słońce widoczne nie tylko w grafice, lecz także rzeczywiście odbijające się w marmurze, szkle, chromie i stali, po które tak chętnie sięgali twórcy nowego nurtu, projektujący od biżuterii po lśniące karoserie samochodów i wielkie wieżowce.

W Polsce widzieliśmy, i szczęśliwie widzimy to wciąż, w twórczości wielkich – Tamary Łempickiej, Zofii Stryjeńskiej, słynnych Warsztatów Krakowskich (grupy artystów i rzemieślników), wreszcie choćby w monumentalnych formach – w wieżowcu Prudentialu w Warszawie, w spektakularnym zamku prezydenta RP w Wiśle czy w kościołach, by wspomnieć zachowane do dziś wyposażenie Kościoła św. Kazimierza Królewicza w Katowicach.

Styl odrodzonego narodu?

I tego typu skarby odkrywamy również na wystawie „Art déco i sacrum". Fragmenty to dotąd niezebrane razem, nieopisane w ten sposób, a przecież mówiące

tak wiele o II RP i jej ambicjach, a także ambicjach samego Kościoła w Polsce. Kościoła, który zdawał sobie sprawę z tego, że przedwojennymi formami wiele nie zdziała, że historyzm się kończy, że on sam musi towarzyszyć modernizacji, którą rozpoczęto wraz z odzyskaniem niepodległości. Także modernizacji samego narodu.

Jak pisał w 1932 roku w tekście „Sztuka religijna a przemysł artystyczny" Karol Homolacs, jeden z ojców polskiego art déco: „Złotnik cyzelujący kielich mszalny, kamieniarz wykuwający nagrobek cmentarny, nie mogą pracować na tych samych założeniach – muszą oni w kształty, które tworzą, zakląć wartości innego porządku – muszą poprzez materiał i konstrukcję wyrazić pewne przeżycie religijne: piękno, jakie tu powstaje, nosi na sobie przede wszystkim piętno »stylu«".

Tak, do końca XX-lecia międzywojennego nie brakowało przy tym narzekania, dziś chyba jeszcze bardziej aktualnego, jak słowa księdza Szczęsnego Dettloffa, profesora Uniwersytetu Poznańskiego, który w 1934 roku we wstępie do katalogu wystawy zorganizowanej w Częstochowie pisał: „Nie ma dziś w Polsce katolika, o jakiem takiem wyrobieniu pojęć artystycznych, który by nie ubolewał szczerze nad wręcz niewiarygodnem szpeceniem naszych kościołów przez masową produkcję dewocjonaliów czy nawet sprzętów liturgicznych (…); to, na co patrzymy, jest najpospolitszą tandetą, narzuconą naszym kościołom przez handlarzy bez sumienia kupczących świętością w sposób karygodny, a ciągnących z naiwności ludzkiej poważne zyski. Wiemy też, że tej handlarskiej międzynarodówce pseudoartystycznej przeciwstawić się trzeba pilnie przez twórczość żywą i naszą, a nie szablonową i bezduszną, w koncepcjach własnych artystów, zwartych z naszą kulturą religijną i narodową".

To właśnie robili – przeciwstawiali się. Często zgodnie z nurtem, który w II RP nazywano „stylem kryształkowym" lub „manierą na trójkątno". To dzięki nim art déco aspirowało, całkiem skutecznie, do nowoczesnego stylu narodowego i odnajdywało się także w sztuce sakralnej.

Na warszawskiej wystawie patrzymy więc na te złote okruchy sztuki sakralnej, jak choćby zamknięty nie w trójkącie, lecz w trapezie ryngraf Matki Bożej z Dzieciątkiem i napisem „KATOWICE", wypisanym charakterystyczną czcionką z epoki. Oko błądzi w ostrych cięciach poliptyku skrzydłowego Chrystusa Króla Wieczności, którego geometryczne postaci i forma kapliczki wyszły spod snycerskiego noża mistrzów Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem, kuźni mistrzów stylu, by zaraz radować się figurkami z szopki Zofii Stryjeńskiej, jednego z najgłośniejszych nazwisk Warsztatów Krakowskich i całej tej genialnej krakowsko-zakopiańskiej cyganerii, która w art déco zobaczyła styl narodowy.

Figurki Stryjeńskiej toczone są w drewnie i malowane tak wesoło, że po ponad 100 latach wciąż cieszą feerią kolorów, a tuż obok – projektowany przez nią komplet liturgiczny z katedry wawelskiej, na który zerka smukła Święta Kinga, gipsowy odlew Janiny Broniewskiej. Wreszcie widzimy misterną, złoconą monstrancję warszawskiego złotnika Wiktora Gontarczyka, która – poza oczywistym przeznaczeniem – w szczegółach opowiada historię Polski, a od luny, w której umieszcza się Hostię, biegną ostre, właściwe epoce i nurtowi art déco promienie. Zespolenie wydaje się kompletne.

Lepiej się spieszyć

Tak, widać, jak doskonale odnajdywali się w sztuce sakralnej artyści dwudziestolecia międzywojennego. Zresztą, co tu dużo mówić, skoro wystarczy wspomnieć, że kapliczka „Boże Narodzenie" autorstwa Jana Szczepkowskiego została w 1925 roku nagrodzona Grand Prix na słynnej Międzynarodowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych i Wzornictwa w Paryżu. Polscy twórcy zdobyli tam najwięcej nagród – 172, co pokazuje, jak wiele odrodzona Polska miała do zaoferowania światu po wielkiej wojnie.

Wystawa w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej to niewielka, lecz bogata i symboliczna prezentacja tego, jak zaistniało art déco w sztuce sakralnej – od rzeźby, przez złotnictwo i metale, tkaniny, do grafiki i rysunku. W tym ostatnim – grafiki użytkowe, pocztówki, okładki czasopism katolickich i kartki świąteczne, a także wybitne drzeworyty prekursora „polskiej szkoły drzeworytu" Władysława Skoczylasa, Stefana Justa czy „Pastorałki" Tytusa Czyżewskiego z drzeworytami Tadeusza Makowskiego. To, jak czytamy na portalu Niezależna.pl, „pierwsze wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Książki w Paryżu z 1925 roku, odbite w 520 numerowanych egzemplarzach na papierze czerpanym, okrzyknięte najpiękniejszą poetycką malowanką Bożego Narodzenia".

Wymienić wszystkiego się nie da. Całość oddaje jednak doskonale formę nowoczesności, zespoloną nie tylko z sacrum, lecz także „polską" ludowością, z której tak bardzo czerpano. Jak czytamy w katalogu wystawy, sakralna stylistyka art déco zawędrowała nawet na pokłady polskich transatlantyków – MS „Piłsudski" oraz MS „Batory", gdzie w kaplicach zainstalowano bardzo nowoczesne technologicznie wnęki z ołtarzami wykonanymi według projektu innego mistrza epoki – Wojciecha Jastrzębowskiego. „Nietypowy, ale zgodny z duchem czasów pomysł" – pisze kurator Agnieszka Kasprzak.

Polskie art déco, jak całe polskie odrodzenie, przerwał finalnie wybuch II wojny światowej. Zanim to się jednak stało, zdarzyła się ta cudowna opowieść o tym, jak po 123 latach Polska rwała się do życia, pełności, modernizacji i udowadniania całemu światu, że nie jesteśmy tu od wczoraj. Że „Duch, co nie zgasł", chciał jak najszybciej zszyć uwolnione spod zaborów części i wzbić się w górę już nieskrępowany, niczym na skrzydłach – tym jednym z najczęstszych motywów art déco.

I ten duch krąży również na wystawie, którą można zwiedzać do 13 września w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej przy ul. Dziekanej 1. **GP**

Cytaty pochodzą z katalogu wystawy.





Iwona **Balcerak**
TEKST I ZDJĘCIA

Pomidor ma swoje sekrety

Znamy go najlepiej w klasycznym wydaniu, czyli na kanapkach lub jako sałatkę do obiadu. Tymczasem wystarczy zmienić temperaturę podania, dodać odrobinę oliwy albo zestawić go z czymś nieoczywistym, by odkryć go na nowo.

PINSA Z PIECZONYMI POMIDORKAMI I BURRATĄ

- 1 gotowy spód do pinsy
- 125–150 g burraty (1 opakowanie)
- 100 g szynki dojrzewającej w plastrach
- 250 g pomidorków koktajlowych
- 1–2 garście rukoli
- 1 ząbek czosnku
- 4 łyżki oliwy extra vergine
- 1 łyżeczka suszonej bazylii
- 1/2 łyżeczki płatków chili
- świeżo mielony pieprz
- sól

Rozgrzej piekarnik z blachą lub kamieniem w środku do 200–220°C (zgodnie z instrukcją na opakowaniu pinsy).

Pomidorki koktajlowe przełóż do naczynia żaroodpornego, skrop 2 łyżkami oliwy, oprósz suszoną bazylią, solą i pieprzem. Piecz około 15 minut, aż zmiękną, popękają i lekko się skarmelizują.

W międzyczasie 1 łyżkę oliwy wymieszaj z przeciśniętym przez praskę czosnkiem. Posmaruj oliwą wierzch pinsy i wstaw do rozgrzanego piekarnika. Piecz zgodnie z instrukcją, aż ciasto będzie gorące, rumiane i chrupiące na brzegach.

Gorącą pinsę wyjmij z piekarnika. Od razu ułóż na niej porwaną na kawałki burratę, plastry szynki dojrzewającej, ciepłe pieczone pomidorki oraz garść świeżej rukoli.

Całość oprósz płatkami chili, dopraw świeżo mielonym pieprzem i skrop ostatnią łyżką oliwy extra vergine. Podawaj natychmiast, dopóki spód jest chrupiący. **GP**

CZAS	**20 MINUT**
KOSZT	**25 ZŁ**
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	**ŁATWY**
PORCJI	**2**

CZY WIESZ, ŻE...

Pomidor nie przepada za lodówką. Niska temperatura ogranicza działanie związków lotnych odpowiedzialnych za jego aromat. Dlatego najlepiej przechowywać go w temperaturze pokojowej. Jeśli wcześniej spędził trochę czasu w chłodzie, warto dać mu chwilę przed podaniem, by ogrzał się do temperatury otoczenia.

Sól wydobywa z pomidora sok, intensyfikuje smak i sprawia, że jego naturalna słodycz oraz kwasowość stają się bardziej wyraziste.

Oliwa łagodzi kwasowość pomidora, wydobywa jego słodycz i wzbogaca jego smak charakterystyczną owocową nutą.
W pomidorach znajduje się likopen – silny przeciwutleniacz, który jest znacznie lepiej przyswajalny przez nasz organizm w obecności tłuszczów.

Ten sam pomidor, który na surowo jest świeży i pełen soku, po upieczeniu staje się słodki, intensywny i niemal kremowy. Ciepło odparowuje część wody, dzięki czemu smak się koncentruje. Oliwa, czosnek, sól i kilka gałązek tymianku wystarczą, by zwyczajny pomidor zamienił się w znakomitą bazę sosu.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

KTO TROSZCZY SIĘ O LAS?

Wojna o skojarzenie: leśnik czy aktywista



CIEKAWOSTKI ZE SPRAWOZDAŃ

W lipcu organizacje ekologiczne złożyły swoje sprawozdania finansowe. Wynika z nich, że zmieniają się w sprawnie funkcjonujące firmy.



GREENPEACE

W 2025 roku zarobił ponad 17 mln zł. Organizacja zatrudnia 54 osoby na etat i 251 osób na umowy cywilno-prawne. Blisko 11 mln zł wydaje na etaty. Jako pracownik możesz zarobić nawet 15,5 tys. zł miesięcznie.



WWF

W 2024 roku miał ponad 39 mln zł przychodu. Zatrudnia 110 osób na etat i 184 osoby na umowy cywilno-prawne. Pracownik może zarobić nawet 22 tys. zł miesięcznie. Średnia nie sięga jednak 7 tys. zł.



Statystyczny Polak myśli w kategoriach instytucji. W takim uporządkowanym świecie szkoła zajmuje się edukacją. Szpitale są od leczenia pacjentów. Wojsko od obrony granic. Policja od zapewniania bezpieczeństwa. A od troski o środowisko? Tutaj odpowiedź nie jest oczywista. W Polsce od lat trwa walka o to skojarzenie. Aktywiści ekologiczni bardzo chcieliby zająć miejsce leśników.

Jacek **Liziniewicz**

POLUB NAS
/GazetaPolskaPL

FOT. LASY PAŃSTWOWE, FACEBOOK

Jeszcze dwie dekady temu nie było wątpliwości, jakie instytucje realizują ochronę przyrody w naszym kraju. Większość Polaków z pewnością wskazałaby na leśników i pracowników parków narodowych. Te dwie instytucje były wymieniane jednym tchem. Około dekady temu rozpoczęła się dekonstrukcja tego skojarzenia. Do gry wszedł kolejny istotny gracz – organizacje społeczne, które z czasem dostosowały swój przekaz, tak aby zająć miejsce jednej grupy społecznej – leśników.

Dyskusja od lat

Trudno wskazać, kiedy zaczął się ten proces. Gdyby zapytać aktywistów, to z pewnością wymieniliby konflikt o Puszczę Białowieską, przypadający na lata 2016–2017. To jednak mit. Już wcześniej próbowano atakować Lasy Państwowe, malując obraz leśników jako zachłannych na pieniądze karierowiczów. Dość sięgnąć do napisanego w 2014 roku manifestu Adama Wajraka. Padły tam te same argumenty, które od 12 lat serwują nam kolejni eksperci od lasów. „Firma cieszy się niezwykłą popularnością jako miejsce zatrudnienia nie dlatego, że praca leśnika to romantyczna przygoda. Myślę o leśniczówkach, które można było jeszcze do niedawna kupić z całkiem sporą zniżką, czasami sięgającą 90 proc. ceny. Ale tak naprawdę prawdziwymi konfiturami są zarobki. 25 tys. ludzi żyje z zasobów jednej czwartej kraju, które, przypomnijmy, mają na wyłączność. I żyje bardzo dobrze. Średnia płaca w Lasach według sprawozdania finansowego z roku 2012 to około 7 tys. zł” – pisał Wajrak. Płaca leśniczego na poziomie 7 i 9 tys. zł kłuła w oczy już w 2014 roku. Już wtedy te płace były przeciwstawiane zarobkom w parkach narodowych. Dwanaście lat temu narodziła się również narracja o prywatyzacji lasów znajdujących się w rękach leśników. „Złośliwi, co znają się na rzeczy, mówią, że patrząc na przywileje Lasów Państwowych, można śmiało uznać, że lasy już mamy sprywatyzowane” – pisał Adam Wajrak w swoim manifeście. Już wtedy pojawiał się też argument o koniecznej społecznej kontroli, której jakoby brakuje. Od tamtej pory argumentacja ta jest rozwijana wokół tego szkieletu. W ostatnich dwóch latach pojawiły się nawet dwie książki na ten temat – jedną z nich napisał Marek Józefiak, rzecznik prasowy Greenpeace’u. To dobry przykład na to, jak manipuluje się, by stworzyć odpowiednie wrażenie i nadać narrację uderzającą w leśników.

> Szacuje się, że w 23 polskich parkach narodowych zatrudnionych jest około 1800–2000 osób. Dla porównania w Szwecji w 31 parkach tych osób jest około... 300.

PRACOWNIA NA RZECZ WSZYSTKICH ISTOT

To jeden z najbardziej wpływowych NGO w Polsce. W 2025 roku zasiliło ją ponad 1,6 mln zł. Zatrudnia ona jedynie sześć osób z przeciętną pensją wynoszącą niecałe 8 tys. zł.

LASY I OBYWATELE

Organizacja działa od dwóch lat. W ubiegłym roku osiągnęła blisko 700 tys. zł przychodu. Na stałe zatrudnia jedynie trzy osoby, a przeciętne wynagrodzenie wynosi 6421 zł miesięcznie. Najwyższe wynagrodzenie sięga 9 tys. zł.

FUNDACJA DZIEDZICTWO PRZYRODNICZE

Organizacja na rzecz tzw. Puszczy Karpackiej. W 2025 roku miała prawie 1,4 mln zł przychodu. Zatrudnia siedem osób, a najwyższe wynagrodzenie to 9,5 tys. zł. Przeciętna to powyżej 4,2 tys. zł.

Administracja w lasach i parkach

W książce „Polska Rzeczpospolita Leśna, czyli jak Lasy Państwowe stały się państwem w państwie”, w rozdziale „Klawe życie monopolisty” przeczytamy o zachłanności leśników i ich nieudolności na tle Europy. Po lekturze książki można odnieść wrażenie, że potężna firma i największe przedsiębiorstwo leśne na kontynencie zostało stworzone pomimo leśników. Skupmy się na dwóch fragmentach. Pierwszy mówi o olbrzymim zatrudnieniu. „Na co zatem idą pieniądze z wycinek? Rozwiązanie tej zagadki tkwi, przynajmniej częściowo, w dwóch rubrykach: koszty wynagrodzeń na stanowiskach nierobotniczych i liczba zatrudnionych na stanowiskach nierobotniczych na tysiąc hektarów lasu. Okazuje się, że Lasy Państwowe wydają na zatrudnienie administracji najwięcej w Europie – więcej nawet niż w Austrii czy Bawarii. Wydatki LP na administrację w przeliczeniu na hektar lasu są prawie dwa razy wyższe niż przeciętnie. Czy to oznacza, że polscy leśnicy zarabiają więcej niż leśnicy austriaccy czy bawarscy? Co to, to nie! Ta astronomiczna kwota wynika głównie stąd, że Lasy zatrudniają ponad dwa razy więcej ludzi niż inne państwowe gospodarstwa leśne. W LP pracuje ponad trzech leśników na tysiąc hektarów lasu, a w Europie – ledwie półtora” – pisze Marek Józefiak.

Oczywiście można uznać taką argumentację. I z pewnością jest ona prawdziwa. No ale dodajmy, że te same osoby nie zauważają, jak rozbuchaną administrację mają polskie parki narodowe. Otóż szacuje się, że w 23 polskich tego typu obszarach przyrodniczych zatrudnionych jest około 1800–2000 osób. Dla porównania w Szwecji w 31 parkach tych osób jest około 300. Porównajmy więc konkretną jednostkę. W Białowieskim Parku Narodowym, który ma nieco ponad 10 tys. ha, pracuje w Polsce 130 osób. To zdaniem ICCUN około trzy razy więcej niż w białoruskiej, w dodatku większej części. Porównywalny pod względem wielkości szwedzki Park Färnebofjärden nie ma własnej dużej administracji, a zarządza nim Länsstyrelsen Gävleborg. Na stałe jest zatrudnionych… siedem osób. Można więc powiedzieć, bawiąc się w statystykę, że w Białowieskim Parku Narodowym pracuje 18 razy więcej ludzi w administracji niż w szwedzkim odpowiedniku. Już słyszę odpowiedź, że… nie można porównywać, bo przecież inny model. Ale zaraz, czy nie to właśnie zrobił pan Józefiak? Tymczasem fakty są takie, że wystarczyłoby zmniejszyć zatrudnienie w parkach narodowych, aby zwiększyć pensje ich pracowników. A wtedy z pewnością wynagrodzenie w tych jednostkach byłoby wyższe niż w Lasach Państwowych.



TO CIEKAWE…

Greenpeace w ubiegłym roku zarobił ponad 17 mln zł. Aż 63 proc. tej kwoty nie idzie na konkretną ochronę przyrody, lecz na pensje pracowników organizacji.

Grzebać w kieszeni

Skoro jesteśmy przy kwestiach pieniędzy… Sięgnijmy do książki Marka Józefiaka.



EKO-UNIA

Organizacja zwalczająca m.in. elektrownię jądrową i kopalnię w Turowie. W 2025 roku osiągnęła blisko 2 mln zł przychodu. Zatrudnia dwie osoby na etat i 39 na umowy cywilnoprawne, na pensje przeznaczyła 400 tys. zł.



KLUB GAJA

Jedno z najstarszych stowarzyszeń ekologicznych w Polsce. W ubiegłym roku miało 599 tys. zł przychodu. Ponad 306 tys. zł poszło na pensje. Co ciekawe, ta organizacja ekologiczna nie zatrudnia nikogo na etat.



OTWARTE KLATKI

Działają na rzecz poprawy dobrostanu zwierząt. Budżet w 2025 roku przekroczył 10 mln zł. Z tej kwoty ponad 6 mln zł idzie na pensje aktywistów. Przeciętne wynagrodzenie przekracza 5 tys. zł, najwyższe to około 22 tys. zł.



„Średnie wynagrodzenie dwudziestu sześciu tysięcy pracowników LP po raz pierwszy przebiło granicę dziesięciu tysięcy złotych brutto. Było zatem o dwie trzecie wyższe od przeciętnej pensji w Polsce. W sektorze państwowym tylko górnicy mogli liczyć na wyższe pensje. W 2024 roku średnie zarobki w Lasach zbliżyły się do jedenastu i pół tysiąca złotych brutto” – czytamy w „Polska Rzeczpospolita Leśna, czyli jak Lasy Państwowe stały się państwem w państwie”. Tak podana informacja robi oczywiście wrażenie. Ale wystarczy spojrzeć na sprawozdanie merytoryczne jego organizacji za rok 2025. Greenpeace w ubiegłym roku zarobił ponad 17 mln zł. Zdecydowana większość z tej kwoty, bo aż 63 proc., nie idzie na konkretną ochronę przyrody, lecz na pensje pracowników organizacji. Wysokość przeciętnego wynagrodzenia w organizacji wyniosła 10 368 zł. Najhojniej wynagradzani pracownicy mogą liczyć na 15 500 zł miesięcznie. Zarząd organizacji zarabia nawet do 16 865 zł. Kto więc oszczędniej gospodaruje i jest lepszy w „przejadaniu” pieniędzy na administrację? Gdy Greenpeace wydaje na pensje aktywistów 63 proc. przychodów, Lasy Państwowe mają ten odsetek blisko dwa razy mniejszy (ponad 32 proc.). Mediana (czyli wartość środkowa) zarobków wynosi w Lasach Państwowych 10 700 zł. A połowa pracowników zarabia od 8000 do 11 270 zł miesięcznie. Gdyby porównać zarobki zarządów, to również aktywiści nie ustępują leśnikom. W Greenpeasie co prawda zarząd zarabia miesięcznie około 16 500 zł, ale już w organizacji WWF zarządzający dostaje ponad 30 000 tys. zł miesięcznie. To więcej, niż zarabia dyrektor generalny Lasów Państwowych, który zarządza majątkiem o powierzchni Czech. W teorii więc pan Marek Józefiak jest za zmniejszeniem administracji i zauważa wysokie zarobki. Co ma jednak do zaoferowania? Nic. Bo nie to jest jego celem. Nie chodzi o to, aby coś konkretnego zaproponować. Chodzi o to, aby obrzydzić to, co istnieje. A metoda na pieniądze zawsze się sprawdza. Stara tabloidowa zasada, aby pokazać, jak „bawią się za nasze pieniądze”. Jest to metoda skuteczna. **GP**

VIVA

Zajmuje się zwierzętami i ich dobrostanem. Dysponuje niemałym budżetem – w 2025 roku miała do dyspozycji blisko 15 mln zł. Najwyższe wynagrodzenie przekracza 18 tys. zł. Przeciętne wynosi około 6,7 tys.

FRANK BOLD

Organizacja specjalizująca się w sprawach sądowych dotyczących paraliżowania polskiej energetyki. W 2024 roku odnotowała 2 mln zł wpływów. Koszty wynagrodzeń przekraczają, wraz z podatkami, 1,3 mln zł.

FOT. MACIEJ LUCZNIEWSKI/GAZETA POLSKA, FACEBOOK, YOUTUBE, WIKIPEDIA



PRZYRODNICZY
FLASH

SPIESZĄ SIĘ Z NOWYM PRAWEM

Sejm implementuje prawo unijne zakazujące greenwashingu. „Nowe przepisy mają ograniczyć nieuczciwe reklamowanie produktów jako ekologicznych. Firmy nie będą mogły używać ogólnych haseł ani własnych »ekoznaków« bez rzetelnych dowodów i niezależnej certyfikacji. Zmiany w polskim prawie wymusza Unia Europejska. Pojawiają się jednak pytania, czy nowe regulacje nie uderzą w polskie produkty ekologiczne. Za nieekologiczne mogą zostać uznane także dobre i zdrowe produkty, lecz powstające z wykorzystaniem energii i ciepła pochodzących z węgla lub gazu” – twierdzi poseł PiS-u Paweł Sałek. Zmiany mają kosztować 10 mld euro w całej UE. Każda firma chcąca używać nazwy „eko” itp. będzie musiała przejść audyt.

BĘDĄ ŻYWIĆ PLANETARNIE

Od 1 września w szkołach i przedszkolach obowiązują nowe zasady żywieniowe, w tym m.in. dieta planetarna. „Koniec dyskryminacji wegetarian i wegan w polskich szkołach. Od 1 września weszły nowe zasady żywienia i to naprawdę duża i od dawna potrzebna zmiana. W szkolnych i przedszkolnych stołówkach co najmniej raz w tygodniu pojawi się w pełni roślinny obiad oparty m.in. na nasionach roślin strączkowych. Uczniowie i uczennice, którzy nie jedzą produktów odzwierzęcych, otrzymają roślinną alternatywę w pozostałe dni” – cieszy się Partia Zielonych. Mniej cieszą się producenci mięsa.

Listy

Nikt tego za nas nie zrobi!

Zaraz okaże się, że podwyżka paliwa to wina PiS-u i tej hołoty, która jeździ samochodami. Rząd i premier nie mają tu sobie nic do zarzucenia. Wyborcy PO, tfu!, KO nie tankują drogiego paliwa. W końcu Tusk im sprzedaje benzynę po 5,19 zł. Tak im powiedział i oni w to wierzą, a nie w to, co się wyświetla na dystrybutorze przy tankowaniu. A teraz poważnie: w ciągu niespełna 3 lat Tusk i jego Gang Olsena zrobili z nas dziadów. Stoimy pod jakimiś butelkomatami jak śmieciarze. Teraz kolejki jak za komuny po paliwo. Zaraz będziemy stali po papier toaletowy, mydło, mąkę itd. Ale jak coś, to rząd ma 40 proc. poparcia. Ktoś mi to wytłumaczy, dlaczego jeszcze Tusk i jego gang partaczy nie zostali wywiezieni na taczkach? Polacy śpią i siedzą na kanapach, licząc, że ktoś za nich pogoni tego szkodnika. Otóż nie, moi drodzy rodacy. Nikt za nas tego nie zrobi!

Adam B.

Nie dziwi nic

Podczas uroczystości 87. rocznicy wybuchu II wojny światowej na Westerplatte prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz mówiła o... blokadzie Leningradu, głodzie, mrozie i cierpieniu ludności podczas niemieckiego oblężenia miasta. Nie jestem zdziwiona tą wypowiedzią. Jej zastępca kiedyś przekonywał, że wojna wybuchła przez złe słowo Polaka do Niemców.

Czesława F.

Polska celem strategicznym

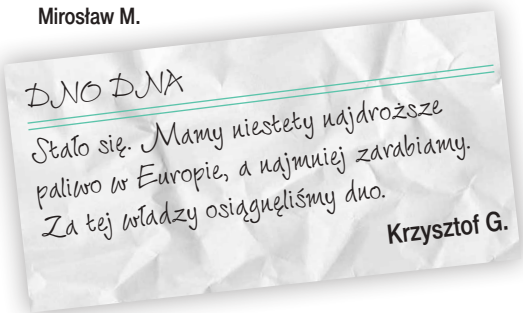
Oś Berlin–Moskwa działała i działa do dzisiaj. Dowiadujemy się o tajemniczych kontaktach polityków niemieckich i ruskich, o ich relacjach handlowych sięgających setek miliardów euro. Celem strategicznym Niemiec i Rosji jest od zawsze Polska.

Adam K.

Yelita III RP – PRL-bis

Po Okrągłym Stole (1989) – powstała z brudnego układu komunistów, lewackiej opozycji kontrolowanej przez SB i jej konfidentów. Odpowiedzialna za zdradę interesów narodowych Polski i Polaków, korupcję, afery, kolesiostwo, nierozliczenie zbrodni komunistycznych (tzw. gruba kreska Mazowieckiego), łamanie wolności słowa, zakłamywanie historii [...] oraz za całkowite uzależnienie Polski od UE (wzorowane na dawnym układzie PRL–ZSRS). Dewiza: Kasa – Korupcja – UE.

Mirosław M.



Adres redakcji:
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Tel. (+48 22) 290-29-58
redakcja@gazetapolska.pl

REKLAMA



redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz, zastępcy redaktora naczelnego Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz, sekretarz redakcji Martyna Hajdo-Trolińska (kier.), Małgorzata Wiankowska

kraj Piotr Lisiewicz (kier.), Piotr Nisztor, Hubert Kowalski, Grzegorz Wierzchołowski, Grzegorz Broński, świat Maciej Kożuszek (kier.), kultura Sylwia Krasnodębska (kier.), gospodarka Maciej Pawlak (kier.) historia Tomasz Łysiak (kier.), publicystyka Piotr Grochmalski, Joanna Lichocka, Grzegorz Wszołek, Ewa Wójcik (kluby), Konrad Wysocki (Obronność), Jacek Liziniewicz (Środowisko), Stefan Czerniecki (Podróże), Jan Przemyłski (Technika), Iwona Balcerak (Kulinaria), stali felietoniści Krzysztof Karnkowski, Tadeusz P. Płużański, Michał Rachoń, Marcin Wolski, Józef Wieczorek, Dawid Wildstein

projekt layoutu i logotypu Mariusz Troliński

nadzór Mariusz Troliński, Krzysztof Lach-Kubica
DTP Paweł Chrzanowski, Aleksander Razcwarkow, Paweł Pawluszek, Grzegorz Lipka

sekretariat redaktora naczelnego Anna Kazimierczuk
Druk: P/mint, Wyszków

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie zwraca niezamówionych materiałów.

Kontakt z czytelnikami, interwencje w godz. 9–13:
Anna Kazimierczuk, tel. 603 117 483;
tel. 22 290 29 58 (wew. 1);
e-mail: kontakt@gazetapolska.pl
WYDAWCA
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
Kontakt z działem reklamy:
e-mail reklama@gazetapolska.pl,
tel. (+48) 603 117 134
Kontakt z działem promocji:
e-mail promocja@gazetapolska.pl

GAZETA POLSKA
www.gazetapolska.pl



FOT. WIKIPEDIA

GAZETA POLSKA

1. Ilu porywaczy uczestniczyło w ataku na USA 11 września 2001 roku?
2. Jak nazywał się przywódca organizacji terrorystycznej odpowiedzialnej za ataki z 11 września 2001 roku i w jakim państwie została ona założona?
3. Co było trzecim celem tego ataku?
4. Jak nazwano operację odwetową po atakach z 11 września 2001 roku?
5. W 2014 roku został otwarty najwyższy budynek w USA, który wybudowano w miejscu dawnego World Trade Center w Nowym Jorku. Jak go nazwano?
6. Ten budynek ma dokładnie 1776 stóp wysokości. Co symbolizuje ta liczba?

ODPOWIEDZI:
1. 19, 2. OSAMA BIN LADEN, AL-KAIDA POWSTAŁA W AFGANISTANIE, 3. PENTAGON, 4. „TRWAŁA WOLNOŚĆ", 5. ONE WORLD TRADE CENTER, 6. 1776 TO ROK PRZYJĘCIA DEKLARACJI NIEPODLEGŁOŚCI

PRENUMERATA

Ceny prenumeraty papierowej „Gazety Polskiej": rok – 460 zł, pół roku – 244 zł; kwartał – 129 zł; miesiąc – 45 zł.

Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl
www.prenumerata.swsmedia.pl
Tel.: **605 900 002, 22 336 79 06**
Konto do wpłat: Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
konto: Bank PEKAO SA
Nr konta:
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelewy z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW
IBAN: PL)

Zamówienia książek na:
sklep.gazetapolska.pl
lub tel.: (22) 232 37 70
Nr konta:
61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

GAZETA POLSKA



Katarzyna
Gójska
albicla.com/KatarzynaGojska

OKONIEM

Demobilizacja prawicy to największe wsparcie dla Tuska

Rozłam w PiS nastąpił w najkorzystniejszym dla Tuska momencie – bo właśnie teraz szef rządu szykuje się do najbardziej brutalnego uderzenia w demokrację. W perspektywie kilku tygodni nielegalnie przejmie Trybunał Konstytucyjny lub przynajmniej w części siedziby zorganizuje wierną sobie jego atrapę. To dzięki niej będzie chciał przygotować grunt pod przyszłoroczne wybory, których przegrać nie może. Wyjście z Prawa i Sprawiedliwości kilkudziesięciu polityków z byłym premierem Mateuszem Morawieckim na czele nie tylko w sposób oczywisty wprowadziło zamęt w szeregach opozycji, lecz przede wszystkim zdemobilizowało część prawicowego elektoratu. I zapewne podkopało wiarę w możliwość odsunięcia od władzy Koalicji Obywatelskiej. Wielu polityków opozycji zapewne nie docenia jeszcze tego efektu ich politycznych podziałów, ale już za kilka miesięcy – gdy ruszy właściwa kampania wyborcza – przekona się o tym na własnej skórze. Ale jest jeszcze jeden – ważniejszy – aspekt tego zjawiska. Rozczarowani zwolennicy przestają angażować się w sprawy publiczne. Częściej wybierają spokój i odcięcie się niż aktywność i zainteresowanie. I właśnie ten marazm może być najsilniejszym wsparciem dla złowieszczych planów Tuska. Wycofani obywatele nie staną z taką determinacją do walki o swoje prawa jak wówczas, gdy



mają poczucie siły i obecności zjednoczonej reprezentacji politycznej. Przyszłoroczne wybory będą autentycznym starciem o przyszłość Polski. Bilans trzech lat rządów koalicji 13 grudnia jest dramatyczny. Doszło do siłowego przejęcia mediów publicznych, nielegalnego zawłaszczenia wymiaru ścigania, daleko idącej ingerencji w niezawisłość sądów, zniszczenia służb specjalnych oraz realnego przetestowania opcji nieuznania wyniku wyborów. To ostatnie zakończyło się fiaskiem – Hołownia nie dźwignął wyznaczonego mu zadania, choć, powiedzmy uczciwie, we wcześniejszych akcjach spełniał pokładane w nim nadzieje. Jednak już niebawem sytuacja mocno się zmieni – arsenał antydemokratycznych środków znacząco wzmocni „nieestetycznie" – używając określenia samego szefa rządu – zdobyty Trybunał Konstytucyjny. To on będzie z jednej strony dawał władzy pozory legalności nawet wówczas, gdy ta będzie łamać najbardziej podstawowe prawa demokracji, a z drugiej będzie podważał legalność tego, czego ekipa Tuska jeszcze nie opanowała. Jeśli w najbliższych tygodniach i miesiącach prawicowi wyborcy będą męczeni wybuchającymi co rusz nowymi przepychankami w środowisku dawnej Zjednoczonej Prawicy, to koalicja 13 grudnia przesądzi o następnej kadencji nie wyborczym zwycięstwem, ale metodami państwa policyjnego. GP

REPUBLIKA

Poranek który naprawdę informuje – najświeższe informacje, prognoza pogody, raport drogowy i przegląd prasy.
Zapraszają: Rafał Patyra, Natalia Rzeźniczak, Justyna Wróblewska, Magdalena Bałkowiec, Adrian Borecki oraz Rafał Stańczyk.

OD PONIEDZIAŁKU DO PIĄTKU 6:10



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę obejrzysz w jakości HD na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny proszę sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA